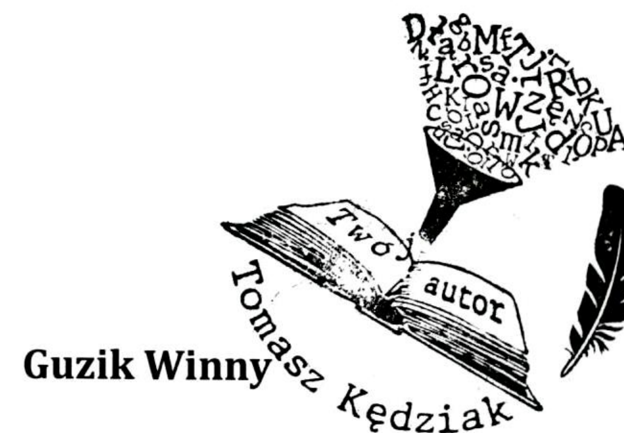
WYDANIE AUTORSKIE

Tomasz Kędziak

Guzik Winny



Tomasz Kędziak



Guzik Winny



Zelów 2022

Redakcja, projekt okładki:
Andrzej Dębkowski

Zdjęcie na I i IV stronie okładki:
Tomasz Kędziak

Korekta:
Weronika Nawara

Wydawca:
Wydawnictwo Autorskie Andrzej Dębkowski

ISBN – 978-83-955703-3-9

Printed in Poland
Wydanie pierwsze
Zelów 2022
Redakcja techniczna: Andrzej Dębkowski –
tel. 504 63 05 43, e-mail: andrzejdebkowski@wp.pl
Druk i oprawa: Wydawnictwo Diecezjalne i Drukarnia w Sandomierzu,
ul . Żeromskiego 4, 27-600 Sandomierz

Wszystkie sytuacje i postacie występujące w tej książce są wyłącznie fikcją literacką. Jedynie naprawdę istnieje miasteczko Zelów, jego okolice, oraz napisy na domu kultury, które były główną inspiracją i motorem przy powstawaniu tej historii.

* * *

Światło wpadające do środka poprzez kolorowe witraże w oknach mieniło się kolorami tęczy, tworząc dość osobliwe zjawisko, w którym wszystko wydawało się jakieś inne. Barwne, magiczne, a nawet tajemnicze. Lecz najbardziej spektakularne stawało się, gdy padało na ruchome postacie, będące we wnętrzu tej świątyni. Wysoki, około czterdziestoletni mężczyzna przyklęknął przy bogato rzeźbionym konfesjonale, znajdującym się w bocznej nawie tego neogotyckiego kościoła, i po nieśmiałym przeżegnaniu się przystąpił do spowiedzi. Z daleka widać było, że w środku konfesjonału siedział wyjątkowo dobrze korzystający z parafialnych datków bardzo gruby ksiądz, z twarzą sprawiającą wrażenie, jakby przed chwilą została pogryziona przez rój pszczół przez co kształtem przypominała obudowę lampy legendarnego polskiego motocykla marki Junak. Po niezdecydowanych ruchach spowiadającego się grzesznika można było również wywnioskować, że mężczyzna ten dawno nie korzystał z tego sakramentu i nie wiedział jak to zrobić. Wcześniej, siedząc w ławce, zastanawiał się czy zdecydować się w końcu na ten krok, lecz podjęcie tej decyzji przychodziło mu z wielkim trudem. Wahał się, już nawet pochylał lekko plecy, tak, jakby chciał się podnieść i wstać, by po chwili znów spokojnie rozsiąść się i wygodnie oprzeć o opar-

cie ławki. Człowiek ten robił najprawdopodobniej rachunek sumienia, lecz bardzo mocno bał się skonfrontować z kapłanem. W końcu, gdy mu się to udało, zapomniał o wszystkim i nieśmiało wypowiedział tylko:

– Proszę księdza, ja...

– Nie bój się, mów, co leży ci na sercu.

– Nie wiem jak to powiedzieć...

– Śmiało, synu, pan Bóg jest łaskawy – zachęcał go ksiądz.

– Ja...

– Mów synu, mów. Bóg czeka na ciebie.

– Ja... ja... ja jestem z Zelowa.

– No, ale przecież to nie grzech – wytłumaczył ksiądz, zapewne obyty z takimi okazjonalnymi katolikami, licząc, że zmobilizuje go do większej wylewności.

– Niby nie grzech – odpowiedział – ale jaki wstyd!

– Nie sądziłem, że sprawa jest aż tak poważna – zasępił się ksiądz, marszcząc dosyć mocno brwi.

Tego typu dowcipy – opowiadane w taki sposób jak popularne kawały o mieszkańcach Wąchocka – zdarzało mi się słyszeć z ust bełchatowian. Nie były to jednak drwiny z naszego miasta i jego mieszkańców, które rozpowszechniano na większą skalę. Zauważyłem, że tego typu dowcipy opowiadali przeważnie mieszkańcy bełchatowskich osiedli, którzy za sprawą rozwoju przemysłowego w latach osiemdziesiątych przywędrowali za tak zwanym chlebem właśnie z okolic Zelowa. Byli to ludzie, którzy dosłownie zachłysnęli się

dostępem do wymarzonych mieszkań w blokach, otrzymywanych po podjęciu pracy w miejscowym kombinacie górniczo-energetycznym i jednocześnie zachłysnęli się tym, że mogli mieszkać w większym mieście. Dla nich to już nie były zapyziałe wsie położone gdzieś w okolicach Zelowa, tylko to były bloki i to nawet wielkomiejskie bloki. Czasem nawet bloki wysokie, jedenastopiętrowe, z zamontowaną windą na klatce. To był świat! Odcinali się w ten sposób od swoich korzeni, wyrzucając raz na zawsze przywiezione, a schowane na wszelki wypadek w pawlaczu, buty gumowo-filcowe. Tak czasem bywa, gdy ktoś niedojrzale podchodzi do swojego pochodzenia bądź też jest w tak zwanym okresie niesentymentalnym, po którym przyjdzie taki czas, że mimo wszystko zatęskni za minionym, jakiekolwiek by ono nie było.

Jeśli chodzi o Zelów, to nie był to tylko ten jeden, wyżej wymieniony epizod, lecz na wzór dowcipów o Wąchocku, w celu robienia sobie żartów z naszego miasta, były adaptowane różne inne żarty, często zapożyczane właśnie z całego wachlarza krążących po Polsce kawałów o tej sympatycznej miejscowości. Nie mam zamiaru cytować tutaj wszystkich, może przytoczę tylko ten słyszany najczęściej, mówiący, że na zelowskim targu – który odbywa się raz w tygodniu, w środy – zawsze można zamienić katar na biegunkę lub odwrotnie, w zależności od zapotrzebowania. To bardzo „praktyczne", zważywszy, że katar trwa tydzień.

Może jeszcze jeden, który akurat przyszedł mi do głowy. To taki, mówiący o czterech najgorszych elementach, (przy czym opowiadający zawsze kładł największy nacisk na słowo „elementy"), które mogą spotkać człowieka i na które trzeba zawsze bardzo uważać. Były to po kolei: koń ze Szprotawy, baba z Łękawy, węgiel z Bełchatowa i pracownik z Zelowa. Co do ostatniego, z racji tego, że jestem zelowianinem i analizuję akurat swój stosunek do pracy fizycznej... mógłbym się zgodzić, ale odpowiadam tylko za siebie. Co do jakości bełchatowskiego węgla natomiast nie mam żadnych wątpliwości i każdy się ze mną zgodzi, że to się potwierdza. Pozostaje tylko kwestia konia i baby, lecz akurat tak bardzo nie zgłębiałem tego tematu. Przychodzi mi tylko na myśl przysłowie o babie z wozu i zastanawiam się, co by było, gdyby baba z Łękawy jechała wozem zaprzęgniętym w ogiera ze Szprotawy. Zapewne wtedy koniowi byłoby znacznie lżej po zrzuceniu takiej baby, lecz ta kwestia mogłaby być mocno sporna, bo przecież w końcu to byłby koń ze Szprotawy.

Wspomniany Zelów nigdy nie był wielkim miasteczkiem, i nie jest nim do tej pory, a obecnie miasto nawet nie rozrasta się, tylko liczba jego mieszkańców maleje. W latach świetności przekraczała osiem tysięcy, a świetność ta przypadała na czasy, w których panowała poprzednia władza, zapatrzona na, jedyną i słuszną, wschodnią stronę. Prawa miejskie Zelów otrzymał w roku 1957, co można uznać może za jakiś plus w tych

nieszczęsnych czasach, ponieważ wtedy nie było już głównego wodza tego systemu totalitarnego, czyli powiewało optymizmem wraz z szansą na dalszy rozwój, lecz to, że Zelów je wtedy otrzymał, to też podobno był przypadek.

Dzisiaj nie można nazwać Zelowa nawet niewielkim szarym miasteczkiem, w którym to, parafrazując znaną piosenkę z lat osiemdziesiątych, „co dzień kino, co pół roku cyrk". Nawet tyle nie można powiedzieć, ponieważ kino było, i owszem, lecz już dawno go nie ma, a i cyrk chyba rzadziej tu zajeżdża. Tym samym znów złośliwcy opowiadający dowcipy o Zelowie mają swoją interpretację, która mówi, że: „co dzień cyrk i piwo w bramie... a kino w domu".

Bywają też tacy, którzy są dumni z bycia zelowianinem i próbują inspirować się tym miastem, pisząc nawet piosenki. A słyszałem o takich... którzy nawet na miejsce swojej fabuły wybierają Zelów i wydają to w swoich książkach...

Pewien znany zelowski youtuber napisał i nagrał utwór, który ma już prawie tyle odtworzeń ilu jest mieszkańców w naszym mieście, co wydaje się wielkim sukcesem. Artysta ten gra na gitarze i w refrenie swej piosenki opisuje pięknie jednym zdaniem, co też może nas dobrego spotkać w Zelowie. Niestety smutna prawda tego utworu wpisuje się właśnie we wspomniane wcześniej dowcipy, a tytuł tej piosenki, jak i wspomniane słowa refrenu, to: *Nie ma tu nic.*

Wracając do wspomnianych wcześniej czasów świetności tego miasta, można tylko powiedzieć, że transformacja ustrojowa zmieniła je i nawet chciałbym nieśmiało polemizować z autorem tej piosenki, bo przecież mamy tu nowe chodniki betonowe, mamy normalną łączność ze światem – i to za pomocą sieci przewodowej i bezprzewodowej – mamy bieżącą wodę w kranach, mamy ścieki odprowadzane do kanalizacji z prawdziwego zdarzenia, czyli to nawet nie jest byle Warszawa, gdzie miliony ton wędrują nieoczyszczone wprost do Wisły. Mamy też normalne podatki, jest więc światowo...

Muszę jednak przyznać, że nie mamy tylu rzeczy, które istniały kiedyś i to nie mamy tego, co akurat istniało w tych złych, komunistycznych czasach. Nie ma wspomnianego kina, którego początek datowany jest nawet na czasy przedkomunistyczne, nie ma wielkich zakładów bawełnianych, gdzie pracowało kilka tysięcy osób, nie ma spółdzielni produkującej maszyny i narzędzia rolnicze, nie ma rozlewni piwa i wytwórni wód gazowanych, nie ma masarni, nie ma wielkiej cegielni, w której również znajdowało zatrudnienie sporo mieszkańców tak naszego miasta, jak i okolic, nie ma lodowiska, nie ma kortów tenisowych, nie ma restauracji, nie ma... Może jednak tamta piosenka lepiej obrazuje krajobraz Zelowa, bo zbyt wielu rzeczy tutaj już nie ma, a przecież ja nie jestem Mariuszem Szczygłem i to nie jest tekst kwalifikujący się do otrzymania literackiej nagrody Nike. Może to jednak wszystko są dobre zmiany i niepotrzebny nam teraz postkomunistyczny pejzaż, bo cytując klasyka (notabene „klasyka" rymuje się z „Asnyka") „trzeba z żywymi naprzód iść, po życie sięgać nowe[1]...".

Krajobraz może się zmienia, jednak mieszkańcy pozostają sobą. Pomijam oczywiście tych wyżej wspomnianych, którzy wyjeżdżają i zapominają o swoim pochodzeniu, a nawet próbują trwale je wymazać ze swego wizerunku, lecz im intensywniej starają się to robić, tym gorzej im to wychodzi. Bo z Zelowa nie można się wyprowadzić, Zelów to nawet nie stan umysłu – zwykłego umysłu, jak chciałoby się powiedzieć i pomyśleć zarazem – a stan ducha. Mówię to z pełną świadomością, ponieważ ci, którzy to rozumieją, świadomie są związani z tym miastem i nawet potrafili przyjeżdżać z całego świata, nie pomijając odległej Australii, na odbywające się tutaj Światowe Zjazdy Zelowian.

Chciałem jednak wrócić do tamtych czasów, cofnąć się o kilka lub – gdy teraz sobie liczę w pamięci – to może nawet o kilkanaście lat. Moja akcja i mój bohater mogliby co prawda, swobodnie poruszać się po współczesnym Zelowie, bo nie ma ku temu żadnych przeszkód i ograniczeń, a ja wybrałem tę lokalizację wyłącznie wiedziony lokalnym patriotyzmem, lecz dla

[1] Fragment wiersza Adama Asnyka pt. *Daremne żale*.

bezpieczeństwa i uniknięcia pewnego rodzaju skojarzeń, od których czytelnik nigdy nie potrafiłby się opędzić, wolałem zastosować tak zwany czasowy bufor bezpieczeństwa. Jako autor i jednocześnie mieszkaniec Zelowa zrobiłem co w mojej mocy, a jak to zrobiłem?... Cała reszta, wraz z odpowiedzią na to pytanie, należy już tylko do czytelnika.

Tak więc... działo się to w Zelowie i działo się to w minionym czasie, lecz może nie tak dawno, bo był to już wiek XXI...

* * *

Do sekretariatu gabinetu – znajdującego się w gmachu Urzędu Rady Ministrów – Józefa Błęckiego, doradcy ministra spraw wewnętrznych, wszedł pięćdziesięciopięcioletni senator Marian Krzywicki. Był to grubawy mężczyzna w okularach, który nie posiadał włosów na głowie, natomiast na twarzy miał dość krótki zarost, który profilował, tworząc niewielką bródkę.

– Senator Krzywicki do pana. – Sekretarka poinformowała doradcę o zapowiadanej wcześniej wizycie.

– Niech wejdzie.

Gdy wszedł, przywitał się z Błęckim. Widać było, że obaj panowie znali się nie tylko oficjalnie, z racji przynależenia do tej samej opcji politycznej, ponieważ rozmowa nabrała charakteru towarzyskiego.

– No słuchaj Józek, tak jak rozmawialiśmy, coś mu-

simy zrobić jeszcze z tym moim „tematem". Ale wiesz o co chodzi? – Zaczął dziwnie rozglądać się dookoła.

W odpowiedzi Błęcki ze zrozumieniem przyłożył palec do ust, mając na myśli ewentualny podsłuch. Potem odezwał się cicho:

– Spotkajmy się gdzieś na kolacji. Może u tego Zająca?

– Przyjaciele Zająca?

– Taa. Tam spokojnie pogadamy.

– Kiedy?

– Zadzwoń tam. Jak nie mają żadnych rezerwacji, to nawet weź dzisiaj. Podjadę.

– No dobra, to jakby co, jesteśmy umówieni. Ewentualnie, gdyby nie, to i tak jeszcze będę dzwonił.

Nie było problemów z rezerwacją i wieczorem o godzinie 19.30 obaj panowie siedzieli w specjalnej odosobnionej sali w ekskluzywnej restauracji Przyjaciele Zająca. Młody kelner przyniósł im właśnie schłodzoną czystą wódkę w wiaderku z lodem. Postawił na stole, nalał do kieliszków, przyjął zamówienie i wyszedł.

– No, to na zdrowie, aby nam się gadka kleiła.

– Na zdrowie! – Senator rozejrzał się po lokalu. – Miałeś rację, tu można spokojnie porozmawiać.

– Słuchaj, stary! – Błęcki zrobił poważną minę. – To już chyba ostatni raz, jak podaję mu rękę, bo nie wiadomo, co dalej będzie. Kwachu już nie będzie startował, a i parlamentarne mogą się różnie skończyć, to i Rysiu nie będzie ministrem, a może i nie być nawet po-

słem. Czy ten twój Wiesiu nie może usiąść spokojnie na dupie, tylko zawsze coś odpierdoli?

– No słuchaj, co ja poradzę. Nie mam na to wpływu, ale martwię się o chłopaka. Świętej pamięci siostra straszyłaby mnie po nocach, gdybym zaniechał opieki nad nim. Martwiła się o niego i obiecałem jej to na łożu śmierci, rozumiesz?

– Kurwa, czterdzieści lat chłop, matka w piachu, a on opieki potrzebuje?!

– Józiu, nie unoś się. Co ja zrobię?

– Może niech on sobie nazwisko zmieni, bo to jakieś fatum. Zawsze Winny, nawet jak niewinny.

– Może masz rację. Szkoda mi jednak chłopaka.

– Szkoda, szkoda, ale musisz za niego dupą świecić i jeszcze mnie w to wciągasz.

– Nie wypominaj mi, bo wiesz jak było.

– Dlatego, Marian! Przysługa za twoją lojalność i milczenie, i ja to rozumiem. Marian! Gdybyś gnidą się okazał jak ten łysy...

– Józek! Nie próbuj wygadywać takich głupot.

– No więc właśnie. Musimy go jakoś w takim miejscu zainstalować, żeby miał spokój i może nawet po wyborach jakoś tam funkcjonował. Żeby opinia poważnego funkcjonariusza tam do niego przylgnęła.

– Dobrze mówisz, ale gdzie by to mogło być? – zapytał Krzywicki.

– Ano właśnie! Większość moich miejsc, w których miałem jakieś konkretne wtyki, okazała się spalona, a

ta ostatnia jego komenda to nawet dosłownie. Nikt nie wie dokładnie, co tam się odpierdoliło.

– Ano, widzisz! A kto winny? Mój Wiesiu winny.

– Ty już pewnie dobrze wiesz jak było – uciął Błęcki.

– Nie, skądże. Pytałem, ale... bo to ci powie. Wujek, mówi, nie wiem jak do tego doszło.

– Nie wie, bo najebany był!!! Ale dobra, Marian, co było, to było. Nie ma tematu. Myślałem już nad tym.

– Wiedziałem, że na tobie mogę polegać.

– No... ale nie wymyśliłem nic.

– Weź nie pierdol, Józek?! Raz jeszcze podaj mi rękę! – Krzywicki zrobił zdziwioną minę.

– Myślałem, aby załatwić mu w takim Zelowie. Tam jeszcze może jakoś można byłoby go wcisnąć.

– Gdzie to jest? Dolny Śląsk? Jechałem kiedyś w Czechach przez Zelov.

– Dobrze kombinujesz. Tylko że to centralna Polska. Polej!

Marian polał w kieliszki, a w tym czasie przyszedł kelner, niosąc na tacy zamówione dania.

– Proszę bardzo, dla pana pularda w kurkach, a dla pana przegrzebki w sosie. Proszę. Czy mam podać jakieś wino?

– Dziękujemy. Wytrawna, czysta wódka, najlepsza jest na wszystkie troski i bóle żołądkowe – uświadomił kelnera Błęcki.

– Rozumiem.

Gdy kelner odszedł od stolika, obaj panowie konty-

nuowali rozmowę.

- Masz nosa z tym Zelowem, bo tam jeszcze podobno mieszka dużo mniejszości czeskiej. Ale to jest w centrum Polski, pięćdziesiąt kilometrów od Łodzi. Nie wiem dokładnie ile tam tej mniejszości mieszka, a nawet czy mniejszości, czy Polaków, czy Czechów i czy oni tam mają obywatelstwo czeskie, polskie, czy też nie mają wcale. Nie wiem, nie interesuje mnie to. Mówią różne rzeczy o tym Zelowie, że tam ksiądz z wikarym żyją, znaczy, że się bzykają i nikt z tego nie robi afery. Miasto cudów jakieś, ale tam jeszcze mógłbym mu załatwić. No, i Marian, nie ma więcej żadnych tematów na temat pana Wiesława Winnego. Pojedzie tam i ja od tej chwili chciałbym mieć czeski film, rozumiesz? Czeski film! Nic o nim więcej nie chcę słyszeć. Resztę ty możesz mu nagadać, to jest twoja sprawa i twoja rodzina. Rozumiemy się?

- Rozumiemy!

- No to pod tę pulardkę. A mówiłem ci zamów sobie, bardzo dobrą tu robią.

- Moje przegrzebki też niczego sobie.

- Warto tu wpadać na dobre żarcie. I tu zawsze można spokojnie porozmawiać.

Józef Błęcki mówiąc o zażyłych stosunkach pomiędzy wikarym a proboszczem, nie wiedział nawet o czym mówi. I miał na myśli zapewne Kościół Katolicki, a w Zelowie w owym czasie, w Kościele Ewangelicko-Reformowanym, wikarym była kobieta, która jako

pierwsza otrzymała święcenia kapłańskie i która prywatnie była żoną proboszcza tej parafii. Marian Krzywicki natomiast przyjął tę wiadomość ze stoickim spokojem, bo wiedział ile dzieje się na świecie różnych rzeczy i taki temat nie wydawał mu się nawet jakiś kontrowersyjny. „To takie życiowe" - pomyślał.

- Jeszcze jeden drobiazg, Marian.

- Mów.

- On tam nie będzie komendantem.

- Nie? Jak to?

- No jak to „jak to"! Delikatna sprawa jest. Aktualny komendant leży w szpitalu i coś z nim słabo, rozumiesz. Twój Wiesio zostanie tam zastępcą i pełniącym obowiązki komendanta.

- Rozumiem. Ale co będzie, jak komendant wyzdrowieje?

- Komendant wyzdrowieje, jego strata, pójdzie w piach, jego szczęście. Rozumiesz?! Inaczej tego, Marian, nie dałem rady przepchnąć. Rysiu jakby się dowiedział...

- Dobra, rozumiem.

- Musisz zrozumieć. Ile razy już ten twój Wiesław miał pecha i rękę do niego wyciągamy?

- Dopiero trzeci.

- No jak? Pierwszy raz miał załatwioną robotę. Potem wtedy ta broń, co poginęła...

- Noo... A później wybuch gazu i teraz ten pożar.

- No to, jakby już czwarty raz teraz. Ale co on zmaj-

struje w tym Zelowie, to ja już nie biorę na swoje barki.

– Józiu, w porządku!

– Krótko i na temat! Cieszę się, że zrozumiałeś. No to! – Podniósł kieliszek z wódką. – Na zdrowie. Za powodzenie tego twojego Wiesia.

– Daj mu Boże. Józiu, na zdrowie!

Wypili ze smakiem, nie krzywiąc się przy tym wcale, a nawet dało się wyczytać z ich twarzy pewnego rodzaju uczucie błogości, które spływało wraz z docierającym do żołądka alkoholem. Widać było, że albo alkohol był bardzo smaczny, albo też, że obaj panowie z tematem konsumpcji tego trunku obyci byli dosłownie jak Rzecki ze sklepem Wokulskiego.

* * *

Wiesław Winny był czterdziestodwuletnim mężczyzną, który, dzięki poręczeniu swojego wuja, mógł cieszyć się pracą komendanta policji. Jednak już kilkakrotnie nie udało mu się utrzymać tych stanowisk, co zaczynał zrzucać na karb swojego nazwiska. Zawsze przyczyną były jakieś drobne incydenty – jak zwykł je nazywać. Raz w komendzie w Strzelu nie przewidział, że rurka, która przeszkadzała w ustawieniu szaf biurowych była rurką z gazem. Przyzwolenie na usunięcie jej szlifierką kątową przyniosło „lekki" wybuch i trzech rannych. Wiesław Winny mówił o wyjątkowym pechu, lecz tylko trzech rannych mogło świadczyć o jego nie-

bywałym szczęściu. Drugim razem niefortunnie podczas nocnej służby zaginęły trzy sztuki broni i jakoś Winny nie mógł sobie przypomnieć, co też się mogło z nią stać. Nie konfabulował jednak w tym przypadku, ponieważ rzeczywiście nie wiedział i nie pamiętał tego. Ewentualne przyczyny tej niepamięci można by przypisać samemu Winnemu, ale dzięki wujowi senatorowi tak daleko nikt tego nie rozpatrywał. Ostatni incydent, którego nie można było w żaden sposób wyjaśnić, był całkowitym przypadkiem i Wiesław Winny po raz kolejny nie potrafił tego wytłumaczyć. Szczerze nie wiedział jak do tego doszło.

Te przypadkowe zbiegi okoliczności, które doprowadzały go już do szału i myśli o zmianie nazwiska, podsycały jeszcze istniejące w głowie wcześniejsze myśli, które i bez tego rozrywały mu czaszkę i pulsowały w uszach słowem wypowiadanym nie tylko przez jego świętej pamięci ojca. Brzmiało ono „Guzik".

– Guzik z ciebie, nie syn. – Słyszał czasem od świętej pamięci ojca właśnie.

– Guzik z ciebie, nie policjant. – Słyszał często i to nie tylko od ojca.

– Guzik z ciebie, nie chłop. – Wielokrotnie wypowiadała te słowa żona Bernardetta.

– Guzik z ciebie, nie ojciec – mówił siedmioletni już syn, kiedy rozpakowywał gwiazdkowy prezent i zamiast wymarzonej najnowszej konsoli PlayStation, którą nazywał potocznie „plejką", ujrzał film przyrod-

niczy o życiu muszek plujek nagrany na płycie DVD. Film był dobry, profesjonalny, czytała Krystyna Czubówna, ale starania ojca nie pomogły. Nie miał zbyt dobrego kontaktu z synem i nie rozumiał do końca marzeń własnego dziecka, które tak bardzo chciał spełniać. Drobny błąd w zamówieniu pokazał, że niedaleko pada plejka od plujki.

Wiesław Winny, choćby nawet niewinny, zawsze tak się czuł, a nawet, gdy czuł się inaczej, to zawsze winnym pozostawał, ot, cała charakterystyka tej postaci. Nawet jego żona Bernardetta, która aktualnie jest już jego byłą żoną, po rozwodzie nie chciała pozostawać Winną. Miała też problem z powrotem do swojego panieńskiego nazwiska, które brzmiało w zasadzie niewinnie i ornitologicznie, czyli Gawron. Tę decyzję podjęła nagle i prawie w ostatniej chwili, idąc przez park i obserwując ławeczkę stojącą pod wielkimi akacjami, na której miała zamiar usiąść i odpocząć w cieniu. W pewnej chwili nadleciało stado gawronów i usiadło w konarach akacji nad ławką. Gdy doszła do tego miejsca, ławka była już tak zabrudzona odchodami, że nie dało się znaleźć żadnego czystego miejsca, aby można było gdziekolwiek usiąść. Pomyślała tylko wtedy:

„Jak to gawrony potrafią w jednej chwili zapaskudzić tyle miejsca".

Ogarnęła ją wielka konsternacja i zaczęła się zastanawiać dalej:

„Czy to ja Wiesławowi zapaskudziłam życie? Czy

może on mi?".

Ostatecznie olśniło ją w tym momencie i uznała, że przecież niewiele potrzeba zabiegów, aby jej nazwisko było całkiem inne i idąc po linii najmniejszego oporu ustaliła, że zmieni je na Niewinna. Bardzo ją to ucieszyło i czuła się tak lekko, jakby ważyła dwadzieścia kilogramów mniej, gdy, już po sprawie i załatwieniu wszystkich formalności, odbierała w urzędzie dowód osobisty z tym nazwiskiem. „W końcu jestem Niewinna" - myślała. Problem pojawił się później. Bernardetta Gawron, to byłoby zrozumiałe i bezproblemowe dla każdego. Teraz niektórzy , pamiętający jeszcze, że była panią Winną, nie mogli zrozumieć jakie nosi nazwisko. „Jeśli nie Winna, to jak?" - pytali.

- Niewinna!!! - irytowała się dość mocno, odpowiadając. Narobiła sobie tą zmianą większego kłopotu niż się mogła spodziewać.

* * *

Był poniedziałkowy ranek i w Zelowie, na skrzyżowaniu przy ulicy Kościuszki z ulicą Mickiewicza, gdzie obok spożywczego sklepu „Na rogu" jest zamontowana tablica kierunkowa z napisem „Szczerców 19", na chodniku po przeciwnej stronie, stała tak zwana brygadówka, czyli pasażersko-towarowy volkswagen T4, który w części bagażowej załadowany był kilkoma znakami drogowymi. Na drzwiach tego busa widniał

napis: Przedsiębiorstwo Robót Drogowych i Mostów, którego nazwa w skrócie brzmiała PRDiM. Przy samochodzie kręciło się dwóch pracowników w żółtych kamizelkach z wyżej wymienionym skrótem wypisanym na plecach, którzy pracowali przy wymianie uszkodzonego i przekrzywionego znaku ostrzegawczego, mówiącego o ustępowaniu pierwszeństwa przejazdu. Z tą pracą, z racji tego, że to był poniedziałek, to może zbyt mocno przesadzone określenie. Widać było młodego mężczyznę, który był bardziej aktywny, a dojrzały, około pięćdziesięciopięcioletni, najprawdopodobniej ze względu na wiek, jakoś tej aktywności nie wykazywał. Przyglądając się jednak bliżej pracującym, można było zauważyć, że nie tylko dojrzały wiek był powodem do mniejszej aktywności. Starszy pracownik, Jan Komorowski, ciężko sapał i męczył się szybko. Taki stan rzeczy mógłby być również spowodowany nadwagą i niewydolnością krążenia. Mógłby, lecz i nie to było bezpośrednią tego przyczyną...

– Ucz się Jacek, bo ja wiecznie żył nie będę. Młody jesteś, to musisz zapieprzać – mówił Komorowski.

– Ale panie Janku, ja mam jeszcze daleko do emerytury, to może zdążę – odpowiedział młody Jacek Kamecki.

– Ucz się, mówię, i pracuj. Co ci tu będę opowiadał, kiedyś tylko takie hasła były wszędzie powywieszane. I była motywacja!

– Już ja wiem, jaka ta motywacja mogła być. Chyba w

płynie. I pan do tej pory jest przesiąknięty tamtymi czasami i tamtym płynem.

– Jacuś! Miej trochę szacunku dla starszego! Ja przynajmniej robię, a zobacz co z Kluską!

Brakowało w tym składzie trzeciego członka brygady, Arkadiusza Kluski, któremu na drodze do ambitnej pracy bardzo często i zawsze niespodziewanie stawał weekend, powodując poniedziałkową absencję.

– W porównaniu do Kluski, to przyznaję panu rację, panie Janku.

– No to pilnuj roboty i się ucz młody!

– Robota prosta jak autostrada w Stanach, tu nie ma się czego uczyć.

– No, skoro tak mówisz, to tylko rób. Dobrze, że jest tu ten sklep na rogu, to ja sobie pójdę kupić jakieś piwko. Zaschło mi w gardle, a i oddychać może mi się będzie lepiej.

Komorowski zostawił Jacka Kameckiego samego z pracą, a sam poszedł zrealizować swój ambitny plan. Nie chciał się pokazywać przy pracy z piwem w ręku, stanął więc w sklepie za lodówką i tam dość szybko wypił złocisty trunek. Od razu poziom hormonu szczęścia w jego organizmie poszybował w górę, jak wystrzelona w kosmos rakieta. Wyjrzał przez okno i przyglądał się jak Jacek kończył montować blaszany znak na rurce stanowiącej trzon. Pomyślał sobie po cichu, że skoro tak dobrze zrobiło mu się w błyskawicznym tempie, to jeśliby wspomógł ten stan stumili-

litrową butelką czegoś mocniejszego, to w zdrowiu i szczęściu mógłby doczekać zakończenia pracy, czego jeszcze przed kwadransem w ogóle nie był pewien. Tak zrobił i gdy wyszedł zadowolony ze sklepu, mogli jechać dalej. Oczywiście samochód prowadził Jacek Kamecki.

– Powiem ci, Jacuś, że ta robota w terenie bardzo mi odpowiada. Pojedzie się na robotę i nikt ci nad głową nie stoi i dupy nie zawraca. Ty jedziesz, a ja mogę żyć i pracować jak człowiek.

– Biorąc pod uwagę pański punkt widzenia, śmiem twierdzić, że może pan mieć rację.

– Młody! Ja nie mogę mieć racji, ja ją zawsze mam. Szanuj starszego i licz się z jego zdaniem!

– Panie Janku! Dobrze jest, ale tej pańskiej nauki nie będę tak w stu procentach przyswajał.

– Przyswój sobie w czterdziestu i już będzie dobrze.

– Jak to w czterdziestu? – nawiązał do zawartości alkoholu. – A kto będzie busem jeździł?

– Powiem ci młody, że już cię lubię. W to mi graj. Jakbym miał liczyć na Kluskę, to bylibyśmy w dupie, a nie w Zelowie!

– W Bełchatowie powiadają, że akurat w tym konkretnym przypadku nie ma różnicy.

– Może i nie ma, ale robota idzie i nie zmoczymy tej wspomnianej dupy, czy tam Zelowa. Mów, co chcesz, jest dobrze.

Młody Jacek Kamecki być może jeszcze miał w sobie

jakieś ambicje i chciał robić coś innego w życiu, więc ta praca nie satysfakcjonowała go do końca. Natomiast Jan Komorowski był wyraźnie kontent i już w swym życiu nie miał zamiaru niczego zmieniać. Pracę w tym przedsiębiorstwie uważał za swój życiowy sukces.

– Ale wie pan, panie Janku...

– Młody! – przerwał mu. – Pomyśl logicznie. Robisz sobie i niczego nie spierdolisz. Robota miła, łatwa i przyjemna.

– Biorę pana punkt widzenia pod uwagę i powiem, że co do zmoczenia...

– Kurwa! – przerwał mu ponownie. – Wy, młodzi, jak wy chcecie żyć? Tak nie, tak też nie. Ciągle tylko źle i źle. Kokosów by się chciało, żeby na sosnach rosły. Ludzie! Ja dwadzieścia lat w komunie pracowałem i zobacz! Każdy kradł, pił, a i tak wszystko do tej pory stoi, a co nie stoi, to na trzeźwo rozpierdolili. Tak! To, co po pijanemu za komuny zbudowano, to teraz na trzeźwo w pył obracają. I jeszcze teraz każdy się będzie bał o swoją dupę. Bo cię zwolnią, bo to, bo tamto! Co za czasy! Jak ja do tej emerytury się doczłapię, to nie mam pojęcia.

Mężczyźni pojechali dalej ze swoją pracą i ich żółty volkswagen T4 z załadowanymi na pace znakami drogowymi jechał ulicą Kościuszki aż do samego rynku i zniknął w końcu z pola widzenia, skręcając w ulicę Kilińskiego.

Tymczasem komisarz Wiesław Winny z zupełnie innej strony podążał swoim oplem kadettem w kierunku Zelowa do bliżej nieznanej mu pracy. Był już na drodze numer 484, gdzieś pomiędzy Łaskiem a Zelowem. Ciągle jeszcze dźwięczał mu w głowie ten „guzik", którego słyszał zewsząd.

– Guzik z ciebie, nie strateg.

– Guzik z ciebie, nie analityk.

– Guzik z ciebie, nie rzemieślnik.

Nawet na przestrzeni byłego już małżeństwa zdarzył mu się epizod, który i tak uznawał za sukces, udało mu się usłyszeć, co prawda tylko raz... jednak usłyszeć:

– Guzik z ciebie, nie kochanek!

A i wujek senator podczas poważnej rozmowy w cztery oczy nawiązał do tego jakże już wyświechtanego słowa.

– Guzik ci na następny raz załatwię!

Jechał do Zelowa z nadzieją na nową przyszłość, w której postanowił zmobilizować się i położyć kamień węgielny pod nowe życie. Odciąć się od tych wszystkich „guzików" i wymazać je z pamięci, bo to może na koniec w przyszłości karierę jakiegoś krawca tylko wróżyć. Już się tego bał. Trzeba będzie tak się starać, aby w końcu zagrzać miejsce na dłużej. Te postanowienia miały oczywiście swój początek, który wywodził się od wspomnianej rozmowy z senatorem Marianem Krzywickim, który jak już wiemy był jego wujem i jednocześnie bratem jego nieżyjącej już matki. Wujek

Marian nakładł Wiesławowi do głowy mnóstwo umoralniających monologów, które w pierwszej swojej fazie, niczym fala uderzeniowa, odnosiły jeszcze jakiś skutek. Lecz czy to była fala uderzeniowa w postaci tsunami powstałego po podwodnym wybuchu wulkanu, czy tylko mała fala w postaci kręgów na wodzie powstałych po puszczeniu kaczki, trudno na samym początku byłoby wywnioskować. Zapalił się do innego sposobu na życie, lecz poniedziałkowa suchość w gardle nie pozwalała mu się skupić nad myślami i jedyne, co mu cały czas chodziło po głowie, akurat zdążył wymamrotać pod nosem.

– Guzik z tego, nie jazda! Jak się nie napiję czegoś, to zaraz padnę.

Gdy Wiesław ujrzał stare ceglane budynki herbertowskich zakładów bawełnianych, znajdujące się po lewej stronie drogi – które to jako jedyne ze wszystkich zelowskich zakładów bawełnianych przetrwały i funkcjonowały do tej pory – a do tego na wysokości tych zakładów po prawej stronie drogi tablicę informującą o zaczynającym się terenie zabudowanym, do którego zmierzał, z widocznym napisem Zelów, odetchnął z wielką ulgą i ucieszył się, że już niedługo będzie na miejscu. Prawie w tym samym czasie zobaczył jak z naprzeciwka jadą trzy niemieckie motocykle z koszami pomalowane na kolor feldgrau, a za nimi kubelwagen. Wszyscy pasażerowie i kierowcy ubrani byli w stroje Wermachtu z czasów drugiej wojny światowej. Byli to

miłośnicy militariów, wracający ze zlotu odbywającego się w niedalekiej Kolonii Pożdżenice. Winny jednak nie wiedział o tym i zaskoczył go ten widok do tego stopnia, że krzyknął głośno:

– Co to jest u licha?! Kurwa, mam już zwidy!

Chwilę później, gdy dojeżdżał do najbliższego skrętu w lewo, zobaczył po prawej stronie stojący przy drodze duży sklep spożywczy, nad którym wysoko widniał szyld z jego nazwą.

– Saska tęcza – odczytał. Choć odczytał to może nawet zbyt szumne określenie, bo raczej patrząc swoim mętnym wzrokiem przesylabizował tylko nazwę tego sklepu, nie wiedząc do końca czy to mu się udało, więc przyglądał się dłużej napisowi rozszyfrowując jeszcze raz czy widnieje tam „Saska" czy może „Śląska" tęcza. Gdy w końcu upewnił się pomyślał: „O cholera! Już się cuda zaczynają. Do Saskiej Kępy kawał drogi, a samą tęczę już widać!".

Winny nie był jakoś negatywnie do tęczy nastawiony, ale słyszał coś niecoś o Zelowie i wielu mu powtarzało dokąd jedzie. Uznał więc, że tak czy tak i tak jest już w przysłowiowej dupie, a pragnienie, które z jego języka zrobiło już suchy wiór, nie pozwalało mu przejechać obok tej tęczy obojętnie. Zajechał więc na przysklepowy parking. Wysiadł ze swojego opla, trzasnął drzwiami, spojrzał jeszcze raz wysoko na napis i wyszeptał:

– Bądźmy tolerancyjni, to nie Plac Zbawiciela w

Warszawie. – Po tym poszedł dalej w kierunku drzwi wejściowych.

W tym samym sklepowym budynku odrębne stoisko zajmował warzywniak. Zanim wszedł do środka, musiał minąć powystawiane na zewnątrz skrzynki z owocami i warzywami. Spojrzał na starszą kobietę, w wieku trudnym do określenia z powodu zaawansowanego zaniedbania, która próbowała wsiąść na rower obładowany zakupami. Na kierownicy miała powieszone wielkie torby, mieszczące całe worki z warzywami. Z lewej strony były to ziemniaki, a z prawej buraki ćwikłowe. Oprócz tego miała jeszcze jakieś inne zakupy w torbie, której nie potrafiła zainstalować. Ostatecznie torba wylądowała na tylnym bagażniku, a kobieta wsiadła na ten osobliwie wyglądający pojazd i, trzęsąc mocno kierownicą na boki, w końcu ustabilizowała tor jazdy, po czym pojechała.

Wewnątrz sklepu, gdy stanął przy regałach, już wcielał wielkie szekspirowskie dzieło w jakże trudne życie. Trudno było mu spoglądać obojętnie na butelki z piwem, ale ostatecznie zdrowy (czy aby tak do końca?) rozsądek wziął górę.

– Wodę gazowaną i sok pomarańczowy poproszę.

– Proszę bardzo.

Gdy ekspedientka podała mu butelkę wraz z kartonem, wielka duma go tak mocno zaczęła rozpierać z powodu silnej woli, jaką się wykazał, że po pytaniu ekspedientki:

– „Czy coś jeszcze pan sobie życzy?", stwierdził, że udało mu się! Dlatego też może chwilę, dosłownie pół sekundy, po tak ogromnym sukcesie wpadł na genialny pomysł nagrodzenia siebie za tak wielki wyczyn. Odpowiedział tylko:

– Jeszcze może dwieście gramów gorzkiej żołądkowej poproszę.

Gdy wsiadał do samochodu, ręka z trzymaną w niej butelką mu zadrżała.

– Nie wiadomo jak tam będzie. Może na razie poczekam.

„Trudne decyzje musi podejmować policjant na służbie i poza nią. Ktoś, kto nie był policjantem, myśli, że to bułka z masłem" – pomyślał i pełną butelkę z alkoholem schował do kieszeni, a napił się pomarańczowego soku. Odpalił swojego opla i pojechał dalej.

Jadąc ulicą Kościuszki, z daleka ujrzał dosyć duży budynek domu kultury, stojący po prawej stronie, na którego szczytowej ścianie widoczne były bezładne napisy i graffiti. Jego uwagę zwróciły dwa największe: „Miasto cudów i tanich numerków" oraz „Zelów – Stolica Chin".

„O cudach słyszałem, ale te numerki?... To nawet mi na rękę, trzeba to sprawdzić" – pomyślał jakże analitycznie na podstawie swojej wstrzemięźliwości seksualnej. – „Czemu jednak stolica Chin? Cuda cudami, ale tu ktoś głupoty wypisuje. Zacznę robotę, to zajmę się tym" – dokończył myśl. Tymczasem nawet się nie zatrzymywał, tylko pojechał dalej.

Przejeżdżając obok samego domu kultury, wyprzedził rowerzystkę jadącą z ziemniakami i burakami na kierownicy, którą wcześniej widział pod sklepem. Zbliżał się już do skrzyżowania z podporządkowaną drogą, znajdującą się z prawej strony, a prowadzącą do Szczercowa, z której to nagle prosto pod koła wyjechał mu starszy mężczyzna na rowerze. Jego poniedziałkowa sprawność psychofizyczna nie była może na najwyższym poziomie, ale widząc rowerzystę, natychmiast wcisnął pedał hamulca. Auto nie miało ABS-u, dlatego rozległ się głośny pisk opon. Wiesław Winny, w tym jednym ułamku sekundy czuł się tak, jakby jego życie toczyło się w zwolnionym tempie. Auto piszczało i sunęło dalej, a w jego głowie zaczęły się odtwarzać sceny z życia. Były to różne sceny: ucieczka z płonącego komisariatu, wybuch gazu i pościg, i dachowanie radiowozem... A auto sunęło dalej. Mężczyzna na rowerze wjeżdżał pod maskę opla. Na początku Winnemu wydawało się, że uniknie zderzenia, później, że trąci tylko tego mężczyznę prawym błotnikiem, lecz teraz już rowerzysta znajdował się centralnie na środku zderzaka. Zdawało mu się, że to wszystko tak bardzo długo trwało. Trzygodzinny nudny film w kinie z nieciekawą fabułą, w którym czeka się na upragniony koniec. Tu tylko z tą różnicą, że film nie był nudny, był przerażający dla samego widza, ale tak samo czekał na jego koniec.

Koniec jednak, gdy nadszedł, nie pozwolił uniknąć wypadku. Samochód uderzył rowerzystę. Rower leżał przy zderzaku, a samego mężczyznę siła uderzenia odrzuciła trzy metry dalej.

– O kurwa! – krzyczał Winny, zaciągając ręczny hamulec i wypinając się z pasa bezpieczeństwa.

Przerażony szybko otworzył drzwi, wcale nie oglądając się do tyłu. W tym czasie na wysokości tych drzwi jechała już kobieta z warzywami. Widząc, co się stało starała się ominąć samochód Wiesława i pojechać dalej. Nie zachowała jednak odpowiedniej odległości, a Wiesław Winny, co tu dużo mówić, sam był sobie winny, bo, wysiadając, nie upewnił się, czy coś mu nie zagraża z tyłu. Zanim zdążył wysiąść, lekko zawadził drzwiami o worek z burakami i jego oczom ukazał się makabryczny obraz. Z przodu, przed zderzakiem, próbował się podnieść starszy mężczyzna, a z boku w rozsypanych ziemniakach i w burakach leżała kobieta w nieokreślonym z powodu zaawansowanego zaniedbania wieku. Część buraków uszkodziła się i zabrudziła asfalt czerwonym sokiem, który również na swoim ciele miała kobieta. Dodatkowo w chwili upadku jej sweter rozerwał się w jednym miejscu, a uderzenie i przesunięcie ciała wraz z rowerem po asfalcie dopełniło reszty, odsłaniając brzuch kobiety aż po sam, również goły, biust. Przyglądając się tej bardzo przerażającej scenie Winny, gdy tylko wysiadł z samochodu, w pierwszej chwili zwrócił uwagę na kobietę i pomyślał:

„Noo, ale cycki nie wyglądają na takie zaniedbane".

Dopiero w następnej chwili (nie posądzajmy go jednak o jakąś nieczułość czy szowinizm, bo był to ułamek sekundy), widząc tych dwoje rowerzystów pomyślał sobie znów:

„Skąd nagle tyle rowerów? Co to, jakiś Pekin?".

Nawet się nie zastanowił nad tym, że to stwierdzenie już nawiązywało do widniejącego na murze domu kultury napisu, którego genezy jeszcze przed chwilą nie mógł zrozumieć. Sytuacja nie pozwalała mu na to, aby rozmyślać nad takimi błahymi sprawami...

Gdyby spojrzeć na zegarek, to w tym samym czasie, gdzieś dalej, w lasach kociszewskich, na drodze prowadzącej do miejscowości Karczmy, znana już brygada PRDiM kończyła montować znak drogowy. Obaj panowie usiedli na samochodowych progach w otwartych drzwiach swojego busa i jedli kanapki, popijając je kawą z termosu. Jacek Kamecki siedział po swojej stronie, a Jan Komorowski po swojej, czyli pasażera. Rozmawiali z sobą, nie patrząc na siebie. Auto stało na prawym poboczu, tak więc Jan miał przed oczami przydrożny rów, a za nim las, a Jacek pas drogowy i dopiero za drogą dalszą część lasu. Zamontowany znak drogowy stał odwrócony tyłem do nich.

– Widzisz, młody, jak się chce, to się nawet w poniedziałek można szybko wyrobić.

– No pewnie! Szczególnie, panie Janku, jak mam tak

zaangażowanego współpracownika jak pan.

- Nie przesadzaj znów! Co to masz za filozofię znak zamontować.

W tym czasie zbliżał się jadący drogą rowerzysta. Widać było po jego ubraniu, że to prawdziwy miłośnik kolarstwa. Ubrany był w odzież przeznaczoną do tego typu sportu. Z daleka rzucał się w oczy jego jaskrawozielony strój i kask. Gdy przejeżdżał obok odpoczywających mężczyzn, zapytał zaciekawiony:

- Przepraszam, panowie, co tutaj będzie za znak?

- No jak to, co? Nie widział pan?

- Nie za bardzo – odpowiedział zdziwiony.

- Bo, rogacze może tego nie widzą – zarechotał Komorowski, ciesząc się z własnego niewyszukanego dowcipu.

- Nie bardzo rozumiem, bo tam nic nie ma – odpowiedział z wyczuwalną już w głosie irytacją, po czym wsiadł na rower i pojechał dalej.

Jacek z ciekawości podszedł jeszcze do znaku, aby od frontu zobaczyć jak to wygląda i bardzo się zdziwił tym, co zobaczył.

- Panie Janku! Ale jaja!

- Co jest?!

Znak ostrzegawczy, na którym miał widnieć wizerunek jelenia, bo to znak A 18-b, był tylko pustym żółtym trójkątem. To był znak ustąp pierwszeństwa, czyli A-7, tylko odwrotnie przykręcony do rurki. Komorowski niechętnie, co prawda, ale wstał, aby pójść i przyjrzeć

się temu, o czym mówił młody Kamecki bo nie dowierzał mu tak do końca. Pomyślał sobie, że może dlatego, że akurat nie angażuje się zbytnio dzisiaj, to młody postanowił z niego zażartować. Gdy podszedł, wydał już ostateczną opinię i jakby certyfikowane potwierdzenie tego, co widział.

- O kurwa! Jak to się stało?!

- Ustąp pierwszeństwa zamieniliśmy gdzieś.

- Takie jaja? Może nie było jednego jelenia?

- Był, sam ładowałem i głowę daję, że ładowałem dwa jelenie.

Jan Komorowski patrzył na młodego Kameckiego jeszcze mocno zdziwiony, na co ten odpowiedział, cytując słowa starego współpracownika wypowiadane dosłownie przed chwilą:

- „Co to masz za filozofię znak zamontować?".

- No to masz – odpowiedział Jan, drapiąc się po głowie.

- Gdzie my to zmieniliśmy?

- „Ustąp", były dwa dzisiaj. Jeden na zakręcie w Pożdżenicach, a drugi w Zelowie.

- Cholera jasna! A tak pięknie robota była podgoniona!

Tymczasem Wiesław Winny widząc efekt rowerowej kraksy nie wiedział do kogo podejść w pierwszej kolejności. Mężczyzna leżący na tym samym pasie przed zderzakiem opla ruszał się i próbował wstać,

jednak kobieta ubrudzona częściowo sokiem z buraków, pomimo odsłoniętego biustu, wyglądała chyba gorzej. Zaczął podnosić ją pierwszą, zresztą jako dżentelmen uznał, że kobiety mają pierwszeństwo. „Pierwszeństwo!" – pomyślał znów. – „Kto tu miał pierwszeństwo?". Zastanowiła go ta myśl, bo jechał sobie spokojnie, nie spodziewając się wymuszenia.

Uczestnicy ruchu zatrzymywali się, widząc wypadek .Ktoś dzwonił już na numer alarmowy 112. Ulica Kościuszki to główna droga przebiegająca przez Zelów, ale ruch wtedy nie był duży. Pomimo tego zdążyły już stanąć obok trzy samochody, pięciu rowerzystów-gapiów i jeszcze z pobliskiego budynku, wiedzeni ciekawością, wyszli mieszkańcy. Nikt nie próbował udzielać pomocy i pomagać Winnemu, tylko zaczęły się komentarze i osądzenia, kto winny. Ewidentnie sprawcą był rowerzysta, lecz czy na pewno ewidentnie? Nie widząc znaku mówiącego o ustąpieniu pierwszeństwa, jechał na zasadzie dróg równorzędnych i pierwszeństwa z prawej strony. A kobieta? Tutaj zdecydowanie Winny mógł być winny.

Do posterunku miejscowej policji nie było już daleko, może pięćset metrów, i trzeba przyznać, że radiowóz przyjechał bardzo szybko. Już o tyle było lepiej dla Wiesława, że dwoje policjantów zajęło się mężczyzną i zabezpieczaniem miejsca wypadku. Filigranowa blondynka, kapral Żaneta Kalicka, zajęła się swoją pracą, a Wiesław znów sobie pomyślał niewinnie przez chwilę,

że jednak w ogólnym bilansie to ona wnosi w ten drastyczny krajobraz dużo ciepła i zmysłowości. Szczupły sierżant – lub nawet nie szczupły, tylko bardzo chudy – Kajetan Krajda również oddany był swej pracy, lecz to o kapral Żanecie Kalickiej Winny pomyślał, że już swoją samą tylko fizjonomią zasługuje na awans. „Ciekawe jak się nam będzie ta współpraca układać?" – snuł wizje o przyszłości.

Wezwane przez numer alarmowy pogotowie miało przyjechać z pobliskiego Bełchatowa, a to dwudziestokilometrowy odcinek drogi, więc trochę czasu musiało upłynąć zanim karetka się pojawiła. Jednak po chwili nie wyglądało to tak tragicznie jak zapowiadało się na samym początku. Zaniedbana kobieta tylko rozpaczała, żałując zniszczonych warzyw i roweru. Czerwone plamy na ciele poszkodowanej, które dodawały grozy temu obrazowi, okazały się tylko sokiem z buraków. Najbardziej rozpaczała nawet nie z powodu tego rozdartego swetra, tylko odsłoniętych piersi, które ujrzały światło dzienne. Winny znów myślał sobie, że chyba nigdy nie zrozumie kobiet. To, co w ogólnym bilansie branym pod uwagę przy postrzeganiu tej zaniedbanej kobiety dawało jej najwięcej punktów, dla niej było jakby upokorzeniem.

– Nie rozumiem – mruknął już dość głośno pod nosem. „Ale co tam ta kobieta" – myślał dalej – „skoro Żaneta Kalicka ratuje ten, dosłownie upadły, albo może raczej przyziemny krajobraz". Chociaż teraz może na-

wet już nie przyziemny, ponieważ poszkodowany rowerzysta nie miał złamań, tylko sińce i zadrapania i nawet stał na chodniku o własnych siłach. Winny patrzył na przedni pas, zderzak i błotnik swojego opla kadeta i pomyślał, że największym poszkodowanym tutaj jest właśnie on. Niewinnie sobie jechał i tak wyszło.

Sierżant Kajetan Krajda rozmawiał z poszkodowanym i jednocześnie potencjalnym sprawcą.

– Nie widział pan, że tu jest droga z pierwszeństwem przejazdu?

– Gdzie?

– No tutaj!

– Panie! Kiedyś była może.

– Cały czas jest.

– Niech mi pan pokaże gdzie?

Sierżant dopiero teraz spojrzał na znak z namalowanym jeleniem. Zdjął czapkę i podrapał się w głowę, zastanawiając się jednocześnie skąd tu w mieście znak ostrzegający przed jeleniami. Co prawda jechał kiedyś ulicą Piotrkowską i przed samochodem przeleciały mu dwie sarny, więc może zarządca drogi tak sobie to wymyślił. Wielka niewiadoma nie pozwalała, aby to wszystko ogarnął tak od razu.

– No i co, panie władzo? Tu mowa tylko o jeleniach, no to uważałem. Byłem z prawej strony, to chyba miałem pierwszeństwo.

Wiesław Winny nic się nie odzywał, tylko przyglądał

się pracy tego duetu, a może nawet na cały duet nie patrzył, bardziej skupiał się na jego żeńskiej części. Sierżant natomiast dalej drapał się po głowie i miał niezłą zagwozdkę. W końcu założył czapkę i odezwał się do sprawcy-niesprawcy, a mianowicie do kierującego rowerem.

– O zasadach ograniczonego zaufania pan słyszał?

– Panie, coś pan! Człowiek wygląda na poważnego, niech pan popatrzy. Jak mu nie ufać? – powiedział i wskazał ręką na Winnego.

Mężczyzna ten w jednej chwili zaskarbił sobie serce Wiesława. Chociaż przyglądał się kapral Żanecie, to już polubił tego biednego człowieka, myśląc: „To jest przynajmniej człowiek, który zna się na ludziach. Lubię takich".

– No, ale miałem pierwszeństwo – opowiadał dalej rowerzysta. – Tu tylko jest mowa o jeleniach, to uważałem.

– O tym właśnie mówię! Skąd mógł pan wcześniej wiedzieć, albo może... domniemywać, że potencjalny kierowca nie jest rogaczem?

– Panie! To są jakieś jaja!

Akurat Winny to słyszał. Tym stwierdzeniem sierżant wyrobił sobie opinię, której chyba już nigdy w życiu nie zdoła wymazać z pamięci Wiesława. Sierżant może i chciał dobrze...

– Proszę pana! Przyjmuje pan mandat, czy kierować wniosek do sądu grodzkiego?

- Cholera jasna! Z władzą się nie dyskutuje, pisz pan, przyjmuję, bo przecież wiem, że sądy tylko by mnie z torbami puściły.

- Zbyt wielkich toreb też nie może pan wozić na rowerze. Proszę popatrzeć jak tamta pani na tym wyszła.

- A wyszła! Gdzie? Przecież jechała?

- To niech pan popatrzy w takim razie jak wylądowała.

Kiedy sierżant wypisywał mandat, komisarz Winny pomyślał, że ten Zelów, o którym tyle mu inni opowiadali, już zaczynał mu się dawać we znaki. Był rozwiedziony, ale zanim zdążył sobie nawet pomyśleć o jakiejkolwiek przygodzie miłosnej, już na samym wjeździe zrobiono z niego rogacza. Nie wiedział jak potraktować taką złą wróżbę, lecz zakwalifikował ją do wspomnianej kategorii zelowskich cudów.

Gdy znana nam brygada pracowników drogowych podjechała na miejsce swojej poprzedniej pracy, uczestnicy wypadku zdążyli już się rozjechać. Komisarz Winny pojechał swoim oplem, ponieważ uszkodzenia nie były groźne. Rozbity reflektor i kierunkowskaz dyskwalifikowałyby każdy inny pojazd, aby kontynuować jazdę, lecz para patrolująca pozwoliła na to, gdy już wszystko się wyjaśniło i Winny pokazał swoją legitymację. Sierżant Krajda, mimo wszelkich starań, nie zaskarbił sobie serca komisarza Winnego. Pojechali na komendę i na miejscu wypadku pozostały tylko ślady po rozbitych lampach.

Jacek Kamecki zajechał busem w to samo miejsce, w którym stali poprzednio i obaj wysiedli z pojazdu z zamiarem zamiany znaków i naprawienia błędu. Kiedy wysiedli, Komorowski, niczym detektyw, spostrzegł i zaczął analizować ślady w postaci rozbitych plastików. Podszedł bliżej, spojrzał jeszcze tylko na zamontowany znak i głośno krzyknął:

- Ty! Młody! Coś ty tu, kurwa, odpierdolił?!

- Ja?!

- A kto? Moja? Ja byłem w sklepie!

- No tak. Nieomylny ten, co nic nie robi.

- Nie przesadzaj! Co to jest za filozofia znak zamontować?

- Wychodzi na to, że jest – powiedział Jacek z lekko zaczerwienioną twarzą.

Wiesławowi Winnemu wydawało się, że po trafieniu do Zelowa nie będzie miał dużo pracy. Myślał, że to małe miasteczko będzie gwarantowało mu prowincjonalny spokój i sielankę. Po zapoznaniu się z posterunkiem i resztą policjantów tam pracujących był trochę zdezorientowany i nie wiedział dokładnie czy sobie poradzi . Komisariat był dużo większy, niż się spodziewał, i pracujących w nim funkcjonariuszy też było więcej. Wcześniej, już na poczet przyszłej pracy, wynajął mieszkanie w bloku przy ulicy Szkolnej, na której, przy skrzyżowaniu z ulicą Kościuszki, znajdował się również komisariat.

„Miałem nosa, bo to praktyczne rozwiązanie" - pomyślał. - „Do pracy blisko".

Mógł chodzić do pracy pieszo i nie musiał się narażać. Nie brał pod uwagę tylko narażania się podczas jazdy pod ewentualnym wpływem alkoholu. Przez cały dzień obserwował ulicę i nie chciał się narażać na ewentualne uczestniczenie w ruchu drogowym wraz z taką ilością rowerzystów. Od pierwszego kontaktu z Zelowem miał już dość rowerów i rowerzystów.

- Czego jeszcze - pytał się siebie - będę miał dość w tym mieście?

Przejął obowiązki, zapoznał się z załogą i w końcu mógł po ciężkim dniu pracy iść urządzić się w wynajętym mieszkaniu. Jaki był miło zaskoczony, gdy sięgnął do kieszeni kurtki. Okazało się, że zapomniał o gorzkiej żołądkowej kupionej w Saskiej Tęczy. Cieszył się, jakby odkrył zabytkowe monety z czasów insurekcji kościuszkowskiej i nie omieszkał natychmiast skorzystać z tego skarbu, puszczając go w obieg.

Jak wielkim odkrywcą był Winny okazało się na drugi dzień, kiedy to, urządzając swój gabinet, w jednej z szafek znalazł głęboko schowaną pełną butelkę brandy o pojemności 0,7 litra. Potraktował to jako wyjątkową wróżbę powodzenia i szczęścia, i - co tu dużo mówić - po opróżnieniu aż szkoda było mu wyrzucać tę pustą szklaną pamiątkę.

- A nuż może postawić gdzieś na szafce, jako amulet? - rozważał. - Tyle już razy jakoś miałem pecha,

może ta butelka przyniosłaby mi szczęście i w razie potrzeby niewinność?

Trzeba przyznać, że jak na komisarza, to myśli miał wyjątkowo osobliwe. Tym bardziej, gdy nie mógł sobie poradzić ze swoim popędem seksualnym i postanowił... znaleźć odpowiednią panią do tej wiadomej rozrywki.

- „Z tymi tanimi numerkami to jakaś lipa" - myślał, zapinając pasek przy spodniach .- „Jakoś jednak muszę tu żyć".

Dziewczyna nie była zelowianką, a jej wschodni akcent mógł wskazywać na ukraińskie pochodzenie, lecz w tak nagłych przypadkach Wiesław nie analizował tego, poza tym nie był żadnym nacjonalistą ani rasistą. To była potrzeba chwili i nie było czasu. „Przecież, pomimo że doszedłem, to dochodzenia nie prowadzę" - myślał. - „Całe szczęście, że jeszcze moja legitymacja wzbudza jakiś szacunek, przynajmniej... w takich palących kontaktach".

Najgorsze, czego się bał komisarz Winny, to kolejna poważniejsza wtopa w tym mieście, które było jego ostatnią deską ratunku. Starał się nie podpadać i wykonywać swoje obowiązki sumiennie. Sam Zelów, i cała gmina, nie był też jakimś zagłębiem skrywającym czy wychowującym przestępców. Po poznaniu topografii samego miasta i gminy oraz całej załogi pracującej na komendzie, komisarz uznał, że jest dobrze. Jak mówił mu wuj senator, nie ma tu metra ani hoteli pięcio-

gwiazdkowych, to i szemrane towarzystwo się nie zbiera w takich przybytkach. Było jedynie trochę tak zwanej „drobnicy", jak to zwykł określać po swojemu komisarz. Wystarczyło przegonić młodzież biesiadującą na tak zwanym Kwasie, czyli parku miejskim imienia Romualda Traugutta, czy zabezpieczyć procesję w Boże Ciało. Komisarz Winny zdążył poznać już miejscowych z różnych środowisk i z różnych sfer, tych niższych i wyższych. Najgorzej podchodził do współpracy z panem burmistrzem, bo to - jak mówił - „ciężki temat". Pan burmistrz zwracał się do niego oficjalnie i tak samo on starał się zachowywać. Wspominał z sentymentem burmistrza ze Strzela, który to razem z nim dość często nie do jednej butelki zaglądał...

- Ech, polityczna kurtuazja! - wzdychał na myśl o najwyższej lokalnej władzy.

Całkiem inaczej wzdychał na widok kapral Żanety Kalickiej i starał się ją traktować wyjątkowo, lecz w tym przypadku również spotykał się z oficjalnymi i chłodnymi odpowiedziami. Próbował różnie, aż w pewnym momencie pomyślał sobie w końcu, że musi uważać, bo jak mówił: „Młoda jest i umysł ma gorący, to nie wiadomo, co jej do głowy może strzelić, tym bardziej, że istniało prawdopodobieństwo, że słowo *strzelić* mogłaby potraktować dosłownie, myląc tylko głowy". Jednym zdaniem można powiedzieć, że opamiętał się w pewnej chwili.

Po jakimś czasie Wiesław, jakoś tak niechcący, zau-

ważył, że jednak ciężko żyje się w Zelowie. Nie chodziło mu dokładnie o warunki socjalne czy jakieś inne społeczne lub ekonomiczne czynniki. Niepokojące objawy i palący ból cewki moczowej zmusiły go wręcz do zamówienia wizyty u lekarza. Prawda okazała się okrutna. Co tu dużo mówić, po łacińsku choroba nazywała się *gonorrhoea* i nie było odwrotu, trzeba było ją leczyć. Komisarz jednak mocno zachodził w głowę, analizując jak to się stało. Stosował prezerwatywę i starał się zachować pełne bezpieczeństwo. Wrócił pamięcią do napisu, który ujrzał pierwszego dnia w Zelowie i pomyślał, że znów to należałoby do jakiegoś cudu zaliczyć, lecz po chwili wymruczał pod nosem:

- Do dupy z takim cudem!

„Do dupy, czyli gdzie? Jestem w Zelowie" - rozważał dalej.

Jego dochodzenie w sprawie poszukiwania Ukrainki nie przyniosło żadnych efektów. „Dziwna to sprawa" - pomyślał - „syfa bardzo łatwo załapać, a już dociec, skąd się wziął, nie jest takie proste". Pozytywny wniosek, jaki z tej przygody wyciągnął, to taki, że przecież kobieta ta nie była z Zelowa. Źle świadczyło to o Ukraince, ale jak dobrze o zelowiankach. Z taką puentą podjął się leczenia z nadzieją na wyzdrowienie.

Prawda, o której Winny nie miał zielonego pojęcia, była taka, że ta legitymacja, która miała obniżyć koszty usługi, obniżyła i owszem, lecz kosztem podwyższonego ryzyka. Ukrainka się o to postarała. Tym samym

Winnemu - według zaleceń lekarza - przynajmniej na jakiś czas przeszła ochota na seks.

- Jak tu żyć w takich warunkach? - Po raz kolejny zastanawiał się nad życiem, kupując dwustumililitrową butelkę alkoholu. - Niewinny łyczek nie zaszkodzi, tym bardziej, że ten niewinny łyczek wypije Winny. Wszystko się zbilansuje i wyjdzie na zero. - Takie motto przyświecało Wiesławowi, którym tłumaczył sobie to „alkoholowe zaangażowanie".

Pewnego ciepłego popołudnia, gdy szedł ulicą Żeromskiego i zerkał na budynek urzędu miasta, z daleka zauważył murowany komin po dawnej cegielni. Sam komin nie budziłby żadnych skojarzeń. Cegielni już dawno nie było i po jakichkolwiek budynkach pozostało już niewiele albo tylko gruz i zgliszcza, porastające powoli krzakami. Pomiędzy ulicą Żeromskiego a Cegielnianą znajdowały się doły pozostałe po wydobyciu gliny, porośnięte również krzakami. Komin, który znajdował się znacznie dalej, zainteresował Winnego, ponieważ dymiło się z niego dosyć mocno.

- Skąd ten dym? Kurwa! Znowu jakiś cud?!

Wypowiadając te słowa, postanowił wzorem dociekliwego policjanta sprawdzić z samej tylko ciekawości, skąd ten dym może pochodzić i natychmiast chciał przejść na drugą stronę jezdni, aby następnie pójść w stronę wspomnianej ulicy Cegielnianej. Zrobił to gwałtownie, wcale nie zwracając uwagi na jezdnię. Droga była wolna, nie słychać było żadnego nadjeżdżającego

samochodu. No właśnie, samochodu nie było słychać, czyli można zrozumieć tok myślenia komisarza, tłumacząc to dodatkowo roztargnieniem. Nie zwrócił on uwagi na około sześćdziesięcioletnią kobietę jadącą na rowerze, tym razem akurat zadbaną. Momentalnie leżeli oboje na asfalcie, a obok nich rower i rozsypana zawartość torby. Teraz była to kiełbasa, papier toaletowy i pomidory. Czy to było nieszczęście? Raczej tylko incydent, bo pomidory nie ubrudziły tym razem ciała kobiety i nie miała rozdartego swetra.

- Jak pani jedzie?! Nie widziała pani, że idę?! - zaatakował ją Winny.

- A pan nie widział, że ja jechałam?! - broniła się kobieta.

- Powinna pani zachować ostrożność!

- Nie wmówi mi pan, że jestem winna, możemy iść na policję.

- Ja jestem Winny...

Ugryzł się w język i już nic więcej nie mówił, a chciał powiedzieć: „Ja jestem Winny i pracuję w policji". Przeprosił tylko za zachowanie, bo rzeczywiście, analizując je, doszedł do wniosku, że jednak mogło to wyglądać na wtargnięcie na jezdnię i tak właściwie, to nie ma co tej kobiety gnębić. Jednak po raz kolejny znów podczas tego incydentu pomyślał: „Kurwa, Pekin normalnie!". Miał już chyba uczulenie na zelowskich rowerzystów. Irytowali go też motocykliści, którzy przejeżdżali z ogromnym hukiem powodującym trzęsienie się

połowy miasta, przez co budynki sprawiały wrażenie żużlowych pustaków stojących na stole wibracyjnym. Gdyby to mogło zależeć od samego komisarza, już dawno porobiłby zakazy jazdy na rowerach i motocyklach...

Porobiłby takie zakazy, ale znając brygadę z przedsiębiorstwa robót drogowych, nie mamy pewności jak takie zakazy wyglądałyby w praktyce. Lepiej więc niech pozostanie tak, jak jest, a komisarz swoje zakazy niech sobie stosuje tylko we własnej głowie.

Incydent z rowerzystką odwrócił wtedy jego uwagę od dymiącego komina i w zasadzie całkiem o tym zapomniał. Komin stał tak jak zawsze w tym samym miejscu, bo gdzie miałby stać? Mógł tylko stać lub być całkowicie rozebrany. Jednak stał i gdy nie dymił, nie przykuwał uwagi komisarza. Nie przykuwał tak przez okres około dwóch tygodni, by którejś pięknej soboty znów sytuacja się powtórzyła. Winny tak samo jak poprzednio szedł ulicą Żeromskiego, a potem chciał dojść do ulicy Cegielnianej i wtedy zauważył, że, tak samo jak przedtem, komin znów kopcił. Jedynie komisarz nie przechodził tak samo jak wcześniej przez jezdnię. Zwrócił na to większą uwagę, chociaż akurat w tym przypadku brak uczestników ruchu pozwalał mu na to, aby zachowywał się tak, jak poprzednio. Teraz nic by się nie stało i komisarz przeszedłby niezauważony, ale przecież tak właśnie dochodzi do wypadków, wystarczy chwila nieuwagi. „Ostrożności nigdy za wiele, czy

to na jezdni, czy akurat w... łóżku". – Wyciągnął jakże filozoficzny wniosek, wspominając Ukrainkę, i poszedł dalej.

Skręcił w ścieżkę prowadzącą do tej starej i dawno nieczynnej cegielni. Budynek był lekko zdewastowany – nie było żadnych okien i drzwi, czyli wszystko tak, jak miało być. Zdziwił go tylko napis wymalowany sprayem na betonowej ścianie, który brzmiał: „Tylko WINNY się tłumaczy". Napisany wielkimi literami, nie pozwolił mu na wyciągnięcie wniosków czy to przypadkowy napis, czy może też mógł dotyczyć konkretnie jego osoby. Cegielnia od dawna była nieczynna, lecz kopciła gorzej od jakiegoś niemieckiego krematorium w czasie wojny albo może... jak fabryka asfaltu w jego rodzinnym mieście, którą akurat sobie przypomniał. Gdy wszedł do tego zdewastowanego budynku i podszedł jeszcze bliżej, zauważył biesiadującą w środku młodzież. Nie było widać wszystkiego dokładnie, lecz dookoła stali nastolatkowie płci obojga, jak również siedziała na prowizorycznych postumentach zrobionych z cegieł i na fotelach przytaszczonych tu pewnie z jakiejś wystawki. Na środku w otworze kominowym paliło się ognisko, do którego dokładano nie tylko drewna, lecz wrzucona była także stara opona.

– Czyli biesiada i grill – stwierdził, mówiąc to do siebie. Można powiedzieć, że jego ciekawość została zaspokojona i nawet może w pierwszej chwili nie miał zamiaru interweniować i psuć młodzieży zabawy. Miał

co prawda w kieszeni blachę oraz broń i początkowo wydawało mu się, że dałby jakoś radę, lecz to była sobota i weekend, więc nie chciał sobie również tym zaangażowaniem psuć humoru. Mimo to, wiedziony ciekawością, podszedł bliżej. W pewnym momencie ktoś zauważył jego postać stojącą dość blisko za ścianą i teraz już nie wiadomo czy nawiązał do zawodu komisarza, czy może do jego twarzy przypominającej trochę doga niemieckiego, lecz faktem jest, że krzyknął wtedy głośno:

- Uwaga! Tam pies jest!!!

- Chodu!!! - krzyknął ktoś inny.

Zanim komisarz zbliżył się, wszyscy momentalnie wybiegli spod komina i, opuszczając budynek, rozbiegli się we wszystkich kierunkach. Teren dookoła był porośnięty krzakami, więc nie sposób było cokolwiek zrobić. Żaden pościg czy jakieś głupie słowa „stój, policja!" nie wchodziły w grę. Jedna grupa pobiegła w stronę lasu, który znajdował się za cmentarzem katolickim. Nie sposób też było zapamiętać żadnych znaków szczególnych, a może to komisarz nie był ostatnio jakiś dobry w tym zapamiętywaniu. Zdążył zauważyć tylko dziwną i charakterystyczną grafikę na koszulce jednego z uciekających, a reszta rozbiegła się jakoś „niecharakterystycznie". Winny wiedział też dobrze, że sam nie mógł nic zrobić przy takiej grupce osób i dlatego nie interweniował, żeby nie skończyło się to tragicznie. Dla niego tragicznie, ponieważ innej opcji nie

rozważał. „Nie użyję broni" - analizował w głowie - „bo wtedy siły będą nieproporcjonalne, użyję... również kłopot". Pomyślał w pierwszej chwili, że to tylko młodzież i jej niewinna zabawa. „Niechby się bawili, tylko dlaczego uciekli? Jednak Zelów jest na tyle mały" - zastanawiał się dalej - „że nie mogłem tu przechodzić sobie spokojnie nierozpoznany. Tu nie mogłem, to co dopiero gdzieś na mieście? Jak celebrytę jakiegoś... znają mnie!".

Wiedziony zwykłą ciekawością wszedł dalej zobaczyć to opuszczone obozowisko. Ognisko zasilone oponą paliło się w kominie w najlepsze. Nie było to jednak tak interesujące, jak to, że młodzież zostawiła niedopite puszki z piwem i butelki z winem, z czego dwie jeszcze nieotworzone. Znajomo wyglądającą, dwustumililitrową butelkę z zawartością sprawdził tylko, czy nie była odkręcana, i schował do kieszeni, uśmiechając się, tak, jakby dziesięć złotych znalazł i miał na loda... Może jednak na loda nie... Po prostu, jakby znalazł coś do picia, bo przecież znalazł i mógł wypić. Cała ta biesiadna scenografia nie była na tyle ciekawa, ażeby nad nią jakoś się zastanawiać czy cokolwiek rozważać, i to była całkowita prawda, bo to tylko jedno wielkie ceglane gruzowisko. Winny zastanawiał się tylko, czytając etykiety na pozostawionych winach, jak taki trunek mógłby smakować. Przeczytał nawet na głos:

- Poziomkowe z beczki. - Uśmiechnął się po tym i pomyślał: „Widziały one, kurwa, beczkę".

Ostatecznie odmówił sobie poznawania tego nowego smaku, bynajmniej nie z powodu wysublimowanego podniebienia, tylko przez to, że zainteresowały go inne elementy tej scenografii. Była to fajka wodna zrobiona z plastikowej butelki, przewrócona podczas panicznej ucieczki, ale jeszcze lekko dymiąca, i dilerka, czyli plastikowa mała torebeczka z zawartością. Gdyby nawet był to jakiś zielony susz, sytuacja nie wydawałby mu się poważna, lecz w torebce znajdował się biały proszek.

– „Trzeba będzie zająć się tą zelowską „awangardą" – przedsięwziął w myślach, lecz po niezbyt długim zastanowieniu się znów kontynuował: – „Tylko jak? Wziąć proszek i zanieść na komendę, po czym wprowadzić oficjalną procedurę? Za dużo formalności, a świadków i podejrzanych nie ma żadnych". Uznał więc, że taka opcja nie miałaby sensu.

„Znów mogłoby się okazać, że jedynym winnym jestem tylko ja". – Olśniewająca myśl pojawiła się w jego głowie i w końcu zdecydował. Wysypał zawartość torebki, aby mieć święty spokój, a dwustumililitrową butelkę wyjął z kieszeni. Z zadowoleniem spojrzał na butelkę, zerwał banderolę charakterystycznym trzaskiem, który powoduje pęknięcie zabezpieczenia metalowego korka na butelce podczas odkręcania, i pomyślał tylko: „Uwielbiam ten dźwięk", po czym przyłożył szyjkę butelki do ust, zrobił dokładnie dziewięć łyków, a pustą butelkę wyrzucił na ceglany gruz w tę biesiadną scenografię, mówiąc do siebie:

– No, to po akcji, spocznij!

Gdy wracał, zanim przeciął ulicę Żeromskiego, aby później iść dalej, drogą przemknął krwistoczerwony perłowy kabriolet mustang. Za kierownicą siedział ubrany w białą koszulę może czterdziestoletni mężczyzna, a może nawet dużo młodszy niż czterdziestoletni, który miał czarne włosy sięgające do ramion. Wyglądał na playboya lansującego się na mieście. Głośne i ryczące wydechy wraz z muzyką słychać było z daleka, a Winny nawet nie myślał o tym, że mustang nie jechał pięćdziesiąt kilometrów na godzinę, przekraczając dozwoloną prędkość, tylko przyszło mu do głowy, że taki, to musiał jakoś nieuczciwie zarobić na tego mustanga. Kierowcą tego kabrioletu był niejaki Mateusz Malczewski, pseudonim Malkolm, lecz komisarz jeszcze go nie znał. Mało prawdopodobne natomiast, żeby Malkolm nie znał Winnego, wszak był celebrytą, na widok którego, nawet ogień w cegielni gaśnie. Zelowska cegielnia nie istniała już od lat, a tym, który wygasił ostatni ogień w jej kominie był Wiešław Winny, który akurat sprawił to niechcący.

Tydzień minął i oprócz drobnych drogowych interwencji nie wydarzyło się nic złego. Nikt nikogo nie okradł, nikt nikogo nie pobił, może poza jedyną małżeńską awanturą, gdzie musieli przymknąć agresywnego męża. Żona pakowała wartościowe przedmioty do torby i miała zamiar się wyprowadzić. Nie podobało

się to mężowi i gdy po telefonicznym zgłoszeniu sierżant Krajda wchodził do mieszkania, a komisarz Winny go ubezpieczał, torba uderzyła o nadproże drzwi, dokładnie nad głową Krajdy. Całe szczęście dla wchodzącego akurat sierżanta, że jej tor lotu był już zaprogramowany, tak, że poleciała znacznie wyżej, ponieważ rozległ się głos tłuczonego szkła, po czym dopiero torba spadła zrzucając tylko czapkę z jego głowy. Po tym incydencie w torbie nie było już niczego wartościowego, chociaż wcześniej wypełniona była drogą kolekcjonerską porcelaną. Wyprowadzając mężczyznę, Winny skwitował to tylko jednym zdaniem:

- Nikt już tego nie sklei.

Kobieta płakała i nawet nie zwróciła uwagi na to, czy komisarz Winny mówił o porcelanie, czy też o małżeństwie, bo udało się mu jednym zdaniem nawiązać do obydwu przypadków.

Z racji ograniczeń kadrowych policjantom przychodziło pracować w różnych składach i w różnych warunkach, lecz sierżant Krajda, pomimo że starał się i patrzył przychylnym okiem na komisarza, to nie mógł liczyć na to samo. Od pierwszego dnia ten człowiek nie spodobał się Winnemu i ta opinia ciągnęła się za nim cały czas. Teraz też, mimo że oberwał torbą, Krajda nie spotkał się z jakimkolwiek współczuciem ze strony komisarza.

W centrum miasta, obok pawilonu Biedronki, który

był rozbudowanym budynkiem po dawnej restauracji Zacisze, stoi słup ogłoszeniowy. Gdy Winny przechodził obok, zauważył plakat zespołu rockowego, zachęcający do wzięcia udziału w koncercie. Była to miejscowa, zelowska grupa Redrum, która podobno dobrze się zapowiadała. Warto było przyjść i posłuchać, bo wstęp kosztował tylko symboliczne pięć złotych. Nie zainteresowałoby to może wcale komisarza, ponieważ gustował w bardziej skocznej i tanecznej muzyce, gdyby nie inny powód. Przystanął przy tym plakacie, dlatego że na zdjęciu wokalista miał koszulkę akurat z taką samą grafiką, jaka mu utkwiła w głowie, kiedy to młodzież uciekała ze starej cegielni na jego widok. Kolor, tło, orzeł i skrzydła, wszystko tak jakby to samo. Wokalista wyglądał tylko inaczej, ale postanowił się mu przyjrzeć z bliska.

Poniósł niebywałe koszty kupując bilet za pięć złotych, ponieważ poszedł tam prywatnie. Sala zelowskiego domu kultury nie była cała wypełniona ludźmi. Fanów, czy też może nawet takich trochę zainteresowanych muzyką oraz ludzi takich jak on, było może pół sali. Gdy wszedł do środka, zespół już grał i spoglądając na scenę Winny ucieszył się zadowolony ze swojego wyjątkowego nosa, bo wokalista miał właśnie taką samą koszulkę, jaka widniała na plakacie. „Dobre i to" - pomyślał. - „Ale to nie był ten człowiek. Inna postura i inne włosy". Trop był dobry, ale niestety okazał się niewypałem. Skoro już tu był, postanowił poczekać aż

ten człowiek zejdzie ze sceny. Stał i słuchał jak artyści dość ekspresyjnie wykonywali swoje utwory, ale dziwił się szczerze entuzjazmowi szalejących przed samą sceną. To nie były jego klimaty.

Gdy koncert się skończył podszedł do wokalisty, który być może skojarzył, że to komisarz, ponieważ rozmowa nie była za bardzo miła ani towarzyska. Winny nie wymachiwał blachą, tylko chciał prywatnie zapytać.

- Skąd masz tę koszulkę?

- Widzę, że muzyka pana nie interesuje, tylko moja koszulka.

- Pytam się grzecznie, bo mi się podoba.

- Wszędzie można taką kupić.

- W Centrum Handlowym Ptak nie widziałem takiej.

- Nie było w całym Ptaku?

- Nie było. Mów, bo mnie to bardzo interesuje!

Winny widział, że atmosfera nie jest sprzyjająca do rozmowy i niechętnie, ale wyjął wtedy blachę, z nadzieją, że pociągnie rozmówcę za język.

- W Internecie kupiłem, o co chodzi?

- O nic. Widziałem podobną i spodobała mi się. Widzę, że ty masz, więc zainteresowałem się.

- Mogę podać adres sklepu internetowego.

- No dobra, dzięki.

Doszedł do wniosku, że skoro rozmowa się nie klei i niczego mu nie przyniesie, należałoby odpuścić. Podejrzewał co prawda, że z tym Internetem to jakaś bujda

jest lecz wyszedł i wrócił do swego wynajętego mieszkania przy ulicy Szkolnej.

Sprawa wydawała się zamknięta i tak ją potraktował.

- „Po co mam się narażać" - pomyślał...

I zapomniałby pewnie o tym wszystkim... jednak po jakimś czasie patrol - w składzie kapral Kalicka wraz z sierżantem Krajdą - interweniował po telefonicznym zgłoszeniu burdy na tak zwanym Kwasie. Młodzież wyjątkowo upodobała sobie ten park, znajdujący się pomiędzy sklepem Biedronka a targowiskiem miejskim, ponieważ nie znajdował się w centrum i nie było w tym miejscu dobrego monitoringu oraz rosło tam mnóstwo drzew i krzaków, czego nie ma w parku na centralnym placu Dąbrowskiego. Nie można było się też dziwić młodzieży, że akurat tam lubiła przebywać, ponieważ z oferty kulturalnej przygotowanej dla nich przez władze miasta przychodzi do głowy tylko... No właśnie, co? Tak na cito, oprócz mszy świętej, nic nie mogę sobie przypomnieć. Może jeden tylko stadion orlik. Wszyscy więc lubią się spotykać na Kwasie, lecz różne są temperamenty młodych uczestników tych spotkań, do tego czasem różnymi środkami bywają wspomagane. Właśnie duetowi Kalicka-Krajda przypadło zatrzymanie jednego z młodych mężczyzn awanturujących się na Kwasie. Był nim wysoki i szczupły dwudziestojednoletni mężczyzna z gęstymi, czarnymi włosami. Były mocno potargane i miały około dziesię-

ciu centymetrów długości. Z reguły na Kwasie miały miejsce niewielkie bójki i tak stało się też tym razem. To nie był jednak główny powód zatrzymania tego mężczyzny. Głównym powodem była amfetamina, którą rzekomo „ktoś mu włożył do kieszeni". Ani narkotyki, ani bójka nie zainteresowały Winnego aż tak, jak sama postać podejrzanego. Jego włosy, figura i... koszulka, którą miał na sobie, były mu już skądś znane. Mężczyzna odpowiadał dokładnie rysopisowi, jaki zapamiętał podczas wizyty w cegielni.

Winny wraz z sierżantem Krajdą zaczęli rozmawiać z tym człowiekiem.

- Nazwisko!

- Już mówiłem, tak trudno wam zapamiętać?

- Mów, nie podskakuj, bo wiesz, jaka jest sytuacja.

- Jaka?!

Rzucał się, siedząc na krześle, jeszcze niewypięty z kajdanek.

- Artykuł sześćdziesiąty drugi kodeksu karnego, paragraf pierwszy mówi nawet o trójce, a gdybyś się na drugi paragraf załapał, kolego, do dychy.

- He, he, za ten mały woreczek?

- Podejrzewamy, że jest tam więcej niż dwa gramy...

- Ktoś mi to podłożył!

- Nazwisko!

- Malicki.

- Imię!

- Aleksander.

Zatrzymany mężczyzna zmiękł i Winny podejrzewał, że uświadomienie mu kary spowodowało taki efekt. Był pod wpływem alkoholu, ale testy na obecność narkotyków nie wykazały niczego podejrzanego, dopiero próbki krwi ostatecznie miały być dowodem w sprawie. Testy jednak bywały mało skuteczne i nie wykrywały wszystkich środków odurzających. Winny jednak miał nadzieję, że w końcu osiągnie jakiś sukces i coś znajdzie. Ten Malicki, dzięki swojej charakterystycznej koszulce, miał mu w tym pomóc.

Kolejne dni przyniosły nadzieję na większy sukces i Winny postanowił działać jak najszybciej, aby mu podejrzany ptaszek nie odleciał, i można z powodzeniem powiedzieć, że ta jego zachłanność na odniesienie sukcesu powodowała nawet irracjonalne działania. Malicki współpracował i nawet zmiękł na tyle, że wyśpiewał nazwisko dilera. Był nim Mateusz Malczewski, pseudonim Malkolm.

- Komisarzu, coś mi tu nie gra - mówił sierżant Krajda.

- Co ty możesz wiedzieć o takich dochodzeniach, Krajda?!

- Nie chodzi o to, tylko, że ten Malkolm... Bo ja wiem. To rentier i lubi szpanować.

- Już widzisz, jaki z niego rentier i skąd to jego rentierstwo! Mustangi, kabriolety... Musimy działać szybko!!! Gdy tylko zobaczyłem go, jak z rykiem jedzie ulicą Żeromskiego, od razu tak sobie pomyślałem. Skąd

mógłby na to mieć?

- Podobno ma. Giełda, czy coś. Skarbówka się go nie czepiała, bo byłoby coś wiadomo.

- Oj, skarbówka, Krajda! Od uczciwych obywateli, takich jak ja, potrafi grabić ile się da.

- No, to prawda, komisarzu, że system podatkowy słaby u nas jest.

- Ano widzisz! W takim razie nie impotentuj mi tu nic!

- Imputuj! - poprawił go Krajda, ale Winny podekscytowany całą sprawą nawet nie zwrócił na to uwagi.

Wydawało się, że jest jeszcze jakiś potencjał w komisarzu Winnym, bo wizja sukcesu potrafiła zmobilizować go do szybkiego działania. Załatwił wszystkie formalności i brygadę, z którą mieli wkroczyć na rewizję do Malkolma. Gdy tylko dowiedział się od zatrzymanego Malickiego, jakie są fakty, musiał działać szybko, aby być skutecznym. Brygada wkroczyła na teren posesji Malkolma, który niczego się nie spodziewał i był tym faktem mocno zaskoczony. Przeszukano garaż, dom i dwa samochody. Jednym był znany z zelowskich ulic wiśniowy ford mustang cabrio z roku 1969, a drugim było współczesne audi TT również w wersji cabrio, lecz nie znaleziono nigdzie działek z narkotykami. W kuchni znaleziono natomiast niewielką wagę kuchenną.

- Co mi tu, kurwa, pokazujecie?! Gdy byłem żonaty, to żona też taką wagę miała w kuchni. To ma być do-

wód?! - denerwował się komisarz.

Funkcjonariusze szukali dalej i w końcu odnieśli sukces. Sprytnie to sobie Malkolm wykombinował. Papierowa torebka po mące wypełniona białym proszkiem schowana była głęboko w zamrażalniku kuchennej lodówki i leżała niewidoczna za mrożoną szynką.

- Noo! Teraz, to się łączy w logiczną całość. - Wiesław poklepał po ramieniu funkcjonariusza, którego przed chwilą ganił za znalezienie wagi.

Wizja sukcesu potrafi błyskawicznie zadziałać na ludzki mózg, gdyż Winny już snuł wizje odznaczeń i pochwał spływających zewsząd. Nawet widział już minę swojego wuja, gdy chwali się przed nim takim sukcesem. Pokaźna ilość prochów, poważny diler, którego jeszcze przycisną na przesłuchaniu i w krzyżowym ogniu pytań puści farbę i wyśpiewa struktury całej mafii. Winny był głodny takiego sukcesu i miał nadzieję, że rozbije poważny gang narkotykowy. Podekscytowany wybiegał już myślami w przyszłość, ale w snuciu wizji i planów własnego sukcesu mógłby odnieść sukces. Mógłby, jeśli tylko chciałby tę fantazję przenieść, na przykład, na jakieś pisanie scenariuszy.

Malkolm nawet nie protestował, gdy wyprowadzano go skutego w kajdankach. Czarne włosy rozwiewał mu wiatr, a rozpięta jeansowa koszula odsłaniała zawieszony na szyi gruby złoty łańcuch z wizerunkiem Matki Boskiej. Ta Matka Boska wydała się Winnemu podejrzana. Przeważnie wszyscy wieszają sobie symbol wia-

ry katolickiej, czyli krzyż z ukrzyżowanym Jezusem. Dlaczego Malkolm miał coś innego? Winny był katolikiem, ale jakoś nie było mu po drodze do kościoła, lecz teraz akurat tą Matką Boską zaczął sobie mocno głowę zaprzątać.

Po czasie nie wiadomo było nawet jak nazwać to, co miało miejsce. Czy to wina Winnego, że Matka Boska na piersi Malkolma wydała mu się podejrzana, czy może tym podejrzeniem Matka Boska chciała mu coś powiedzieć. Trudno teraz jednoznacznie wyciągać wnioski, dlaczego tak się stało, może to była tylko niecierpliwość Winnego w dążeniu do awansu. W każdym razie bilans nie był dla niego korzystny. Splendor, odznaczenia, pochwały i jakikolwiek awans, musiały zostać odroczone na czas bliżej nieokreślony, ponieważ cała akcja okazała się kompromitacją. Po dokładnym badaniu krwi wyjaśniło się, że zatrzymany Malicki, który wywołał bójkę, nawet nie był pod wpływem środków odurzających. Jedyne, co można mu było zarzucić, to alkohol. Miał jednak tylko 0,8 promila. Proszek, który miał przy sobie, był mąką. „Tak więc" - podejrzewał Winny - „cała bójka w parku na Kwasie również była zwykłą ustawką, która dosłownie narobiła mi niezłego kwasu". Kolejną ekspertyzę narkotyku znalezionego u Malkolma, właśnie Winny czytał, siedząc za swym biurkiem i przecierając oczy ze zdumienia.

- Mąka Wrocławska, typ pięćset?!!! Kurwa mać!!!

Kto wytrzymałby taki stres? W takich przypadkach

uzasadnione jest użycie wszelkich środków, aby jakoś panować nad zdrowiem psychicznym i dziwnym przypadkiem komisarz Winny był na to przygotowany. Dwustumililitrowa butelka pomogła mu w tym i poczuł się lepiej. Musiał złapać oddech zanim przedsięweźmie cokolwiek i zanim spłynie na niego grad niepochlebnych słów i epitetów, którego - jak jakiś prorok - już się spodziewał.

- To nieuniknione, cholera jasna! Ktoś mnie wrobił - mruczał pod nosem, analizując po kolei wszystkie zdarzenia. - To jakaś grubsza afera - myślał na głos dalej. - Przecież to niemożliwe, że tak się stało. U tego zwykła mąka i u tego mąka. Zmówili się!

Jednocześnie jeszcze raz pomyślał o Matce Boskiej, nad którą tyle się zastanawiał, gdy wyprowadzano Malkolma w kajdankach. Jakby chciała mu rzeczywiście powiedzieć:

„Uważaj Wiesiu, uważaj, bo ciemną aureolkę widzę nad twoją głową".

Widać było, że pozytywne myśli i wybitnie wysokie poczucie własnej wartości nie opuszczały Wiesława Winnego, bo z tą aureolką, pomimo że była ciemna, to jednak przesadził. Poczucie własnej wartości i jakże wyjątkowy dar przewidywania, oto są cechy komisarza. Właśnie odbierał już „gratulacje" od przełożonego, których najzwyczajniej się spodziewał.

- Tak, słucham, komisarz Winny! - mówił do słuchawki.

– Winny, dobrze mówisz, że... winny. Co ty tam sobie za jaja odpierdzielasz, co? To jest zabawa? – pytał przełożony.

– Ale, panie nadinspektorze, kto trzyma mąkę w lodówce?

– Każdy, kurwa, kto ma lodówkę może ją tam trzymać!!!

– Jestem tym faktem zaskoczony.

– Malczewski zeznał , że to było najlepsze miejsce, bo tam mole nie docierają! Czuj się więc jak ten mol! Malczewski z Malickim wychodzą z aresztu, a najlepiej byłoby, abyś ty się z nimi zamienił.

– Ewidentnie mnie wrobili, panie nadinspektorze – próbował się (niewinnie) tłumaczyć.

– A ty ze swoim nosem nie miałeś nosa, tak?! Szybko chciał pan Winny odnieść sukces i...

Nadinspektor mówił, a Winny czuł się, jakby słuchał jakiegoś jasnowidza, potrafiącego prześwietlić dokładnie jego myśli, w których poniosły go marzenia. Może zbyt mocno i zbyt wysoko. Jednocześnie pomyślał sobie jak to byłoby dobrze marzyć o rzeczach błahych, które łatwo zrealizować, a w przypadku niespełnienia się ich człowiek miałby dużo mniejszy problem. Te akurat, wysoko szybujące gdzieś w obłokach, nie spełniły się, a z obłoków spaść na ziemię – wiadomo – oby tylko na uszkodzeniach ciała się mogło skończyć, już byłoby dobrze.

– Staram się jak najlepiej traktować swoją służbę i

wypełniać swoje obowiązki, panie nadinspektorze – starał się jeszcze delikatnie usprawiedliwić swoje zachowanie.

– Niewiniątko! Nie mam pojęcia, co z tobą zrobić.

Kiedy położył słuchawkę, nie mógł opanować emocji i najchętniej za pomocą niewielkiej butelki alkoholu doprowadziłby się do stanu wyjątkowo ograniczonej świadomości, żeby tego tak nie przeżywać. Po pierwsze nie był na tyle przygotowany, a po drugie – jak mawiał – służba nie drużba. Lecz nie na darmo komisarz nazywał się Winny – nie z takich opresji już wychodził i dawał sobie radę w życiu. Co prawda w wielu przypadkach z pomocą swojego wuja, ale teraz nie brał takiej alternatywy pod uwagę i myślał, że może znów jakoś mu się to uda. Nawet nie zdawał sobie sprawy jak bardzo był w błędzie, a to być może z tego powodu, że często bywał w błędzie...

W poniedziałek rano dotarła do niego wyjątkowo tragiczna wiadomość, której nie brał pod uwagę nawet w swych najczarniejszych scenariuszach. Były komendant zelowskiego posterunku, inspektor Arkadiusz Rozwadowski, nie umarł! Wizja poprawy jego zdrowia spędzała Winnemu sen z powiek, ale, że jest aż tak źle, nie spodziewał się. Komendant Arkadiusz Rozwadowski najzwyczajniej w świecie w poniedziałek rano pojawił się w pracy. Ta wiadomość bardzo mocno przeraziła Winnego, ale po pozostałej załodze zelowskiej komendy spłynęło to jak woda po jakiejś kaczce, a nawet

- zauważył - jakby wszyscy byli jacyś bardziej z życia zadowoleni, nie bacząc nawet, że to poniedziałek jest.

Patrzył na (teraz już obecnego) komendanta i myślał, czy może to, co widział, zaliczyć do kolejnego zelowskiego cudu? Rozwadowski był przecież chory i umierający, a tutaj patrzył na postawnego i barczystego mężczyznę, wyjątkowo dobrze umięśnionego, który wyglądał tak, jakby codziennie chodził na siłownię. Żadna choroba, a tym bardziej wizja jakiejkolwiek śmierci, nie była nad nim widoczna.

„Ach ten Zelów" - pomyślał, gdy komendant prowadził akurat jakiś monolog skierowany w zasadzie do Winnego. - „Cudowne ozdrowienie, jak nic".

Nie słyszał słów komendanta, tylko dalej myślał, że w żadnym innym mieście taki przypadek nie mógłby mieć miejsca, a tu w Zelowie... Najprawdopodobniej jakiś chłop chciał kosić łąkę i ukradł kosę śmierci.

- Ech, zamiast szukać mąki po lodówkach, trzeba było mi tę kosę znaleźć - taką puentą podsumował cały incydent, mówiąc do siebie cicho pod nosem.

Winny starał się jeszcze jakoś optymistycznie patrzeć na to wszystko, co go spotkało, lecz nie wyglądało to tak dobrze, jakby sobie tego życzył - niestety, życie to nie koncert życzeń. Jakimś cudem - sam nie wiedział tak do końca jakim, dlatego przyjął do wiadomości, że jednak cudem - nawet nie był już zastępcą komendanta i co najgorsze - już niecudownie - z komisarza został podkomisarzem. Został zdegradowany. Jak tu po-

wstrzymać się od łez? Miał już zamiar zadzwonić do swojego wuja i powiedzieć, co się tu dzieje, ale znów się powstrzymał, przypominając sobie film *Seksmisja,* w którym jest taka scena gdzie Maksiu płacze, że kobieta go bije. „Zadzwonię i co powiem?" - pomyślał, opanowując emocje. - „Wujek! W Zelowie robią mi krzywdę!".

Nie zadzwonił i postanowił być męski, jakoś musiał wziąć to na klatę. Tym bardziej, że przypomniał sobie ostatnią rozmowę z wujem. Po pracy zajrzał do sklepu i kupił promocyjną whisky, i wdrożył w życie tak zwane pozytywne myślenie. Leżał na kanapie i oglądał *Komisarza Alexa*, co zaczynało go uspokajać. Nawet powiedział do siebie, mrucząc pod nosem:

- Może to i dobrze, kłopotów i odpowiedzialności będę miał mniej.

Musiał dostosować się do nowych okoliczności, w których przyszło mu żyć, lecz nie było to łatwe. Musiał też już patrzeć inaczej na sierżanta Krajdę, a sam sierżant z kolei spojrzał na Winnego tak właśnie, jakby ten był czemuś winien. Tylko na kapral Kalicką spojrzenie Winnego nie zmieniło się wcale. W niejednych już fantazjach erotycznych Kalicka była postacią, która otrzymywała jedyną rolę żeńską, a jak grała przy tym! Oscara mogłaby dostać. Niestety życie i tak zwana szara rzeczywistość okazywały się okrutne i robiły się jeszcze bardziej okrutne na wspomnienie o Ukraince.

„Życie życiem, pal sześć Ukrainkę, lecz Kalicka to

jednak kobieta!" – myślał dalej.

W oczach nowego komendanta trzeba było budować własny wizerunek i pozbyć się wszelkich fantazji, tylko że spektakularnych sukcesów nie było, a nawet, gdyby się jakieś zapowiadały, Winny był już podejrzliwy i zaczynało mu się odbijać mąką wrocławską. Pomimo to, w myśl powiedzenia „od ziarnka do ziarnka" albo „grosz do grosza" postanowił spróbować drobnymi kroczkami piąć się w górę. Nadarzyła się okazja ku temu, aby odnieść taki niewielki sukces. Pomogły mu w tym „dobre" stosunki sąsiedzkie. Zadzwoniła właśnie kobieta, która uprzejmie chciała poinformować o niecnym procederze, jakim jest bimbrownictwo, którym to aktualnie na terenie swojej posesji zajmują się jej sąsiedzi.

– Dobrze. Zrozumiałem! – powiedział do słuchawki.

– Aktualnie, proszę pana, czyli już teraz! I jeśli nikt nie będzie interweniował, dzwonię wyżej, do powiatu albo do województwa. Nie będę tego tolerowała!

– Zajmiemy się tym, proszę pani.

Sprawa była poważna, a miejsce tego procederu znajdowało się niedaleko. Od komendy to była tylko chwila jazdy samochodem. Oto właśnie z inicjatywy podkomisarza Winnego zajechał na podwórko wspomnianej posesji policyjny ford transit z czterema policjantami. Przy płocie, na sąsiednim podwórku pod krzakiem berberysu stała wyjątkowo zainteresowana kobieta.

„Pewnie informatorka" – pomyślał podkomisarz.

W pomieszczeniu gospodarczym znajdującym się z tyłu za domem mieszkalnym zastali kobietę, która pilnowała metalowego destylatora postawionego na gazie. Silikonowy wężyk odprowadzał gotowy produkt do szklanego słoika stojącego na krześle. Udało się policjantom złapać kobietę na gorącym uczynku. Nie miała nic na swoją obronę, mimo to lamentowała i próbowała się tłumaczyć. Ekipa zabezpieczyła urządzenie, piętnaście litrów zacieru i słoik z gotowym produktem, który tak w zasadzie dopiero zaczął lecieć, bo nie było go chyba więcej niż pół litra.

Wielki sukces ogłosił rzecznik policji, a prasa wyjątkowo pięknie to opisywała. Pojawiły się nawet artykuły w Internecie, do którego komenda była już podłączona. „Wielka bimbrownia zlikwidowana w Zelowie". „Przyłapana na gorącym uczynku". „Kobieta- bimbrownik". „Miejcie się na baczności, w Zelowie policja czuwa". „Zabrano sto pięćdziesiąt decylitrów zacieru i sześćset mililitrów gotowego produktu". Winnemu aż zakręciło się w głowie. Czytał te wszystkie newsy i czuł satysfakcję, że to dzięki niemu doszło do zatrzymania. Pomyślał wtedy o tych drobnych sukcesach. Można i tak. Jednocześnie wyciągał wnioski z tego, jak pięknie prasa potrafiła napisać o tym sukcesie, aby to wyglądało poważniej. Niewiele ponad pół litra bimbru i piętnaście litrów zacieru. Jak by to brzmiało? Ale sześćset mililitrów i sto pięćdziesiąt decylitrów... Tak się odnosi

sukcesy!

Podkomisarz myślał nawet o tym jak można by świętować takie drobne sukcesy. Zelów jednak nie pozwalał na nic innego, oprócz domowego spożycia. Obiad jeszcze można było zjeść w jadłodajni, lecz restauracji, czy baru z prawdziwego zdarzenia, niestety w Zelowie się nie uświadczy.

„To klęska tego miasta" - pomyślał i poszedł zrobić zakupy do pobliskiego sklepu spożywczego.

Gdy tak siedział już w domu, pracując nad konsumpcją, to w dalszym ciągu rozważał ten temat.

- Piją po domach, a potem na interwencje trzeba po całym mieście, i nawet jeszcze gminie, jeździć. Byłaby knajpa, to wszystkie burdy odbywałyby się na miejscu - wyciągał jakże praktyczne wnioski.

Dziwił się swojemu losowi, że tak się stało. On ze wszystkimi swoimi predyspozycjami, charakterem i błyskotliwością, mógłby być kimś, a w Zelowie nawet nie jest już komendantem. Nigdy jednak nie przychodziła mu do głowy jakaś samokrytyka ani nie był gotów na obiektywne spojrzenie. Pewność siebie podkomisarza Winnego nie była niczym zagrożona, a nawet jego pewność siebie była niewinna jak niemowlę lub osiemdziesięcioletnia dziewica.

„To ewentualnie tylko źli ludzie mszczą się na mnie" - myślał.

Poza tymi drobnymi incydentami Winnemu żyło się dobrze. Zelowski klimat mu sprzyjał, dawno wygoił się

z choroby, którą zafundowała mu Ukrainka, i rodziła się w nim wielka chęć do życia i zmian. Jeśli chodziło o kontakty towarzyskie, podczas których podkomisarz Wiesław mógłby poznać jakąś osobę płci przeciwnej, to również trudno było w Zelowie znaleźć miejsce, w którym odbywałyby się jakieś sprzyjające temu imprezy. Zawsze trzeba było jeździć gdzieś dalej. Najbliższą nadającą się do tego miejscówką był Bełchatów. Nie przypadł mu jednak do gustu, ponieważ znów miał pecha na tanecznej imprezie, w której to pan poznawał panią lub odwrotnie. Pojechał na sobotnie tańce do restauracji Kubuś, która słynie z tego typu imprez dla dojrzałych singli. Wpadła mu w oko piękna blondynka. Włosy miała długie, do ramion, ubrana była w czerwoną sukienkę i wzorzyste, czarne rajstopy. Dekolt odsłaniał piersi pokaźnych rozmiarów, akurat takie, jakie lubił. Jednym słowem - bajka. Zaczął niewinnie, od tańca, i konwersacja rozwijała się bardzo pięknie. Po trzecim tańcu, Winny zaczął snuć plany na dalszą część wieczoru, bo pani, a w zasadzie już Mariola, wykazywała wszelkie oznaki tego, żeby nie tylko samym tańcem się interesować. Pech jednak ciągle prześladował Winnego, bo jak można inaczej nazwać to, co się stało?

Wyjątkowym pechem było, że małżonek Marioli, idąc na nocną zmianę do pracy w kopalni, również zapragnął przyjść do Kubusia i poznać kogoś. Pod osłoną nocnej zmiany wziął sobie wolne i... Chyba nie odetchnął z ulgą, widząc Mariolę z Wiesławem. Dobrze się

skończył ten wieczór dla wspomnianego małżonka, bo wizytę w tym lokalu wytłumaczył żonie zazdrością i podejrzliwością. Sam podkomisarz Winny... No cóż, akurat w tym przypadku był niewinny, ale jego szczęka i oczy musiały się dłużej goić. Od tej pory nie przepadał za Bełchatowem. Zawsze, gdy jechał tam, nawet w jakiejś służbowej sprawie, od razu bolała go szczęka. To mogło świadczyć tylko o tym, że Winny jest człowiekiem bardzo wrażliwym.

* * *

Skręcając na słynnym skrzyżowaniu w kierunku Szczercowa, na tym samym, gdzie Winny uczestniczył w wypadku, wjeżdżamy w ulicę Mickiewicza i, gdy dojedziemy nią do końca, zaraz zaczyna się wieś Pożdżenice. Jadąc przez tę wieś, dojechać można do zakrętu, jak mówią wszyscy, lecz w rzeczywistości jest to skrzyżowanie z drogą podporządkowaną, prowadzącą do wsi Sobki. To tutaj, również wtedy, ekipa wymieniała znak ustąp pierwszeństwa przejazdu i tylko tu akurat im się to udało. Skręcając w tamtym kierunku i dojeżdżając po chwili do niedużego lasku, znajdującego się po lewej stronie, możemy zauważyć piękny krajobraz rozpościerający się po prawej stronie. Dookoła na polach mienią się w zachodzącym słońcu wielkie, okrągłe belki słomy, niesprzątnięte jeszcze po żniwach. Gdzieś daleko widać jak biegną sarny i naliczyć można ich aż

jedenaście. Droga schodzi lekko w dół, aby przy niewielkim strumyku bądź rowie melioracyjnym – który nawet latem potrafi czasem całkiem wyschnąć – skręcić w prawo i, po może kilkudziesięciometrowym odcinku, znów odbić w lewo i biec pod niewielką górkę. Tutaj, będąc jeszcze przy tym lesie, wszystko to widać jak na dłoni. Różnica poziomów może nie jest większa niż dziesięć metrów, ale dokładnie widać te pagórki i zabudowania wsi Sobki, które na kolejnym grzbiecie tego niewielkiego pagórka urozmaicają linię horyzontu. Miejscowość ta położona jest dokładnie sześć kilometrów od Zelowa. Nie jest to wielka wieś, ponieważ posiada sześćdziesiąt gospodarstw położonych po jednej stronie drogi, rozpostartych może na około dwukilometrowym odcinku. Gdzieś mniej więcej po środku stał nieduży otynkowany dom ze stodołą wymurowaną z białej cegły. Gospodarstwo to było wybudowane w latach siedemdziesiątych, po wielkim pożarze, jaki tu miał miejsce. Widać już, że budynki dawno nie widziały gospodarskiej ręki, co się potwierdzało, ponieważ mieszkała tu siedemdziesięciopięcioletnia Aurelia Bednarek wraz ze swoją osiemnastoletnią wnuczką Kamilą. Mieszkały tu same, ponieważ rodzice Kamili zginęli w wypadku samochodowym. Aurelia musiała sobie poradzić nie tylko z tak szokującą wiadomością jak śmierć syna i synowej, ale jeszcze z wychowywaniem dziesięcioletniej wówczas wnuczki. Gdy dziecko nie ma odpowiedniego ogniska domowego, trudno jest

je wychować, więc Aurelia starała się jak mogła, lecz nie przynosiło to rezultatów takich, jakich by oczekiwała. Im bardziej Aurelia się starała, tym chyba gorzej jej to wychodziło. Albo może to był tylko efekt zwykłego młodzieńczego buntu i dojrzewania dziewczyny?

Tym razem Kamila zdenerwowała się na babkę, ponieważ znalazła przekazy na dość pokaźne kwoty, które systematycznie Aurelia wpłacała na konto Ojca Dyrektora i Radia Maryja.

– Czy ty jesteś normalna?!

– Muszę wspomagać trochę, bo przecież słucham radia – tłumaczyła się babka.

– Tobie całkiem odbiło. Kasy na nic nie chce starczyć, a ty sobie znalazłaś pijawkę!

– Kamila! Jakoś żyjemy, a to moje piniądze.

– Do garnka mogłabyś coś lepszego włożyć, to nie!

– A ty tyż mogłabyś papirosów tyle nie polić.

– Przestań! Powiedzą w radiu „dej" i już Aurelia pierwsza garnie się do dawania.

– Ażebyś wiedziała! Będę dawała. W Toruniu trzeba dawać.

– Babka! Ubezwłasnowolnię cię chyba! Ojczulek zapłacze „dej"...

– Byłam na wycieczce – przerwała jej – w sześćdziesiątym dziewiątym roku, i widziałam. Tam się od wieków daje.

– Daje, ale od wieków takiej pijawki nie było jak teraz!

– Dzwon mają tam taki wielki. Drugi po Zygmuncie. No, tero, to może w Licheniu duży jeszcze jest.

– Jaki dzwon? Gdzie? – dziwiła się Kamila, nie wiedząc o co dokładnie chodzi babce.

– W Toruniu. „Dej" się nazywo i od tylu lat już tam jest.

– No taaa! To się dowiedziałam, po co są dzwony w kościołach. A ja głupia myślałam, jak byłam dzieckiem, że dzwonki to „dzyń, dzyń" robią, a okazuje się, że to wołanie „dej, dej".

– Kamila! Ty byś tylko chciała jak jako szlachcianka żyć, a Włodek z Iwoną tam się w grobie przewracają. Przecież jakoś żyjemy!

– Ale jak! Do dupy z takim życiem.

– Szlachty jak za jakiegoś... baroku byś chciała, a tu jest wieś. Gdzie niby pałac byś chciała postawić? Pomindzy stodołą a wychodkiem? Zastawę rodową dawno zjadły korniki, to się ciesz, że drewnianą łyżką nie trza jeść. Nie taki szlachcic, Walicki, był w Krześlowie i co tero zostało z jego pałacu?

– Co mnie jakiś przedwojenny Walicki obchodzi! Jadę, babka, nie mogę tego słuchać, wyjadę stąd. Dowód już odebrałam.

Kamila sięgnęła po walizkę, leżącą na trzydrzwiowej szafie pomalowanej na wysoki połysk, rzuciła ją na wersalkę i zaczęła wyjmować ubrania, i układać je w niej. Aurelia siedziała przy okrągłym stole przykrytym obrusem, który własnoręcznie zrobiła na szydełku. Na

parapecie stało niewielkie tranzystorowe radio i słychać było audycję nadawaną przez Radio Maryja. Nieduży kot zaczął łasić się do nogi Kamili. Nie chciała, aby jej przeszkadzał, i odepchnęła go, a nawet można powiedzieć, że go kopnęła. Aurelia patrzyła na Kamilę i płakała.

- Gdzie ty pojedziesz, dziecko, w świat sama?

- A gówno cię to obchodzi!

- Sama zostanę - mówiła i zanosiła się jeszcze większym płaczem.

- Z Tadziem sobie będziesz gruchała. Mnie nie będzie, to więcej może od ciebie wyciągnąć.

Kamila zaczęła składać jeansową kurtkę, aby ułożyć ją w walizce i zauważyła, że nie było jednego guzika.

- Osz cholera! Pralka guzik znów urwała czy co? Nie widziałaś gdzieś? Może był w pralce?

Aurelia załamana już całkiem tym, co widziała, odpowiedziała apatycznie:

- A niech ci tam tyn, co do niego jedziesz, guziki przyszywo i ubrania pierze.

- No cholera jasna!!! Jak tu wyrobić w tej chałupie i nie jechać?!!!

- Oby cie Pan Bóg prowadził, chociaż ty do tego Pana nie za bardzo.

- Przestań już, babka.

Przerwała pakowanie ubrań, podeszła do czteropalnikowej kuchenki gazowej, przy której leżała zapalniczka, wyjęła z kieszeni paczkę papierosów i zapaliła.

Zaciągnęła się dwa razy i wypuściła dym mocno w sufit. Podeszła do telefonu stacjonarnego wiszącego na ścianie w korytarzu, wybrała numer i zadzwoniła.

- Ewelina, masz czas? - powiedziała do słuchawki.

Nie było słychać, co też odpowiada jej koleżanka.

- Przyjdź do szkoły... Noo, dobra, to za godzinę - zakończyła rozmowę i położyła słuchawkę na telefonie.

Z rozmowy wynikało tylko, że Kamila rozmawiała ze swoją koleżanką Eweliną. We wsi, a konkretnie to już prawie na samym jej końcu, ponieważ dalej były jeszcze tylko cztery posesje, znajdowała się stara szkoła podstawowa. Był to niewielki czteroizbowy i drewniany budynek, którego stan można określić jako agonalny. Nie posiadał żadnych okien i drzwi, straszył tylko powybijanymi otworami. W środku był sufit, zrobiony z gliny, desek i drewnianych belek, którego strzałka ugięcia dawno już przekroczyła moment krytyczny. Na budynku wisiała już tabliczka z napisem: „Budynek grozi zawaleniem". Szkoła ta przypominała siedzibę słynnej na całą Polskę drużyny biało-czerwonych z Chrząstawy[2] oddalonej od Sobek o kilkanaście kilometrów. Tam również był to budynek po dawnej szkole podstawowej, podobny do sobkowskiej szkoły, lecz jego stan był dużo lepszy. Tutaj ta stara rudera sprawiała wrażenie, że stoi na swoim dawnym miejscu je-

[2] Drużyna LZS Chrząstawa – rozsławiona w filmie dokumentalnym pt. *Biało-czerwoni z Chrząstawy* w reżyserii Krystiana Kamińskiego.

dynie na podstawie jakiegoś danego słowa honoru albo niewyjaśnionego do końca zjawiska skupienia materii. Nad cudem jego istnienia mogliby się zastanawiać naukowcy i inżynierowie, robiąc przy tej okazji tytuły naukowe. Właściciel budynku, czyli gmina, nic z tym nie robiła, tylko, na zasadzie oszczędności budżetowych, uznała, że przecież jeśli chodzi o rozbiórkę, to sprzymierzeńcem mogą być siły natury.

- Kiedyś to wszystko samo się złoży - mawiał czołowy radny i jedyną wygospodarowaną kwotą na ten cel było sto dwadzieścia złotych wydane na tabliczki ostrzegawcze. Tabliczki jednak nie przeszkodziły dziewczynom, aby zrobić sobie w środku miejsce, w którym mogły się odizolować od otaczającego je szarego świata, porozmawiać z sobą, a często nawet nie tylko porozmawiać. Przed samym wejściem do tej drewnianej placówki rosły jeszcze dwa stare kasztany. Miały spróchniałe pnie i korony, które dawniej były przycinane, przez co drzewa te już ze starości nie rozrastały się zbyt mocno, tylko trwały jeszcze resztkami sił, tak samo, jak trwała ta szkoła. Dla budynku, i dla tych drzew, był to już czas niewróżący świetlanej przyszłości. Wydawało się, że ich koniec może nadejść w każdej chwili.

Robił się już wieczór i słońce zachodziło, rzucając jeszcze na trawę długi cień budynku i stojących przed nim kasztanów. Dziewczyny siedziały w swojej szkolnej kryjówce, odizolowane od całego wiejskiego oto-

czenia i kontemplowały przyjaźń, jednocześnie ubolewając nad własnym życiem. Obie były dość filigranowe. Różniły się tylko kolorem włosów, Kamila miała kruczoczarne i dość krótko przystrzyżone, a Ewelina była blondynką z włosami sięgającymi do ramion. Ewelina przyniosła cztery piwa. Siedziały, piły i paliły skręty z marihuany, którą również, jak zawsze, przyniosła Ewelina.

- Kuźwa, Ewelina, skąd ty masz tyle hajsu, żeby mieć zawsze marychę?

- Daj spokój. Malkolm mi sprzedaje. A ja Malkolmowi daję.

- Nie pierdziel, bo nie uwierzę. On nie handluje.

- A ty skąd wiesz?

- Chciałam kupić i wiem.

- A co ty tam, kurwa, wiesz.

- Nie pierdziel, że jeszcze, w zamian... dostajesz?

- Trzeba korzystać z życia. Ktoś kiedyś powiedział, że trzeba się szanować, i co? Ilu tych, co się szanowali, przez całe życie, potem leży w piachu. Czystych i prawych, szczerych i grzecznych aż do bólu. I co z tego? Jedna wielka kupa gnoju. Proch i popiół.

- Może masz trochę racji. Diamenty, nawet jakby były, to ktoś z boku podpierdoli.

- No widzisz. Trzeba się do życia jakoś dostosować.

- Dlatego ja nie wyrabiam i wyjeżdżam. Po to właśnie.

Ewelina nie chciała powiedzieć całej prawdy o po-

chodzeniu narkotyku, do którego miała dostęp, i celowo wprowadzała Kamilę w błąd. Posłużyła się Malkolmem, ponieważ coś słyszała o tym niesłusznym pomówieniu. Kamila natomiast była zainteresowana kupnem czegoś mocniejszego i tą samą plotką kierowała się, próbując nieudolnie kupić jakiś środek odurzający. Miała to już sprawdzone. Malkolm nie handlował, ale kupiła od kogoś innego. Ostatecznie zawsze rozchodziło się jej o pieniądze, dlatego kupiła tańsze zamienniki, czyli dopalacze nieznanego pochodzenia o nieznanym składzie. „Mają dać porządnego kopa" - tak powiedział jej sprzedawca. Chciała się w ten sposób odwdzięczyć koleżance za częste częstowanie marihuaną.

- Gdzie wyjeżdżasz?

- Nie wyrabiam z babką. Co to za życie? Mówiłam ci, że w Kostrzynie na „Woodzie" poznałam tego Adama.

- Ja pierdzielę, i co?

- No co... Ma trzy dychy, ale mieszka sam. Fajny, na bębnach gra. Mówił, że mogę do niego przyjechać.

- Kurwa, bajka normalnie. Też bym tak chciała.

- Daj spokój, u ciebie starzy jakoś to ogarniają.

- Dupa tam ogarniają! Co to za życie jest, Kamila? Ojciec całe życie sklejki w fabryce układa. Całe życie! Czaisz? A matka... Ty wiesz, co mi matka powiedziała?

- No skąd niby?

- Że ona w moim wieku, jak chciała kasy, to chodziła na jagody i truskawki. No i, żebym sobie poszła dorobić

do Podlesia, do Truskawkowego Barona.

- Ja pierdolę! Ale teraz truskawek nie ma.

- On tam ma cały czas robotę. Jakieś chwasty, coś tam, kurwa, nie wiem.

- Ja pierdolę, tym starym wszystkim chyba cholesterol powyżerał mózgi. Ty? Wyobraź sobie...

- Dlatego sobie nie wyobrażam!

- Nic dziwnego. - Kamila rozejrzała się dookoła po tej szkolnej ruinie, przywołując jakieś myśli. - Skoro chodzili tu, do tej szkoły, to czego ich mogli nauczyć?

- Pewnie kaligrafii tylko. Widziałaś jak moja stara pisze?

- No, widziałam.

- Podobno uczyła tu taka Mirowska. Wszyscy te literki jak w jakimś elementarzu pisali i tak zostało im do tej pory, bo to była dyscyplina i komuna. Ładnie pisać i chuj.

- Ty, ale patrz jak to wszystko się wali, jak ta komuna. - Doszła do takiego wniosku, dalej jeszcze rozglądając się dookoła, jakby chciała znaleźć w tym starym budynku jakiś punk, cokolwiek, co pozwoliłoby jej zmienić zdanie i zatrzymać ją, aby mogła zostać i nie wyjeżdżać, lecz nigdzie takiego punktu nie było.

- Wszystko się kiedyś zawali. Ale tobie może się buduje, co? Kamila?

- Nie przesadzaj, kurwa! W ciąży nie jestem - odpowiedziała oburzona.

- Mówię o bajce i sielance.

– No jadę, to zobaczę.

Paliły skręty i popijały piwem, aż w pewnym momencie Kamila uznała, że to najlepsza pora, aby można już było spróbować swoich dropsów. Wyjęła je z kieszeni i pokazała koleżance.

– Co to jest?

– Podobno dobre.

– Skąd masz?

– Od Malkolma – skłamała wzorem koleżanki.

– Nie pierdol, nie uwierzę.

– Ja kupiłam od niego.

– Kamila, ale ty pojebana jesteś.

– No co? Nie wierzysz, że od Malkolma kupiłam? Ty marychę od niego bierzesz, to myślisz, że takich dropsów nie ma?

– No dobra! Dawaj, spróbujemy, bo jak wyjedziesz, to z kim tu przyjdę?

– Trzymaj.

– No, to zobaczymy, co to jest warte.

Wyjęła dwie białe tabletki z woreczka foliowego, jedną podała koleżance. Wzięły do ust i przepiły piwem. Jeszcze chwilę rozmawiały.

– Też myślałam, żeby to wszystko jebnąć i gdzieś jechać, ale gdzie? Podziwiam cię, że się odważyłaś.

– Nie będę czekała, walizkę już spakowałam i jutro z rana daję nogę.

– Fajnie masz.

Nie potrzeba było zbyt wiele czasu, aby niebezpieczny środek zaczął działać i dziewczyny to zauważyły.

– Ja pierdzielę, ale kopie! – zdziwiła się Ewelina.

– Nieźle!

Środek działał i powoli zaczęły tracić świadomość. Siedziały, już nawet nie rozmawiając z sobą. Ewelina upuściła niedopitą puszkę piwa i z ust pociekła jej ślina.

Szkoła po zamknięciu długo jeszcze służyła za mieszkania komunalne, a potem za świetlicę ZSMP[3]. Na pomalowanej na błękitny kolor ścianie z białym kwiecistym wzorem wymalowanym gumowym wałkiem wisiał jeszcze poszarpany stary plakat z napisem: „Młodzież przyszłością naszej socjalistycznej ojczyzny". Komuny, która nie zapowiadała się zbyt dobrze, już dawno nie było, lecz ta młodzież, siedząca teraz w tym zrujnowanym lokalu, też zbyt dobrze się nie zapowiadała.

W pewnym momencie, gdy w mózgu Kamili jeszcze jakiś kontakt ze światem nie został tak do końca zerwany, poczuła potrzebę oddania moczu. Wstała i, nieporadnie zataczając się i podpierając o ściany, wyszła na zewnątrz. Gdy przed budynkiem spojrzała na rosnące kasztany, wydawało jej się, że to dwa wielkie słonie ją gonią. Pojedyncze gałęzie wyrastające z kikutów pni obciętych na wysokości trzech metrów wyda-

[3] Związek Socjalistycznej Młodzieży Polskiej.

wały jej się podniesionymi do góry trąbami, a spróchniałe dziuple wielkimi otwartymi pyskami. Wtedy też usłyszała głośny ryk rozrywający jej czaszkę. Jedyne co mogła zrobić, to uciekać ile sił w nogach. Biorąc pod uwagę jej odurzenie, nie wychodziło jej to najlepiej, ale uciekała. Słonie były wyimaginowane, więc goniły ją w takim tempie w jakim starała się uciekać. Przebiegła tak może pięćset, a może nawet siedemset metrów, aby na końcu potknąć się o trawiaste pobocze i wylądować w rowie. Po chwili zaczęła się ruszać i próbowała wstać. To chyba potrzeba oddania moczu jeszcze jakoś do mózgu docierała, bo zdążyła nieudolnie i pokracznie podnieść się jeszcze, zdjąć spodnie i kucnąć. W tej pozycji przewróciła się i na dobre straciła przytomność lub po prostu może zasnęła.

Świtało już, gdy się obudziła, i w pierwszej chwili nie wiedziała gdzie się znajduje. Kiedy się dokładniej rozejrzała, zorientowała się, że to jej rodzinna wieś i do domu miała już niedaleko. Wstała, powoli wciągnęła majtki, a po nich spodnie, które sprawiły jej więcej kłopotu, i poszła. Choć było jeszcze bardzo wcześnie, Aurelia już nie spała. Martwiła się z powodu wczorajszej rozmowy z wnuczką, martwiła się, że nie było jej w domu, lecz do takich zmartwień była już przyzwyczajona. Jednak gdy zobaczyła w jakim stanie wróciła Kamila, znów się mocno rozpłakała.

- Dziecko! Jak ty wyglądosz?!!!

- Guzik cię to obchodzi. Jadę stąd w PIS-du.

Aurelia miała jeszcze nadzieję, że to wszystko tylko takie codzienne gadanie i młodzieńczy bunt, który w efekcie końcowym dobrze się skończy, lecz tym razem jednak nie, tym razem jej błagania nic nie pomogły. Kamila wzięła walizkę i jedynymi słowami rzuconymi na pożegnanie było krótkie zdanie:

- No, to jadę, babka!

Nie tyle pojechała, co poszła, ciągnąc swoją walizkę po nierównym asfalcie. Poszła w kierunku najbliższej wioski, skąd mogłaby wsiąść w jakiś autobus czy złapać autostop. Była nią wieś Krześlów, leżąca przy drodze numer 483, prowadzącej aż do samej Częstochowy, która była jednocześnie wspomnianą drogą do Szczercowa. Idąc w tym kierunku, przechodziła obok wczorajszego miejsca spotkania, lecz nie miała potrzeby, żeby zaglądać do środka tej ruiny. Nie pamiętała nic, ale uznała, że Ewelina jest już dawno w domu.

Nie było dobrym pomysłem wyruszenie w taką podróż w niedzielę, ponieważ autobus, który jeździł w kierunku Częstochowy w tygodniu, w ten dzień nie był uwzględniony na rozkładzie. Można więc powiedzieć, że Kamila ze swoją decyzją o wyjeździe szła na tak zwany żywioł, i na taki sam żywioł poszła z planem niedzielnej podróży. Wielkim optymizmem można by nazwać to, czym kierowała się ta, już nie dziewczyna, a raczej młoda kobieta, która od niedawna trzymała w swojej kieszeni dowód osobisty. To ten dokument tak na nią działał. Nie czuła się już zagubioną dziewczynką,

tylko właśnie młodą kobietą, mogącą samodzielnie podejmować decyzje. Czy słuszne? Trudno je ocenić. Miała jednak trochę szczęścia. Wsiadła do niewielkiej ciężarówki, którą kierował młody, dwudziestopięcioletni mężczyzna. I może nawet miała aż tyle szczęścia, że kierowca ten nie jechał prosto do Częstochowy, tylko miał zamiar skręcić w kierunku Wrocławia.

– To mi się udało w takim razie, bo właśnie w tamtym kierunku zmierzam – odpowiedziała ucieszona.

– Proszę wsiadać. Zawsze będzie mi raźniej jechać w takim towarzystwie.

– Dziękuję.

* * *

Niedzielny poranek zapowiadał się wyjątkowo pięknie. Słońce rozgrzewało wychłodzone przez noc ściany budynków i podwórka. Rosa już powoli znikała z zielonych trawników i słupek rtęci szybko piął się w górę. Na podwórku jednego z gospodarstw znajdującego się niedaleko starej szkoły w Sobkach pięćdziesięcioletni Jakub Zamolski wyprowadzał z garażu swojego czerwonego fiata seicento, aby pojechać nim z małżonką na poranną mszę. Była godzina 8.40, kiedy zamknął w kojcu Luksora, dziesięcioletniego owczarka niemieckiego, i otworzył bramę. Luksor zaczął głośno szczekać i wysoko podskakiwać, niezbyt zadowolony z aresztu, który jego pan fundował mu tylko na czas

otwierania bramy. Gdy wsiadł w samochód i wyjechał przed bramę, zauważył jak Luksor przebiegł mu przed kołami i pobiegł dalej. Niezbyt dokładnie przyłożył się do zamknięcia furtki w kojcu i narobił sobie tym kłopotu, bo wiedział, że trudno będzie teraz przywołać tego nieposłusznego psa. Wysiadając z samochodu, zaklął pod nosem.

– Cholera jasna!

Zaczął go nawoływać:

– Luksor, do nogi!

Z samochodu słychać było głos siedzącej na miejscu pasażera odświętnie ubranej małżonki:

– No to narobiłeś! Zanim go złapiesz... Nie zdążymy już na mszę.

Zamolski, zły sam na siebie, że tak wyszło, zdenerwował się jeszcze bardziej, słysząc te słowa. Odpowiedział w złości:

– Mogłaś go sama zamknąć!!! – Po czym dalej nawoływał psa. – Luksor, Luksor!!!

Nie przynosiło to żadnego efektu. Zamknął bramę, zostawiając tylko otwartą furtkę, i poszedł na poszukiwanie psa, nie przestając go nawoływać. Luksor w dalszym ciągu nie bardzo chciał słuchać swojego pana i pobiegł dalej. Wbiegł do budynku starej szkoły i potem już cały czas było słychać stamtąd szczekanie. Zamolski, nie przestając go nawoływać, wszedł do środka budynku, pomimo wywieszonych tablic ostrzegawczych, które zdecydowanie odradzały tego typu dzia-

łanie. Luksor szczekał jakoś dziwnie, inaczej niż zawsze, a to, co po chwili zobaczył jego właściciel o mało nie spowodowało poważnego zachwiania jego psychiką i prawidłowym działaniem serca albo może nawet błędnika, ponieważ mocno zakręciło mu się w głowie i niewiele brakowało, a upadłby. Przez chwilę przytrzymał się tylko ściany i mocno przerażony, łapiąc głębszy oddech, momentalnie krzyknął na cały głos:

– Jezus Maria!!!

Wybiegając z budynku darł już się wniebogłosy.

– Ratunku, ludzie, ratunku!!!

W bezpośrednim sąsiedztwie starej szkoły było tylko jedno gospodarstwo i stamtąd wybiegł mężczyzna. Zobaczywszy go, Zamolski krzyknął z daleka do niego.

– Jezus Maria!!! Bogdan, dzwoń po policję!!!

– Co się stało?! – Bogdan, mocno zdziwiony zachowaniem sąsiada, dopytywał o co chodzi.

– Ewelina Młynarskich, Ewelina, tam!!! – Pokazywał ręką.

– Ale, że co?

– Tam, zabita leży!!!

– Jezus Maria!!! Co ty mówisz?!

Bogdan Tamarysz nie wrócił do mieszkania, aby zadzwonić ze swojego telefonu stacjonarnego, tylko chciał się przekonać na własne oczy, o co dokładnie chodziło Kubie. Gdy weszli do środka, jego oczy z przerażenia zwiększyły chyba swoją objętość dwukrotnie. Momentalnie i odruchowo, nie kontrolując się wcale,

zaklął głośno:

– O kurwa jego mać!!! – Jednocześnie przeżegnał się, aby dopiero po chwili pobiec do domu i zatelefonować.

Szybko wybrał numer i chaotycznie krzyczał do słuchawki. Dyżurny musiał go uspokajać, aby wydobyć na spokojnie informację o tym, co dokładnie się stało, jak wygląda sytuacja i gdzie wysłać służby.

Przybyła na miejsce karetka pogotowia nie była do niczego potrzebna, musiał przyjechać samochód do transportu zwłok. Prokurator oglądał ten makabryczny obraz, a podkomisarz Winny wraz z aspirantem Rosiakiem, sierżantem Krajdą i całą ekipą zabezpieczali ślady. Ewelina leżała na wznak w rogu tej sali, w której jeszcze wieczorem siedziały razem z Kamilą i snuły plany na przyszłość. Miała szeroko rozłożone ręce, dosłownie jak ukrzyżowany Chrystus, i głowę, jakby rozpłataną jakimś ciężkim narzędziem, najprawdopodobniej siekierą. Widok był makabryczny, a pochlapany krwią kąt wraz ze ścianami bardzo mocno to potęgował. Postronnemu obserwatorowi, i to nawet takiemu, który już niejedno w życiu widział, nie mieściło się w głowie, że ta niepozorna dziewczyna mogła mieć w sobie aż tyle krwi, ile było jej narozlewanej dookoła. Policjanci i technicy mieli sporo roboty, lecz nie było zbyt wielu śladów, mogących pomóc w sprawie.

– Nic nie ma! – mówił jeden z policjantów.

– Szukajcie dokładnie, to niemożliwe – odrzekł Winny.

Przybyły na miejsce koroner dokonywał oględzin.

- Nie wygląda na to, żeby to na tle seksualnym było. Leży ubrana, tylko ta głowa - powiedział, wyciągając pierwsze wnioski.

- Kurwa, sufit jakby tu na głowę spadł, to rozumiem, ale takie coś? - dziwił się Rosiak.

- Znaleźliście coś? - Winny pytał kolejnych funkcjonariuszy.

- Na razie nic.

- Cholera jasna. Taka jatka! - dodał Winny, który sam był mocno zszokowany tym widokiem i całym zdarzeniem. „Gdzie jak gdzie" - pomyślał, pytając w duszy samego siebie - „ale tu, w takiej małej wiosce? Okazuje się, że na morderstwo każde miejsce jest dobre".

Technicy zabezpieczali wszelkie ślady, odciski palców, włosy, lecz śmierć tej dziewczyny była wielką zagadką. Nie znaleziono niczego, co mogłoby naprowadzić policję na jakiś trop. W pewnym momencie, wśród mieszaniny spróchniałych desek, gliny i ceglanego gruzu, Winny zauważył coś metalowego.

- Zobaczcie tu, coś srebrnego!

- Guzik! To jest guzik - odpowiedział jeden z funkcjonariuszy.

Zabezpieczono go. Winny pomyślał sobie: „O co może chodzić z tym guzikiem? Prześladują mnie myśli i teraz prześladuje mnie jawa. Czy to znów jakiś zły znak?". Wielu rzeczy nie mógł znieść i w wielu przy-

padkach pomagał sobie na wszelkie możliwe sposoby, lecz teraz widok zmasakrowanej dziewczyny otrzeźwił go. „Jak to się mogło stać? Kogo podejrzewać, od kogo zacząć przesłuchania?".

Gdy służby przeczesały większość terenu, Winny zainicjował jeszcze przeszukanie starego, betonowego basenu przeciwpożarowego, który znajdował się po drugiej stronie drogi w odległości nie większej niż sto metrów od miejsca zbrodni. Stał tak, dawno zapomniany, stary i zarośnięty krzakami. W okresach suszy był prawie bez wody i można było znaleźć w nim tylko wilgotną darninę wraz z błotem.

- Szukajcie tam, a nuż jakieś narzędzie zbrodni się znajdzie.

- Raczej nie widać tu żadnych śladów - odpowiadali.

- Szukać, żeby czasem czegoś nie przeoczyć - rozkazał stanowczo.

Podkomisarz Winny nie chciał zaliczać kolejnych spektakularnych wpadek, dlatego wolał być ostrożny i tym sposobem dołożyć pracy, aby czasem jakiś drobiazg znów nie zniweczył całej ciężkiej pracy nad sprawą i jednocześnie pracy nad jego własnym wizerunkiem. Przeszukano basen i znaleziono wiele metalowych prętów, puszek i w zasadzie nic ciekawego. Nawet niektórzy pracujący przy tym, winą za całą zbędną papraninę w tym błocie zaczęli obarczać Winnego, lecz jeden z bardziej gorliwych funkcjonariuszy zaczął jeszcze analizować sygnał wykrywacza. Rozdep-

tał nogą sporych rozmiarów bryłę mułu i dziwnym przypadkiem wyłonił się z niej jakiś kawałek metalu, który okazał się krótką bronią. Broń ta prawdopodobnie nie miała związku ze sprawą, bo już była lekko skorodowana, co wskazywałoby, że leżała tutaj już jakiś czas. Był to pistolet.

- To pe sześćdziesiąt cztery jest!!! - oświadczył zadowolony ze znaleziska technik.

- Stare jakieś, leżeć musiało tu od lat - odpowiedział Rosiak, który po otrzymaniu sygnału przyszedł tutaj natychmiast.

- Jednak Winny miał nosa!

- Ale to nie wnosi nic do sprawy, tylko dokłada roboty. - Bez entuzjazmu odezwał się Rosiak.

- Mówi się trudno, teraz już się tego nie wyrzuci.

Niespodziewanie przy pięknej sierpniowej niedzieli narobiło się kłopotów i pracy dla policji, prokuratury i jakże wielkiego nieszczęścia dla najbliższych. Po ustaleniu tożsamości denatki należało powiadomić jej rodziców. Młynarscy mieszkali w niewielkim i dość zaniedbanym gospodarstwie. Ich posesja znajdowała się około dwieście metrów dalej niż dom Aurelii Bednarek. Informacja o tak wielkiej tragedii usłyszana z ust policjantów spowodowała ogromny szok i niedowierzanie. Matka zaczęła rwać włosy z głowy i po chwili zemdlała. Ojciec stał roztrzęsiony, lecz świadomy. Nie obyło się bez pomocy lekarza i późniejszej opieki psychologa. Musiało upłynąć trochę czasu zanim ochłonęli

na tyle, aby można było zadać im jakieś pytanie. Policjanci, szukając śladów mogących pomóc w rozwiązaniu tej zagadki, w pokoju Eweliny znaleźli schowaną w wersalce marihuanę. Nie były to jakieś pojedyncze działki, lecz dosyć sporych rozmiarów torba. Wstępne ważenie wykazało, że suszu było około trzysta pięćdziesiąt gramów.

- Sprawa się komplikuje. Była dilerką?

- To raczej nie na własny użytek! - stwierdził Rosiak, odpowiadając podkomisarzowi.

- Chyba że gdzieś na polu miała plantację?

- Tu, na wsi, nawet miała warunki.

- Dobra, Rosiak, trzeba ustalić jej kontakty, znajomości i trzeba wziąć bilingi z tego telefonu.

- Sprawdzimy.

Wstępnie próbowano również przesłuchać rodziców denatki, lecz najprawdopodobniej nie mieli zielonego pojęcia o zapasach córki. Nikt zresztą nie próbował pogrążać ich w tej tragedii, zadając dodatkowe pytania, gdyż byli wystarczająco zszokowani.

- Mogą nam państwo powiedzieć z kim kontaktowała się córka? Miała jakieś koleżanki?

- Jak chodziła do szkoły, to nie wiemy. Teraz, latem, to tylko z Bednarkówną - odpowiedziała zapłakana matka zabitej Eweliny.

- Z kim?

- Z Kamilą Bednarek, tu niedaleko mieszka.

- Córka miała może telefon komórkowy?

– Skąd tam, panie! U nas nie ma we wsi zasięgu i mało kto komórki kupuje.

Kobieta udzielała co prawda odpowiedzi, ale po każdym zdaniu przerywała i zanosiła się płaczem.

– Dziękujemy państwu.

Następną kobietą, którą odwiedzili policjanci, była Aurelia Bednarek. Nie wychodziła ze swego domu i nie wiedziała jeszcze, co się stało. Gdy policjanci uświadomili ją, jaka jest sytuacja, zaczęła lamentować.

– O, Matko Boska!!! A co z Kamilą?!!!

– Tego chcemy się dowiedzieć od pani.

– To ona tak z moją Kamilą tylko się przyjaźniła i obie razem po Sobkach chodziły, a i na dyskoteki też czasami jeździły.

– Może nam pani powiedzieć gdzie jest wnuczka?

– Panie władzo! Sama bym chciała wiedzieć. Zabrała walizkę i pojechała gdzieś rano.

– Nie wie pani dokąd pojechała?

– A skąd, panie! Kłóciła się tylko i nie pasowało jej nic. Mówiła, że jak tylko będzie miała osiemnaście lat, to zabierze się i pojedzie gdzieś, i tak zrobiła. – Aurelia zaczęła głośno płakać.

– Proszę się uspokoić, pani Bednarek. Kiedy pani widziała ostatni raz wnuczkę?

– Rano. Piąta? Może szósta. Sama już nie wiem dokładnie. Nie pamiętam, ale rano wyszła.

– A nie zauważyła pani czegoś niepokojącego?

– Panie, ja cały czas zaniepokojona byłam jej zachowaniem.

– Ale ostatnio?

– Ostatnio ten wyjazd jej tylko w głowie siedział.

– A rano, gdy wychodziła?

– No panie, szczerze, to była gdzieś całą noc i rano bardzo zmarnowana przyszła.

– To znaczy, że niekorzystnie wyglądała?

– No, trochę tak. Pewnie nie spała całą noc i jakieś „piwko" sobie wypiła.

– Nic więcej nie może nam pani powiedzieć?

– A co ja, panie, mogłam wiedzieć? Przecież mi się nie zwierzała nigdy.

– Dziękujemy bardzo. Proszę być dobrej myśli. Do widzenia.

– Do widzenia – odpowiedziała szlochając.

* * *

Kierowca ciężarówki dojeżdżał już do Wrocławia. Kamila siedziała z boku. Droga nie dłużyła jej się wcale, bo po tak ciężkiej nocy momentalnie zasnęła. Gdy się wybudziła i zdążyła zamienić kilka zdań z kierowcą, w końcu zaczęła dopytywać dokąd jedzie w samym mieście.

– Do Wrocławia, tu niedaleko jadę z towarem. A ty chciałaś dalej?

– Dalej, ja do Bolkowa, a potem jeszcze dalej, Marciszów i jeszcze potem trochę.

– No to proponuję, że tu, na najbliższej stacji benzynowej cię wysadzę i tam poszukasz sobie czegoś. Ale nie sądzę, aby udało ci się dzisiaj dojechać do celu. Niedziela jest, to nie tak łatwo złapać stopa. Ciężarówki nie jeżdżą, a osobówki raczej nie chcą zabierać przypadkowych turystów.

– Trudno. Na tym polega jazda autostopem. Nie przewidzi się czasu podróży – odpowiedziała.

– Wielu rzeczy się nie przewidzi, ale trafiło mi się przynamniej towarzystwo, czego wcześniej nie przewidywałem. Muszę przyznać, że miło mi się jechało. Może jeszcze kiedyś się spotkamy? Może w innych okolicznościach, jakaś kawka czy coś? – zaproponował kierowca.

– No pewnie, ha, ha! Jak ty to sobie to wyobrażasz? – zapytała ironicznie.

– Może dostałbym numer telefonu, a kiedyś jakbym był przejazdem, zadzwoniłbym.

– Nie wszyscy mają telefony komórkowe. Ja mieszkam tam, gdzie jeszcze nie ma dobrego zasięgu.

– Mogę wziąć numer stacjonarny, ważne, żebym miał możliwość kontaktu.

– Niestety, to niemożliwe – odpowiedziała poważnym tonem, chcąc zbyć natręta.

Kierowca był zainteresowany Kamilą i jej urodą, a ona myślała sobie po cichu o wyjątkowym szczęściu, bo mógł przecież wcześniej być nachalny. „Wtedy ciężko byłoby się bronić" – myślała. Ciężarówka zajechała

na parking znajdujący się na przydrożnej stacji benzynowej i gdy dziewczyna wysiadała, kierowca nadal jeszcze nie tracił nadziei i nie odpuszczał:

– To jak, Kamila? Mam szansę na numer telefonu?

– Mówię, że nie. Dziękuję i do widzenia.

– Wielka szkoda!

Wysiadła, trzasnęła drzwiami i pomyślała sobie tylko: „Co za upierdliwy palant z niego!".

***

Podkomisarz Winny przyszedł rano do pracy i usiadł za swoim biurkiem. Nie zdążył nawet dobrze pomyśleć o tym, co go dzisiaj może czekać, bo tak do końca, to myślenie nie było jego najmocniejszą stroną, szczególnie po takim weekendzie. Nagle do pomieszczenia wszedł aspirant Rosiak trzymający w ręku pęk papierów.

– Są wyniki tej dziewczyny z Sobek – zameldował.

– Pokaż, co tam może być.

– Miała tego sporo. THC, CP-47, harmalina, alkohol... – Rosiak czytał dokładnie spis substancji. – Et cetera, et cetera... Nabąbała się nieźle...

Winny wziął dokumenty od Rosiaka, a nawet energicznie wyrwał mu je z ręki, i zaczął sam przeglądać kartki i analizować w myślach.

– A to co ? MDMB-4en-PINACA? – przeczytał powoli i zaczął się dziwić.

– To jest to nowe niebezpieczne gówno... co tyle spustoszenia robi w mózgu.

– Czyli dała sobie nieźle w palnik – wydał jakże błyskotliwe oświadczenie.

– Niestety. Wszystko wskazuje na to, że ta Kamila Bednarek ją załatwiła. Bezpośrednia przyczyna zgonu: cios ostrym narzędziem, najprawdopodobniej siekiera.

– Tyle to umiem przeczytać, aspirancie Rosiak! Nie ma jej nigdzie?

– Siekiery czy dziewczyny?

– O dziewczynę pytam... – odpowiedział, spoglądając ponurym wzrokiem na aspiranta.

– Nie ma. Trzeba wysłać listy za nią. Najdziwniejsze, że nawet psy nie podjęły tropu.

– Cuda! Jak w Zelowie! A ten guzik?

– Odciski palców nieczytelne. Guzik z jeansowej odzieży firmy Diesel.

– Diesel? Jak mój opel – odpowiedział, uśmiechając się lekko, tak, jakby oczekiwał uznania dla tego porównania.

– No, jest też taka firma odzieżowa.

– Jest sklep tego Diesla w Zelowie?

– W Zelowie?! A co to metropolia jakaś? Nawet w Bełchatowie nie mają Diesla.

– Czyli słabo.

– Jak byłem na wczasach w Rumunii, to tam było to takie modne, że chyba każdy Rumun w Dieslu chodził.

– To znaczy, że mamy rumuński trop?

– Guzik mamy, a nie trop!

– Przestań już, kurwa, z tym guzikiem!!!

Winny uniósł się tak mocno, że Rosiak stanął sztywno, tak, jakby go zamurowało. Odezwał się dopiero po chwili.

– A, tu jest sprawa tego pe sześćdziesiąt cztery.

– Pokaż!

– Numer pistoletu wskazuje na broń należącą do aspiranta Jana Zielińskiego zamordowanego dziesięć lat temu w Kaliszu.

– No, a ta broń z Kalisza, w jaki sposób tu się dostała?

– Zamordowany w Kaliszu, lecz sprawa niewyjaśniona tak do końca do dnia dzisiejszego.

– Dlaczego?

– Dwóch podejrzanych nie zostało skazanych z powodu braku konkretnych dowodów.

– Żaden z nich nie puścił pary?

– Dwóch podejrzanych, niezwiązanych ze sobą w ogóle, i dwa odrębne wątki. Każdy miał jakieś alibi, no i nie było tej broni nigdzie.

– Niezwiązanych ze sobą, mówisz?

– Jeden z Krotoszyna, a drugi... właśnie stąd, z Sobek.

– Noo! To ciepło, ciepło. Coś w tym jest. Mieszka tam nadal, żyje?

– Taa. Mieszka.

– Musimy się tym zająć.

W głowie Winnego zaświtała wizja rozwiązania tej zagadki, w której widział siebie jak wystawia klatę do odznaczenia. Dookoła aplauz i zewsząd gratulacje. Czytał też decyzję komendanta wojewódzkiego o mianowaniu go komendantem powiatowym. Ocknął się z tego zamyślenia, bo Rosiak stał z boku i zauważył jego nieobecność.

– Dobra, załatwiamy nakaz i jedziemy do tego gościa. Coś mi intuicja mówi, że ma związek z tym pistoletem.

Posesja Jana Karczewskiego wyróżniała się spośród wiejskiej zabudowy Sobek. Nie było to gospodarstwo rolne, a dom z nowym silikonowym tynkiem koloru écru wraz z ceramiczną dachówką koloru wiśniowego. Dookoła zielenił się pięknie wypielęgnowany trawnik z chodnikami wykonanymi z modnej betonowej kostki. Z tyłu rosły dwa wielkie dęby, a na podjeździe stał nowy model passata. Po pięciominutowym oczekiwaniu przy bramie Winny zaczął się zastanawiać, czy dzwonek przy furtce jest sprawny, a jeśli tak, to czy ktoś jest w domu, lecz w końcu pojawił się właściciel. Był nim pięćdziesięcioletni gruby mężczyzna, który mógł ważyć nawet około 120 kilogramów. Leniwie wyszedł przed dom i powolnym krokiem podszedł do bramy, przyglądając się podejrzliwie policjantom. Winny zauważył swoim bystrym, policyjnym okiem, że mężczyzna ten utykał lekko na jedną nogę, ale zaraz sobie pomyślał,

że akurat to być może nie wnosi niczego do sprawy. Mężczyzna stanął przed furtką i jego spojrzenie zrobiło się jeszcze bardziej podejrzliwe. Zapewne przypuszczał, że policja przyjechała dowiedzieć się czegoś w sprawie ostatniego morderstwa, z którym nie miał nic wspólnego. Nie spodziewał się, że sprawa dotyczyć mogła dawno zabliźnionej historii.

– Dzień dobry! Czy pan Jan Karczewski?

– Tak, o co chodzi?

– Podkomisarz Winny i aspirant Rosiak, komenda policji w Zelowie. Mamy do pana kilka pytań.

– Słyszałem. Ale się u nas na wsi porobiło, panie! Gdzie jak gdzie, ale u nas?

– My w całkiem innej sprawie. W sprawie aspiranta Jana Zielińskiego, zamordowanego dziesięć lat temu.

Sprawa była stara i zabliźniona, lecz mina Karczewskiego była jakaś wyjątkowo aktualna. Świeża, jak francuska bagietka serwowana podczas śniadania jedzonego gdzieś w okolicach Pól Elizejskich. Do tego jedzona na trzeźwo, bez kropli wina. Karczewski pobladł i jego twarz wyglądała jak gipsowa ściana przed malowaniem albo nawet jak twarz pracownika budowlanego, który ten gips akurat szlifował. Tę nagłą reakcję natychmiast zauważyli policjanci i porozumieli się z sobą tylko wzrokowo.

– To, co, Panie Karczewski? Pojedzie pan z nami?!

Dziesięć lat ukrywania tej tajemnicy i dziesięć lat życia w strachu nie utworzyło na psychice tego człowie-

ka pancerza, dzięki któremu mógłby być obojętnym i jakoś się bronić. Wręcz przeciwnie, ostatnie dziesięć lat, to dziesięć lat walki z gryzącym sumieniem, niszczącym jego duszę tak samo, jak rdza niszczy stary samochód. Jeśli jednak chodzi o rdzę na pistolecie, to zbyt krótki to był okres, aby numery seryjne stały się nieczytelne. Karczewski mocno przyciśnięty do ściany w krzyżowym ogniu pytań nie wytrzymał i rozpłakał się, jednocześnie przyznając się do morderstwa.

– Zastanawia mnie tylko sprawa tego pistoletu. Tak blisko domu, we wsi pan go wyrzucił – dociekał Winny.

– Działałem irracjonalnie, dlatego, że byłem pod ogromną presją. Wyrzuciłem i tyle. Najpierw chciałem zabrać go do domu i schować, aby mieć na czarną godzinę. Dopiero po jakimś czasie, już gdy dojechałem do wsi, ochłonąłem i chcąc się go pozbyć, odruchowo wrzuciłem go do tego basenu. Wtedy było w nim trochę wody. Nie powiem, żeby mnie to nie gryzło. Próbowałem go potem znaleźć, lecz nie udało mi się to ani razu.

– Niestety, o mały włos, a udałoby się panu uniknąć odpowiedzialności. Teraz pan odpowie za te „zaległości".

– Sprowokował mnie wtedy. Panowie, każdy ma swoje nerwy! – płakał i się tłumaczył.

– Będzie pan miał czas je sobie podleczyć.

– Ale, panowie, to był wypadek!

– Widział pan mordercę, który tłumaczyłby się inaczej? Bo ja nigdy!

– Nic więcej już nie powiem bez adwokata.

– Rozumiem. Ma pan takie prawo.

Decyzja o szukaniu śladów w basenie, która w duszy nawet samemu Winnemu wydawała się niedorzeczna, przyniosła jednak sukces, i to jaki. Prasa rozpisywała się o Zelowskich policjantach niczym o archiwum X. Nie tylko nawet prasa, ponieważ podkomisarz siedział w domu przed telewizorem i oglądał właśnie serwis informacyjny, w którym rzecznik policji wychwalał ten spektakularny sukces. Niestety w sprawie morderstwa Eweliny Młynarskiej sytuacja nie drgnęła, lecz wykrycie mordercy sprzed dziesięciu lat było dobrą wróżbą. „Może stanie się jakimś małym impulsem" – myślał podkomisarz – „który napędzi w końcu maszynę sukcesu". A właśnie jego był bardzo głodny.

Tak myślał wieczorem, a rano usłyszał dobre słowo od komendanta. Cieszyło go to bardzo, chociaż ogólnie wyszło z pochwałami raczej na zero, gdy tak sobie podsumował wszystko, ponieważ komendant zganił brak sukcesów przy postępowaniu w sprawie morderstwa dziewczyny.

– Nigdzie nie ma tej Kamili? – spytał Winnego.

– Nikt nie wie, czy żyje, a jeśli żyje, to gdzie.

– Ewidentnie, jeśli wierzyć tej Aurelii, powinna żyć. Zgon Młynarskiej nastąpił pomiędzy godziną dwudziestą drugą a drugą w nocy. Młoda Bednarek prawdopodobnie rano jeszcze była w domu.

– Z wiarą w to, co ktoś mówi, jest jak...

– Już ty, Winny, nie filozofuj! Jaki wierzący się zrobiłeś. Jeszcze trochę i papieżem będziesz chciał zostać.

Winny nic już nie odpowiedział, lecz pomyślał sobie, że z tym papieżem to byłby całkiem dobry pomysł. Może nie udałoby mu się zajść tak wysoko w tej branży, ale seminarium duchowne to przyzwoita uczelnia. „Zapewniają absolwentom pracę i tam, żeby zdegradowali albo usunęli człowieka ze stanowiska, trzeba byłoby nie wiadomo co zrobić. A tu" – myślał dalej – „męcz się i staraj człowieku i jeszcze ktoś powie nie filozofuj". Otrząsnął się jednak z tych myśli, zadowolony, że w całym bilansie i tak, gdyby nawet wyszło na zero, to jest dobrze. Zawsze tak sobie dodawał pewności siebie w myśl zasady, że nawet gdyby mu wybili dwa zęby, to nie należałoby rozpaczać z tego powodu, tylko cieszyć się, że wybite dwa zęby, to nie to samo, co cztery. Takie podejście do życia pozwalało podkomisarzowi lepiej znosić trudy pracy w zelowskiej policji, a nawet pracy w Zelowie trudem już nie nazywał. Ten etap w jego życiu jeszcze trwał, co, biorąc pod uwagę poprzednie statystyki, było czymś nadzwyczajnym. Pomimo zdegradowania i odsunięcia go od kierowania tą placówką, jeszcze w niej pracował i jeszcze komenda stała sobie spokojnie na własnych fundamentach. Na tej podstawie można było stwierdzić, że skoro budynek komendy stał nienaruszony, to „nie działo się nic".

– Jak za to wszystko nie kochać tego Zelowa? – mruczał do siebie, patrząc przez okno na ulicę Kościuszki, po której jeździły samochody i jeździli też rowerzyści. Na widok starszej kobiety, jadącej akurat tym „ulubionym" przez niego pojazdem i wiozącej na kierownicy wielką torbę, wzdrygnął się i jakby ocknął z chwilowego zamyślenia. Tak, jakby przeczuwał, że po chwili zadzwoni telefon na jego biurku. Tak też się stało. Odebrał.

– Podkomisarz Winny, słucham.

– Winny, listy gończe za tą Kamilą poszły już? – zapytał zastępca komendanta powiatowego.

– Już, już!

– Już poszły?!

– Już są gotowe i zaraz wszystko będzie załatwione.

– No, to działać! Działać! Mają być efekty, bo jeśli nie!...

– Rozumiem. Będą!

– A co ty taki pewny jesteś?!

– Staram się.

– Staraj się, staraj...

Położył słuchawkę i znów poszybował wysoko ze swymi marzeniami. Myślał jakby to było, gdyby rozwiązał sam kilka ważnych spraw i cały splendor spłynąłby na niego, podbudowałby sobie autorytet. Po chwili zszedł z tych obłoków na ziemię, bo przecież jego życie to porażki i jedna wielka wina... nawet gdyby był niewinny.

Do gabinetu wszedł aspirant Rosiak.

- Mam bilingi tej Bednarkowej. Jest kilkanaście podejrzanych połączeń na telefon komórkowy. Technicy sprawdzili, lecz nic z tego.

- Co, nic z tego?

- To telefon na kartę i nie wiadomo, kto jest jego właścicielem. Lokalizacja natomiast...

- No mów, gdzie ewentualnie jej szukać!

- Spokojnie, mówię, że telefon był zlokalizowany na Dolnym Śląsku.

- Cholera, daleko!

- Tylko tyle.

- A my jesteśmy w... w Zelowie - poprawił się Winny po chwilowym zawieszeniu.

- No to słabo.

* * *

Na Dolnym Śląsku znajduje się pasmo górskie, które nazywane było Górami Łomnickimi. Po wojnie, kiedy te poniemieckie tereny stały się Ziemiami Odzyskanymi, pasmo to zmieniło swoją nazwę na Rudawy Janowickie. Jest to niewielkie, malownicze pasmo górskie z najwyższym szczytem Skalnikiem, liczącym 945 metrów n.p.m. Obszar ten leży częściowo na terenie Rudawskiego Parku Krajobrazowego. Charakterystycznym i atrakcyjnym turystycznie miejscem są znajdujące się tam Kolorowe Jeziorka. Na pagórkowatym tere-

nie wydobywano kiedyś łupki pirytonośne i w pozostałych po tym wyrobiskach powstały jeziorka, które w zależności od pory roku zmieniają swoje kolory. Zdarza się, że ta różnica kolorów nie jest dobrze widoczna, lecz na wiosnę, gdy wody przybywa, jeziorka te są wyjątkową atrakcją dla turystów. Kolory - żółte, purpurowe, zielone i błękitne które można obserwować kolejno w tych zbiornikach - powstają dzięki zróżnicowanemu składowi chemicznemu tych skał. Najbliższą wioską, położoną przy tych jeziorkach, w której znajduje się parking, z którego wyrusza się na szlak prowadzący do tych atrakcji, jest wieś Wieściszowice. Jest to niewielka wieś, licząca niecałe pięćset mieszkańców, położona dokładnie sto kilometrów za Wrocławiem.

Dla Kamili Bednarek była to miejscowość dwa razy większa od rodzinnych Sobek, lecz była trochę zawiedziona jej wielkością, ponieważ ciągnęło ją do wielkiego świata. Tu jednak mieszkał niejaki Adam Brela, trzydziestoletni mężczyzna, który zajmował się ręcznym wyrobem bębnów i grą na tych instrumentach. Wraz z grupą podobnych mu przyjaciół tworzyli zespół Zachód Słońca. Brela był dość wysoki i szczupły, miał 182 centymetry wzrostu, i posiadał niewielki zarost na twarzy. Jego długie włosy sięgały ramion i miał z nich zrobione dredy. Wizerunkowo, może, gdyby tak przyjrzeć się mu bliżej, można by zauważyć podobieństwo do Jezusa Chrystusa. Z tymi dredami zaś, trochę przypominał Boba Marleya. Tylko kolor włosów i zarostu

odbiegał od porównywanych postaci, ponieważ Brela był blondynem. To właśnie na festiwalu w Kostrzynie nad Odrą Adam, podczas swoich ulicznych występów, poznał Kamilę Bednarek. Ta znajomość zaowocowała pewnymi epizodami, których efektem było to, że Kamila szła wieczorem przez Wieściszowice, ciągnąc za sobą walizkę, i szukała domu, w którym mieszkał wspomniany Adam Brela. Przy tej wieczornej ciszy, podczas której było słychać tylko głośne cykanie świerszczy, koła walizki dudniące o asfaltową drogę powodowały zachwianie tej harmonii, a nawet można powiedzieć, że powodowały znaczny hałas. Szła jednak z nadzieją na odnalezienie celu jej wyprawy. Nie przyjechała tutaj zupełnie w ciemno, ponieważ wcześniej rozmawiała z Adamem i uzgadniała pewne szczegóły.

Czy jednak Adam tak do końca wierzył, że, ta prawie dwanaście lat młodsza dziewczyna, odwiedzi go naprawdę? Trudno byłoby to potwierdzić, widząc jego minę. Zdziwienie nie schodziło z jego twarzy, gdy stał i rozmawiał z Kamilą w pokoju.

- No, co taki zdziwiony jesteś?

- Mogłaś zadzwonić.

- No przecież dzwoniłam wcześniej.

- No, ale teraz, wyjechałbym albo chociaż wyszedłbym po ciebie. - Adam próbował ukryć swoje zaskoczenie.

- Nie mam komórki. U nas jeszcze słabo było z zasięgiem.

- No, tak, tak, przypominam sobie, mówiłaś.

Dom Adama pokazywał wyraźnie, nawet może wołał albo krzyczał, że potrzeba tutaj kobiecej ręki. Wszystkie sprzęty były chaotycznie porozrzucane. Dużo było elementów związanych z muzyką, takich jak bębny, które wykonywał własnoręcznie, mikrofony ze statywami czy dwie gitary. W rogu stał wzmacniacz z dużą kolumną głośnikową firmy Orange.

- Co tak patrzysz, nie cieszysz się?

- Nie, no spoko! Witaj w moich skromnych progach.

- Długo do ciebie jechałam i po wielkich trudach w końcu dotarłam. Widzisz jak cię kocham.

- Miło słyszeć takie deklaracje.

Adam patrzył na Kamilę swoimi niebieskimi oczami, a ją to spojrzenie zachwycało. Rzuciła mu się na szyję i zaczęła całować. Konsternacja, która w pierwszej chwili ogarnęła Adama, powoli mijała wraz z wydłużającym się pocałunkiem, a w zamian narastało wielkie podniecenie. Spowici namiętnym pocałunkiem, nie stali tak zbyt długo. Adam zaczął zdejmować z Kamili ubrania i, widząc jej wyjątkowo zgrabne ciało ubrane już tylko w samą bieliznę, postanowił wziąć ją na ręce i zanieść do drugiego pokoju, gdzie rzucił ją na łóżko. Kamila nie opierała się, a nawet czekała na spełnienie, które uzasadniałoby jej wyjazd z domu i tak długą podróż. Leżała na wznak, a Adam, całując ją po całym ciele, zdejmował z niej resztę bielizny. W tej chwili nie miał żadnych wątpliwości, uleciały niczym zapomniany po-

wiew wiatru i już tylko dążył do spełnienia tej wielkiej żądzy. Nie był człowiekiem, który żył w celibacie i jako muzyk miewał „epizody" związane z płcią przeciwną, lecz akurat w tej chwili Kamila wydawała mu się wyjątkowo atrakcyjną dziewczyną. Narastające podniecenie seksualne nie pozwalało mu już na jakiekolwiek nieprzychylne spojrzenie. Jej mocno już nabrzmiałe piersi z brodawkami sterczącymi niczym dojrzałe rodzynki, które tak bardzo podobały się Adamowi, również mówiły tylko jedno. To mu bardzo odpowiadało i, pomimo swoich trzydziestu lat, przy dwanaście lat młodszej Kamili czuł się niesamowicie męski. Wyzbył się wszelkich podejrzeń i zahamowań, chociaż do końca nie wiedział ile ta jego nowa partnerka może mieć lat. Kochali się bardzo namiętnie, zapominając o świecie, a przez okno słychać było cykanie świerszczy. Noc była wyjątkowo ciepła jak na sierpień, lecz dla tych dwojga była nawet wyjątkowo gorąca. Wręcz upojna.

Aktualnie dla Kamili Adam był całym światem i nadzieją na inne życie. Lecz czy lepsze? Nie miała dalekosiężnych planów życiowych, nie miała żadnych planów. Chciała żyć inaczej i tylko tyle. Wcale nie zastanawiała się nad tym, jak to życie miałoby wyglądać, a jedyne kryterium, jakie sobie wybrała, to takie, że to życie miałoby być inne. Natomiast nad tym zastanawiał się Adam, zaciągając się papierosowym dymem, kiedy przyglądał się jej, jeszcze śpiącej. Wyglądała zmysłowo i podobała mu się, lecz myślał o tym, czy byłby gotowy

na coś poważniejszego. To była przygoda, do których zasadniczo był przyzwyczajony, i tak postrzegał Kamilę. „Prześpi się kilka dni, znudzi jej się i wyjedzie lub znudzi się mi i wtedy coś się wymyśli, aby się jej pozbyć" - myślał.

Środowisko muzyków grających muzykę reagge bardzo imponowało Kamili i dlatego również Adam wydawał się jej bardzo atrakcyjną partią. Jednorazowa przygoda na festiwalu zanurzyła jej głowę w gorącym młodzieńczym uczuciu, wypełniając ją po same uszy. Gdy rano otworzyła oczy i rozglądała się dookoła, zauważyła, że dawno nie robiono tu porządku. Sama jednak nie miała zamiaru angażować się w jakiekolwiek sprzątanie, ponieważ nie robiła tego nawet mieszkając z babką Aurelią. Pomimo takich warunków, usiedli razem przy stole i wspólnie jedli jajecznicę z jednej patelni.

- Wybacz, że z patelni - tłumaczył się Adam.

- Spoko, bardzo dobra. Dobrze, że nie jemy drewnianą łyżką.

- Czemu? - zdziwił się skąd jej przyszło do głowy to drewno.

- Nic, nic, tak tylko mówię. Przypomniała mi się moja babka.

- Ja z reguły lubię drewno i, jak zauważyłaś, lubię pracować w drewnie.

- Aż mi się nie chce wierzyć, że taki bęben jest ręcznie zrobiony przez ciebie.

– Takie moje hobby i takie moje życie.

– Interesujące – odpowiedziała, patrząc mu prosto w oczy.

Dom Adama był tak zwanym domem otwartym i w ciągu dnia przewijało się wielu różnych znajomych. Wieczorami odbywały się tu próby zespołu Zachód Słońca. Kamila była tym wszystkim zachwycona i wniebowzięta. Czuła, że, zdobywając się na odwagę i opuszczając rodzinny dom, zaczynała żyć inaczej. Powoli i Adam przyjmował do wiadomości aktualną sytuację i oswoił się już z obecnością dziewczyny, a dodatkowo jego znajomi przychodzący wieczorami nie pozwalali na nudę i jednocześnie zerkali na Kamilę w taki sposób, że Adam czuł się dowartościowany. Cały najbliższy tydzień miał upłynąć przy wieczornych próbach, kiedy to dopracowywali swój materiał na płytę, którą mieli zaprezentować w sobotę we Wrocławiu w Starym Klasztorze. Muzycy poważnie podchodzili do tematu. Kamila poznała bliżej wszystkich jego członków. Joachim Janach, który grał na gitarze, był wysokim brunetem z długimi włosami wygolonymi po bokach. Z pozostałej reszty miał splecione drobne warkoczyki. Na basie grał Kuba „Bass" Łomnicki, który wyglądem nawiązywał do ciężkiego brzmienia, czyli miał lekką nadwagę i, jako jedyny członek zespołu, krótkie włosy. Był jeszcze klawiszowiec Grzegorz „Szybki" Wolny, który był dużo starszy od pozostałych, lecz po jego zachowaniu i bliższym poznaniu nie wyczuwało

się tej różnicy i nawet Kamili w ogóle to nie przeszkadzało. Zachwycona była muzyką i wsłuchiwała się wieczorami, jednocześnie wpatrując się w grającego Adama. Uwielbiała jego spojrzenie.

Pewnego dnia, gdy tradycyjnie wieczorem zeszli się wszyscy członkowie zespołu i rozpoczęli intensywną próbę, Joachim Janach, grający na gitarze, wyszedł przed dom na taras, zapalił papierosa i widząc Adama stojącego obok zaczął z nim rozmawiać. W końcu zapytał go:

– Skąd ty wziąłeś tę Kamilę?

– A, wiesz – zaczął się śmiać – jeszcze ciągną do mnie wielbicielki w odpowiednim wieku.

– Nie o to chodzi, Adam! Znamy się tyle czasu i wiem jak jest. Chodzi o to, jak u niej w domu? Młoda przecież jest.

– Ale, że co? Też ci w oko wpadła? – Adam znowu zaczął się śmiać.

– O patologię mi chodzi.

– Weź no, co ty? Tatuś Joachim uświadamia Adasia? Przecież nawet gdyby miała szesnaście lat, to już nie interesowałoby to prokuratora.

– Przestań! Poważnie mówię. Rozmawiałeś z nią? Podobnej laski policja poszukuje, uważaj!

– Pierdolisz! O co chodzi dokładnie?!

– Morderstwo. Może tylko jest podobna, ale tamta też Kamila miała na imię.

– Wkręcasz mnie.

- Kurwa, Adam, ja ciebie?

- Gdzie to widziałeś?

- W programie kryminalnym.

- Cholera! Muszę to sprawdzić. Po co nam jeszcze kwasy z glinami.

- No właśnie, kurwa, o zioło chodzi. Po co nam to potrzebne? Zaliczymy wpadę i promocja płyty pójdzie gdzieś nad Bajkał, Saharę albo nie daj Boże gdzieś na Wiejską.

- Bój się Boga! Nie kracz!

- Nie kraczę, tylko mówię jak jest.

- Zaskoczyłeś mnie. Powaga!

Po tej rozmowie Adam zaczął patrzeć na Kamilę inaczej. Przestał już uważać ją za kolejną przygodę w swoim życiu. Zaczął być podejrzliwy i postanowił przeprowadzić poważną rozmowę, lecz starał się być przy tym ostrożny.

- Mówisz, że nie mogłaś wyrobić w domu? - zapytał delikatnie, niby mimochodem.

- A, daj spokój! Babka tylko Radia Maryja słuchała i moralne gadki mi wciskała.

- Czy ja jestem dla ciebie tak atrakcyjny, że rzuciłaś wszystko i przyjechałaś tu?

- Adam, co ty, kurwa? O co ci chodzi?

- Nic, tak się tylko pytam. Nie denerwuj się.

- Nie miałam czego rzucać. Nie czułam się tam dobrze.

- A jak babka to przyjęła? Zgodziła się?

- Co się miała zgodzić, dorosła jestem i sama decyduję o swoim życiu.

- No tak. - Zamyślił się na chwilę.

- No to przestań już! - Kamila ucięła to zamyślenie, nie pozwalając jego myślom na dokładniejszą analizę sytuacji.

- Sorry, Kamila, nie było tematu.

Kamila użyła pewnych argumentów, czy też można powiedzieć, użyła swoich atutów w taki sposób, że Adamowi nie były w głowie jakieś podejrzenia czy analizy. Było mu dobrze i czuł się znakomicie.

Adam posiadał już telefon komórkowy, ale nie miał dostępu do Internetu. Miał jednak ochotę sprawdzić to, o czym mówił mu Joachim. W każdym razie rozważał, jakby to można zrobić w najbliższym czasie.

Taki miał plan, lecz życie i okoliczności tak się ułożyły, że wcześniej wyręczyły go z tego. W zasadzie mało brakowało, aby zrobił się problem, a policja odwiedziłaby jego dom, ale wszystko rozwiązało się samo, ponieważ Kamila była widziana w pobliskim Marciszowie, kiedy pojechała tam do sklepu. Kiedy kolejny raz się tam wybrała, podczas gdy robiła zakupy, na parking sklepowy podjechał policyjny radiowóz. Nie zdawała sobie sprawy z tego, że ta wizyta może dotyczyć jej obecności w sklepie. Najprawdopodobniej kasjerka zwróciła na nią uwagę, rozpoznała ją i, po kolejnej już wizycie, poinformowała policję. Funkcjonariusze podeszli i wylegitymowali niczego nieświadomą dziew-

czynę. Nawet nie podejrzewała, że może być poszukiwana, ponieważ babce Aurelii wszystko wyjaśniła i nie mogła zgłosić jej zaginięcia, a nawet jeśli, to zawsze odpowie, że ma osiemnaście lat i może robić, co chce. W pierwszej chwili myślała tylko o Aurelii i niczego gorszego związanego z wylegitymowaniem w ogóle nie podejrzewała. Gdy dowiedziała się o śmierci Eweliny doznała szoku, a nawet pewnego ataku histerii. Była szczerze przerażona tą informacją, lecz jeszcze bardziej tym, że to ona była podejrzaną w tej sprawie. Nie pamiętała nic z tamtej nocy.

Dziwnie się czuła jako przestępca, gdy skutą kajdankami transportowano ją do aresztu. Myślenie o tym, co się wydarzyło tej feralnej nocy, było dla niej nie do zniesienia. Policja ją podejrzewała, a Kamila nie miała o tym zielonego pojęcia. Nijak nie mogła sobie wyobrazić, że Ewelina zginęła z jej rąk. Mimo to wiedziała, co działo się z jej psychiką po zażyciu tych dropsów. „Będzie fajnie" zapewniał diler, który jej to gówno sprzedał, a to, co działo się dookoła niej miało z tą „fajnością" niewiele wspólnego. Na przesłuchaniu w prokuraturze była tylko podejrzaną, lecz kiedy przesłuchujący ją funkcjonariusz zwrócił uwagę na jej jeansową kurtkę firmy Diesel, w której brakowało jednego guzika i skojarzył go z guzikiem znalezionym na miejscu zbrodni, Kamili Bednarek zamierzano zmienić status z podejrzanej na oskarżoną. Nie miała żadnego alibi. Jedynym był brak pamięci.

Nie tak Kamila wyobrażała sobie najbliższą przyszłość. Zalała się łzami na wspomnienie o domowym cieple i życiu przy boku Aurelii.

– Aurelia!!! – Olśniło ją, gdy przypomniała sobie, że pakując kurtkę do walizki nie było już tego guzika. – Babka Aurelia mogła być świadkiem, to jest alibi!

Na wniosek oskarżonej przesłuchano wspomnianą babcię Aurelię, lecz niewiele to wniosło do sprawy. Po pierwsze, nawet gdyby Aurelia Bednarek dokładnie wszystko pamiętała i tak też zeznała, nie należało wykluczać konfabulacji, do której mogłaby się dopuścić ze względu na pokrewieństwo i uczucie, jakim darzyła wnuczkę. Lecz to nawet nie było potrzebne, bo Aurelia najzwyczajniej w świecie nie pamiętała czy wnuczka wtedy założyła tę kurtkę i czy ta rozmowa na temat guzika akurat wtedy miała miejsce. Oprócz tego jedynym alibi w takim przypadku mogłoby być znalezienie drugiego oryginalnego guzika i udowodnienie, że pochodzi dokładnie z kurtki Kamili.

– Panie władzo – tłumaczyła – człowiek już stary... Dokładnie panu nie powiem.

– Czyli nie jest pani pewna?

– Guzika nie było. Kamila pakowała kurtkę do walizki, to guzika nie było.

– Czyli pakowała ją rano, przed samym wyjazdem?

– Myślę, że wcześniej wieczorem.

– Jest pani pewna?

– Nie wiem już teraz – powiedziała i zalała się łzami,

lamentując przy tym dość głośno.

- Czyli nie jest pani w stanie powiedzieć gdzie znajduje się ten brakujący guzik?

- Niee, panie władzo, nie wiem już nic więcej - wydusiła z siebie niewyraźnie słowa, szlochając głośno.

Z całym szacunkiem dla podkomisarza pracującego w zelowskim komisariacie, ale dowody ewidentnie wskazywały, że winną w tej konkretnej sprawie była Kamila Bednarek, która z tamtej feralnej nocy nie pamiętała nic. Nic!!! Dosłownie nic!

Aspirant Rosiak przyniósł dokumenty, położył je na biurku i zaczął rozmawiać z Winnym.

- Kolejna sprawa prawie zakończona.

- Niby tak, ale do tej pory nie ma narzędzia zbrodni. - Winny nie był do końca usatysfakcjonowany.

- Zmięknie i puści farbę, to już kwestia czasu.

- Była tak odurzona, że może tego rzeczywiście nie pamiętać.

„Proces w tej sprawie najprawdopodobniej będzie miał charakter poszlakowy i całe dochodzenie w niedługim czasie zostanie zakończone". Podkomisarz Winny pokładał nadzieję w jakimś spektakularnym rozwiązaniu, które skierowałoby światła jupiterów na jego osobę, lecz, czytając dokumenty, pogodził się już z myślą, że nie można chcieć od losu zbyt wiele. W tym przypadku byłyby to dwie pieczenie na jednym ogniu, więc może lepiej zadowolić się tą jedną, w myśl przysłowia o wróblu w garści. Lub też w myśl zasady, którą

sam wymyślił, że lepsze jedno piwo na jawie niż dwa we śnie.

To porównanie nie było jakimś wyjątkowym efektem kreatywności Winnego, lecz wnioskiem wyciągniętym z własnego życia, kiedy to śniło mu się, że podczas ostrej zimy grzał sobie piwo z cukrem na kuchence gazowej. Kiedy już przelewał gorący napój do kufla, obudził się. Takiej ochoty nabrał na ten pachnący złocisty płyn, że w złości powiedział do siebie:

- Cholera jasna! Mogłem je na zimno wypić!

* * *

Czas jest najlepszym lekarstwem na wszystko i podkomisarz starał się pogodzić z losem, jednocześnie zadowalając się mieszkaniem i pracą w tym - jak mawiał - jakże sympatycznym miasteczku.

„Musi mi wystarczyć wpadka Karczewskiego" - myślał, siedząc przed telewizorem i popijając swój ulubiony napój, czyli wódkę gorzką żołądkową.

Ustabilizowanie się życia zawodowego wyzwalało w podkomisarzu coraz większą ochotę na poznanie kogoś płci przeciwnej. Po raz kolejny pomyślał o bełchatowskim klubie Kubuś, w którym to już raz zabolała go szczęka. Zdeterminowany postanowił pozbyć się uprzedzeń i pojechać tam jeszcze raz, aby - jak to mawiał - „rozejrzeć się w tym temacie".

Będąc już na miejscu, gdy siedział przy stoliku i

przyglądał się niskiej brunetce, uznał, że temat jest interesujący. Miała proste włosy niesięgające ramion, co zainteresowało go, ponieważ uważał, że w temacie damskich fryzur najlepsza jest prostota. „Rano mniejsze zaskoczenie można przeżyć" - zwykł mawiać. Jednak może nie tylko włosy i sympatyczna twarz zdecydowały o tym, że dociekliwy podkomisarz zwrócił uwagę na tę kobietę. Dodatkowymi atutami były obfite piersi uśmiechające się do niego spod czerwonej sukienki z bardzo dużym dekoltem i jednocześnie długość tej sukienki, która pozwalała zauważyć, że kobieta miała na nogach samonośne pończochy. W każdym razie, można powiedzieć, że to był zbiór głównych argumentów, które urzekły Winnego. Kobieta nie odrzuciła zaproszenia do tańca i Winny rozpoczął swoją ofensywę z nadzieją na tak zwane „coś więcej". Zaczęła się dość miła konwersacja, a gdy podkomisarz oznajmił, że mieszka w Zelowie, kobieta zaczęła się śmiać. W pierwszej chwili pomyślał znów, że ten Zelów i opowiadane o nim dowcipy wyrządziły już tyle złego, że to rzutuje nawet na próby zawierania znajomości. Pomyślał sobie więc: „Nie dość, że jestem Winny, to jeszcze mam pecha. Oj, znalazł mi wujaszek miejsce do życia, nie powiem".

Po chwili okazało się, że zadowolenie kobiety było wywołane czymś zupełnie innym. Kobieta ta również pochodziła z Zelowa. W takich okolicznościach tok myślenia podkomisarza zmienił się o 180 stopni i teraz

już myślał: „Jak to dobrze, że tutaj trafiłem. Od razu polubiłem to miasto!". Oboje miło spędzali wieczór na tańcach i rozmowie, aż do momentu pytania o hobby. Winny jakby momentalnie zapomniał języka w gębie. Myślał sobie, cóż takiego mógłby odpowiedzieć, lecz niczego nie mógł wymyślić. W swoim CV, wypełniając rubrykę *zainteresowania i hobby*, mógłby wpisać jedną pozycję, która akurat przychodziła mu do głowy, a była nią gorzka żołądkowa. Niestety jego status społeczny i wykonywany zawód nie pozwalały na taką szczerość, dlatego Winny określił to swoimi słowami i zawsze wpisywał *fantastyka*. Wtedy już sam wpis mógłby sugerować, że chodzi o literaturę. Wolał niedomówioną sugestię niż szczerą prawdę. Natomiast jego towarzyszka, Justyna, oznajmiła:

- Ja uwielbiam w wolnym czasie jeździć rowerem.

- Rowerem?! - zrobił dziwną minę.

- Tak, czemu cię to dziwi?

- Nie, nic, tylko ucieszyłem się, że mamy wspólne hobby - skłamał.

- Mówisz poważnie?

- Oczywiście! Musimy się kiedyś umówić na wspólną przejażdżkę.

Kobieta musiała mu się wyjątkowo spodobać, skoro wygłaszał deklaracje, które jeszcze rano mogłyby wydawać się niedorzeczne. To niesamowite jak szybko można znaleźć sobie nowy sposób na spędzanie czasu wolnego. Winny jednak trochę gubił się w tej całej kon-

fabulacji.

- Masz jakieś ulubione trasy wokół Zelowa? - zapytała Justyna.

- Wiesz, najwięcej to jeżdżę... - zastanawiał się i nic mu do głowy nie przychodziło.

Nigdy nie analizował i nigdy nie przyglądał się rowerzystom jeżdżącym czy to po Zelowie, czy gdzieś dalej po gminie. Jedynie tylko, gdy poruszał się samochodem i miał do czynienia z uczestnikami ruchu, jadącymi na tych pojazdach, samoczynnie wyzwalało to w nim potok słów i epitetów, które chętnie kierowałby głośno w ich stronę. Zdawał sobie sprawę, że jako policjant powinien inaczej do tego podchodzić, ale doświadczenia z tego miasta nie pozwalały mu się pohamować. „Od powietrza, głodu, ognia, wojny i rowerzystów zachowaj nas Panie" - często zdarzało mu się wypowiadać, parafrazując znaną pieśń religijną.

Niebywałe natomiast jest to, jak szybko człowiek może zmienić zdanie, ponieważ w niedzielę rano Winny rozmyślał nad tym gdzie można by kupić rower i jakiś sprzęt do jazdy na nim. Pani Justyna miała wyjątkowo dziwny wpływ na komisarza. Postanowił nie czekać - na poniedziałek chciał już mieć kupiony rower, ubranie i osprzęt, a najlepiej jeszcze mięśnie wyćwiczone do tego stopnia, żeby nie dostać zakwasów i dorównywać kondycją Justynie. Aby nie zasypiać gruszek w popiele udał się na łódzką giełdę i tam miał zamiar wybrać coś dla siebie. Handlujących rowerami

było sporo i wybór był znaczny. Winny nie mógł się zdecydować co też chciałby kupić, bo nie znał się na tym, lecz uznał, że, aby wyglądać na wytrawnego cyklistę, należałoby kupić rower używany. W końcu gruby sprzedawca mający dosyć dużo towaru zaczął zachwalać produkt sprowadzony z Holandii, który podobno miał być „mercedesem wśród rowerów". Pojazd ten spodobał się Winnemu.

- Panie, ślady użytkowania widać, ale to porządna maszynka i będzie pan zadowolony. Posłuży panu latami - chwalił swój produkt sprzedawca.

- Nawet dobrze, że nie jest zbyt nowy. Wolę używany.

- No widzi pan!

Wypłacił umówioną kwotę i zadowolony z zakupu przywiózł rower w bagażniku, lecz jego zadowolenie trochę osłabło w poniedziałek, kiedy to sprawdził oznakowania antykradzieżowe i znalazł informację o rowerze w ewidencji pojazdów skradzionych. Jego radość nie zdążyła nawet doczekać do wtorku, kiedy to był umówiony z Justyną na przejażdżkę. Myślał tylko:

- Rower kradziony, ale ja przecież jestem niewinny...

- Jak nie Winny, to kto? - standardowo odpowiedział aspirant Rosiak, kiedy Winny powiedział mu o całej sprawie.

Winny tylko zmierzył go swoim zabójczym spojrzeniem, nie mówiąc już nic, i Rosiakowi automatycznie

ślad ewentualnego uśmiechu zniknął z twarzy.

Do wtorkowego rowerowego wypadu z Justyną już nie zdążył się inaczej przygotować. Musiał świadomie pojechać tym podejrzanym rowerem, który zamierzał zostawić w policyjnym depozycie do wyjaśnienia. Oficjalnie jechał więc rowerem wypożyczonym z komendy, który kupił za własne pieniądze.

Niedaleko, w gminie Zelów, jadąc w kierunku Bełchatowa, za wsią Łobudzice lub może nawet w granicach tej wsi, na niewielkiej rzeczce Pilsi znajduje się mały zbiornik retencyjny, gdzie po jednej stronie rośnie las z piaszczystą wydmą stanowiącą malowniczą plażę. Zalew ten nazywa się Patyki i jest miejscem wypoczynku okolicznych mieszkańców i zarazem jednym z piękniejszych miejsc w okolicy. Miejsce to oddalone było od centrum miasta o pięć kilometrów. To tam Justyna wybrała się z Winnym na przejażdżkę. Gdy się o tym dowiedział, odetchnął z ulgą, że jego wybranka nie chciała jechać gdzieś w dalszą trasę, bo bał się kompromitacji. Niby był policjantem, niby powinien wykazywać się sprawnością, lecz brak ruchu oraz gorzka żołądkowa często wspomagana piwem nie pomagały mu w tym. Winny nie myślał już nad wszystkimi innymi sprawami, dla niego ważne było teraz to, że odcinek nie był długi i jakoś da sobie radę. Nie myślał też już o kupnie nowego, legalnego roweru, tylko o tym, co widział przed sobą, czyli o jędrnych pośladkach Justyny, które na rowerowym siodełku wyglądały zjawiskowo.

Dodatkowo znów pomyślał sobie o tym, jakie piękne krajobrazy oferuje mu okolica Zelowa. Gdy tak patrzył, jego miłość do tego miasta umacniała się w sercu z minuty na minutę wprost proporcjonalnie z przebytą drogą.

Przy drodze, gdy przejeżdżali ulicą Piotrkowską, obok stadionu ZKS Włókniarz stał patrol policji, który zatrzymał do kontroli samochód osobowy marki skoda octavia. Policjantami byli kapral Żaneta Kalicka i sierżant Tomasz Kędziak. Kierowca skody, tęgi i wysoki mężczyzna mogący mieć czterdzieści pięć lat, ostro polemizował z patrolującymi, co nawet jadąc rowerem dało się słyszeć z daleka.

– Siedemdziesiątką?! To przecież jeszcze jechałem poniżej limitu!!!

– Proszę pana, tutaj jest teren zabudowany – tłumaczył Kędziak – i ten teren, jeśli panu nie wiadomo, już informuję, nazywa się Zelów.

– Panie, co pan ze mnie barana robisz! Wolno jechać osiemdziesiąt.

– Osiemdziesiąt – wyjaśniał sierżant – to już nie jest wolno, proszę pana, tylko szybko! I to zbyt szybko.

– To niby ile według pana należałoby jechać tutaj, aby nie dostać mandatu?

– Całe miasto jest strefą, w której obowiązuje prędkość czterdziestu kilometrów na godzinę.

– Że co?! – Kierowca zdziwił się bardzo.

Winny był już po pracy, przejechał więc, pozdrawia-

jąc tylko ręką znajome mu twarze, i pojechali dalej. Myślał jednak o tym, jacy to ludzie są upierdliwi i zawsze się tłumaczą, że to nie oni są winni. „A ciekawe - zastanowił się przez chwilę - co by powiedzieli, gdyby tak zawsze... - Przerwał swe rozważania, gdyż patrol został daleko w tyle, a z przodu... - Argument - uznał - wart jest tego, aby nie zaprzątać sobie głowy niczym innym".

Po dojechaniu na miejsce zostawili rowery w stojakach i poszli na spacer ścieżką biegnącą dookoła zbiornika. Z jednej strony teren nie jest zalesiony, lecz gdy przeszli wąskim betonowym mostkiem na drugi brzeg, aby dojść do wzniesienia z piaszczystą plażą, zaczął się teren leśny. „To dobra scenografia do działania" - pomyślał. Jak wyjątkowo inteligentny i przewidywalny jest Wiesław Winny można było stwierdzić po tym, że miał w swoim niewielkim plecaku koc piknikowy, który rozłożył, co prawda nie na piaszczystej plaży, lecz na wzniesieniu pomiędzy drzewami. Chciał mieć odrobinę intymności i nie rzucać się w oczy. Usiedli oboje i Winny nie spuszczając oczu z Justyny powiedział tylko:

- Boże, jak tu pięknie!

- Mówisz o okolicy?

- Że co? Ach, tak, tak, okolica równie piękna - odpowiedział dopiero po chwili, wyrywając się z zamyślenia lub może nawet zafascynowania kobietą.

Ten gest i to zakłopotanie, które dało się zauważyć,

bardzo spodobało się Justynie i nie oponowała, gdy całowali się i ręka Winnego niewinnie trzymała już pierś wyjętą ze sportowego stanika...

Gdy wracali z tej wycieczki, Winny był bardzo zadowolony i to do tego stopnia, że potrafił oprócz Justyny dostrzegać inne elementy krajobrazu, czyli jak to się mówi lub pisze w policyjnej dokumentacji: *prawidłowo reagował na bodźce zewnętrzne*. Gdy przejeżdżali już obok tablicy z napisem Zelów, informującej o wkraczaniu na teren zabudowany, zauważył pod spodem znak mówiący o ograniczeniu prędkości do osiemdziesięciu kilometrów na godzinę.

- Co u licha? Osiemdziesiąt? Czyżby znów tablicę zamontowano w poniedziałek? - powiedział do Justyny.

- Skąd wiesz? Jechałam tędy wczoraj samochodem i właśnie widziałam jak ekipa montowała ten znak.

- Trzeba będzie to jakoś wyjaśnić.

Jednocześnie pomyślał o kierowcy zatrzymanej skody, który upierał się przy swoim, dyskutując z Kędziakiem. W tym przypadku kierowca mógł mieć trochę racji.

- Ech, ten Zelów - westchnął głęboko - jak nie jeleń, to znów to. Widać, że pionowe znaki drogowe to tutaj loteria.

- A wiesz, że nigdy tego nie analizowałam - dziwiła się Justyna. - Zawsze ufam znakom, wierząc, że są postawione prawidłowo.

- W stosunku do znaków, tak samo jak do ludzi, należy stosować zasadę ograniczonego zaufania.

- Chcesz powiedzieć, że mi nie ufasz? - obruszyła się Justyna.

- No coś ty! Mówię teraz o znakach drogowych i o innych ludziach.

- Uff - odetchnęła z ulgą.

Gdy nazajutrz przyszedł do pracy, nie zapomniał o wczorajszym znaku i wyjaśnił to w zarządzie drogi, a potem w przedsiębiorstwie odpowiedzialnym za montaż. Okazało się, że to był drobny błąd. Młody Jacek Kamecki potrafił ze zrozumieniem wykonywać polecenia przełożonego. Wyraźnie miał powiedziane: „w Zelowie na obu wjazdach zamontuj dwie czterdziestki". Jego tok rozumowania w pewnym sensie wydawał się uzasadniony z matematycznego punktu widzenia i nijak inaczej z rachunku nie wychodziło. Sumą dwóch czterdziestek - jakkolwiekby można było dodawać - zawsze będzie osiemdziesiąt. Przy czym jego starszy współpracownik inaczej interpretował to polecenie i uwzględniał pewien margines błędu, wtedy zsumowane dwie pięćdziesiątki wypijał z jednego opakowania zabezpieczonego banderolą. Nie należało się więc dziwić, to poniedziałek był i tak wyszło. Wobec tak niesprzyjających okoliczności nikt nawet nie próbował wyciągać ewentualnych konsekwencji wobec członków tej brygady. Tym bardziej, że ten błąd nie spowodował żadnego wypadku.

- Poprawi się i będzie git - tłumaczył się Kamecki. I znaki niezwłocznie wymieniono na właściwe, „bo cóż to jest za filozofia znak zamontować".

* * *

Zelowski Klub Sportowy Włókniarz istnieje od 1922 roku. Drużyna odnosiła różne sukcesy i w mieście w 1969 roku zbudowano całkiem duży i profesjonalny jak na owe czasy stadion, który istnieje do dziś. Ostatnio z pozyskiwaniem środków od sponsorów były kłopoty, lecz kibice zawsze w sercu nosili wielką nadzieję i oczekiwali, że Zelów da sobie radę i utrzyma się w trzeciej lidze. Podczas meczu z Lechią Tomaszów patrol zatrzymał awanturującego się kibica, którego dowieziono na komendę. Mężczyzna był mieszkańcem Zelowa i mógł mieć nie więcej niż dwadzieścia pięć lat. Ubrany w dres tutejszego klubu wygrażał się policji, że nie dają spokoju uczciwym obywatelom. Winny wyjątkowo spokojnie zaczął z nim rozmawiać.

- Zelów to spokojne miasteczko, proszę pana! Nie potrzeba nam tu jeszcze jakichś kibolskich awantur.

- To nie kibolska awantura! To patriotyzm i walka o honor.

- Dobra, dobra! Każdy ma swoje argumenty. Nazwisko proszę.

- Juliusz Werner - odpowiedział już bardziej uspo-

kojony.

– Uuu, ładnie – pochwalił podkomisarz. – To na cześć Juliusza Verne'a?

– Nie!!! – wykrzyczał głośno zdenerwowany i rzucił się w stronę Winnego, aż aspirant Rosiak z sierżantem Biegalskim musieli go powstrzymywać przed jeszcze większą agresją. – Na cześć wieszcza naszego, Słowackiego, kurwa!!! Mamy swoich wieszczy i możemy im cześć oddawać! – odpowiedział. – A nazwisko, po kim, kurwa, jak nie po ojcu? – dodał zdenerwowany.

– To bardzo miło z pańskiej strony, panie Werner, ale nie sądzi pan, że z punktu widzenia lokalnego patriotyzmu źle to świadczy o pańskiej tolerancji?

– Mówi pan o nazwisku?!

– Proszę nie żartować – spokojnie powiedział Winny. – Mówię o pańskim zachowaniu i powodzie zatrzymania.

– Jeśli ktoś nie szanuje naszej tradycji, tylko wznosi na meczu jakieś jankeskie okrzyki, to musi się liczyć z konsekwencjami.

– Jankeskie, mówi pan? A może, proszę pana, to kibic Włókniarza Zelów był, tylko nie znał języka polskiego?

– To niech się uczy! To Polska jest!!!

– Obawiam się, że to pan będzie się musiał nauczyć tolerancji.

– Honor!!! Honor dla mnie najważniejszy.

– Zdaje sobie pan sprawę, że ten pański honor będzie pana kosztował?

– Skoro tak będziemy robić, to daleko nie zajedziemy!

– Polska, to państwo prawa, panie Werner.

– Do dupy z takim prawem. Za chwilę Polski nie będzie!

– Jeszcze raz proszę, żeby pan się uspokoił.

– Ojczyzna to wielki zbiorowy obowiązek.

– Słusznie pan mówi. Tylko czemu pan próbuje tego nie zauważać?

– Ja? Ja tego nie zauważam?! W naszym kraju urzędowym językiem jest język polski...

– Co nie znaczy, panie Werner, że ktoś, kto tego języka nie zna, nie ma prawa do równego traktowania.

– Widzę, że po polsku z panem nie da rady się dogadać!

– Proszę się uspokoić, wie pan, co panu za to grozi.

– Tylko grozić potraficie.

Werner w wyjątkowo osobliwy sposób demonstrował swoje poglądy. Nie chciał się uspokoić i przyjąć do wiadomości, że będzie musiał za swoje czyny odpowiadać i to odpowiadać przed sądem. Rzucał się jeszcze trochę i został zatrzymany, lecz po dobowym areszcie wypuszczono go i miał odpowiadać z wolnej stopy. Pobicie nie było zbyt groźne.

Tymczasem Wiesław Winny pogłębiał swoją znajomość z Justyną, która – jak się okazało – miała na nazwisko Winnicka. Gdy się o tym dowiedział, uznał to za

wyjątkowo dobrą wróżbę. Pomyślał, że to bardzo dobry znak, a sama Justyna jest dobrą partią. Pracowała, co prawda w Bełchatowie, ale mieszkała w Zelowie, w niewielkim domu, który odziedziczyła po rodzicach. Nie ułożyło się jej w życiu i to można powiedzieć, że nie ułożyło tak samo jak Winnemu, Justyna Winnicka była rozwódką. Przeżyła w życiu ciężkie chwile z byłym już mężem alkoholikiem i na Wiesława spoglądała wyjątkowo przychylnie, robiąc sobie pewne nadzieje. Wyglądał co prawda trochę na nieporadnego, lecz to jakoś dziwnie podobało się Justynie. Mieli już za sobą kilka spotkań i Justyna znów zaproponowała wycieczkę rowerową, lecz tym razem trochę dłuższą. W niedzielne popołudnie wybrali się w kierunku lasów janowskich, które znajdowały się za wsią Janów, do której z feralnych Sobek było nie więcej niż dwa kilometry. Winny jechał tym razem na rowerze zalegalizowanym, czyli nie tym, który nabył w Łodzi, lecz na herculesie zakupionym w sklepie. Przecięli już asfaltową drogę, gdzie po prawej stronie rozciągały się Sobki i pojechali dalej. Janów nie był wsią, przez którą można było przejechać i pojechać dalej, ponieważ położony był wśród drzew. Za wsią były tylko sosnowe lasy, które w sezonie obfitowały w grzyby, przez co były miejscem, do którego przyjeżdżało mnóstwo grzybiarzy, nie tylko z Zelowa. Była to wieś niewielka, ponieważ liczyła około dwudziestu pięciu gospodarstw. Para rowerzystów przejeżdżała właśnie obok betonowego

basenu przeciwpożarowego, znajdującego się w samym środku wsi po lewej stronie drogi. Basen ten był wyjątkowo dobrze utrzymany, ogrodzony siatką z zamkniętą furtką i, co ciekawe, wypełniony był po brzegi wodą. Tego typu obiekty znajdujące się na wsiach już dawno doczekały swego kresu, bądź też istnieją jeszcze w agonalnym stanie, a tutaj w Janowie, proszę! Kolejny cud!

Na myśl o cudzie, Winny przypomniał sobie basen z Sobek, w którym znaleziono pistolet, dzięki któremu zatrzymano Karczewskiego i pomyślał, że przecież tam, to były tylko zgliszcza po basenie i coś jednak w nim było konkretnego, a tutaj? Skoro pełen wody, to czy tu nie mogą znajdować się jakieś dowody innych zbrodni? Ta myśl jednak tylko mu przemknęła przez głowę. Spojrzał na figurę Justyny, która jechała przed nim i znów pomyślał: „Po co mam sobie teraz myśli zaprzątać tamtą zbrodnią, jak tutaj mam o czym myśleć".

Pojechali dalej, lecz Winny tak dokładnie nie znał tych terenów. Za wsią zaczął się las sosnowy, a droga była bardzo piaszczysta i ciężko im się jechało, pomimo że rowery były trekkingowe. Nie zważał jednak na nic, tylko jechał za Justyną, niczym pies prowadzony na smyczy, licząc, że na koniec jego pani odwdzięczy się smakowitym kąskiem. Wjechali na niewielkie wzniesienie, gdzie rowery dosłownie grzęzły w piaszczystej drodze. Musieli nawet zsiąść z siodełek i ten krótki od-

cinek pokonać pieszo.

– Dokąd ty mnie, Justyna, prowadzisz?

– Musisz poznać okolicę.

– Poznałem ciebie, to najważniejsze. Okolica już nie jest tak istotna.

– Poczekaj z tym romantycznym uniesieniem, zaraz będzie z górki, a potem zaczną się łąki i rzeka.

Dojechali do miejsca, gdzie las sosnowy się skończył, a potem rosły tylko olchy i teren zrobił się bagnisty. W dali było widać łąki, które nie były koszone od dawna i niewielką rzeczkę, za którą znów był las. Po prawej stronie rozciągały się trzcinowe zarośla, a biorąc pod uwagę obszar tej trzciny, było to nawet trzcinowe morze. Ujechali jeszcze trochę, mając po lewej stronie jakieś bagna i rosnące dookoła nich olchy, by po chwili dotrzeć do betonowego mostu na rzeczce. Wtedy Justyna zsiadła z roweru.

– Zobacz jak tu dziko i malowniczo.

– Pięknie – przyznał jej rację, lecz tę dzikość akurat miał w oczach, a w głowie żądzę skierowaną w stronę jej osoby. Przyroda jakoś zasadniczo go nie interesowała.

– Odpoczniemy tutaj.

– Jak nas nie zjedzą komary – odpowiedział, ujmując trochę romantyzmu z tego chwilowego zachwytu.

– Nie ma ich o tej porze.

Winny wyjął koc i rozłożyli go na trawie niedaleko tej płynącej rzeczki. Wyjął z plecaka przygotowaną na

ten cel butelkę wina i tak oto Winny z panią Winnicką niewinnie wręcz kontemplowali urodę tego świata, pijąc wino. Chociaż w głowie Winnego ta dziewicza i niewinna uroda tego świata była ograniczona tylko do samej Justyny Winnickiej. Czy miał aż tak zawężone horyzonty, czy też może ta jego kontemplacja świata i przyrody skupiała się tylko na jego kochance z powodu zwykłego pożądania, nie było wiadomo w tej chwili, lecz pożądanie też zostało nam dane przez przyrodę, ewentualnie przez Najwyższego. Tak sobie to tłumaczył. W takiej chwili jednak stawało się to zupełnie nieistotne. Istotne było już tylko, aby akt seksualny doprowadzić do końca. Natomiast palcem bożym można byłoby nazwać finał, który zadowoliłby obu kochanków. Jak dokładnie to się skończyło? Znów nie sposób byłoby teraz oczekiwać na to pytanie odpowiedzi, ponieważ, po pierwsze, byłoby to nietaktem, a po drugie, nie można liczyć na zupełną szczerość ze strony kochanków. W każdym razie najważniejsze, że oboje uznali to miejsce za wyjątkowe, a sam Winny, rozglądając się jeszcze dookoła, pomyślał tylko, że rzeczywiście jest tu nawet bardzo ładnie. Jeśli to nie była zasługa samej tylko rzeki i krajobrazu, trudno, tak bywa w życiu. Nie zawsze był obiektywny i zdawał sobie sprawę z tego.

Gdy wracali, Justyna zwróciła uwagę na pięciolitrowe butelki leżące przy niewielkim stawie, bądź też bagienku.

- Zobacz, jacy ludzie są! Tutaj, w takie miejsce, wozić takie duże plastikowe, pięciolitrowe butelki, po to tylko, aby je wyrzucić. Nie rozumiem...

- Przyznaję ci rację! - przytaknął Winny.

- Może jakoś je posprzątamy? - zaproponowała.

Wiesławowi nie chciało się tego robić, dyplomatycznie tylko odpowiedział:

- Przyjedziemy tu kiedyś z workiem, to wtedy może.

- W sumie masz rację, bo nie pomieścilibyśmy tych butelek na naszych bagażnikach.

Dalej, w odległości nie większej niż piętnaście metrów od tego miejsca, z lewej strony drogi, w te trzcinowe zarośla prowadziła wydeptana ścieżka. Winny pomyślał, że to zwierzęta ją wydeptały, przychodząc do tego stawu lub bagienka, jako do wodopoju. Chociaż zastanawiał się jeszcze czy czasem nie była to też ścieżka dla myśliwych, bo w oddali, a w zasadzie bardzo daleko, widać było ambonę myśliwską. Pojechali dalej i wjechali już w las.

W pewnym momencie, gdy las już się kończył i zaczynała się wieś, Winny pomyślał o sierżancie, którego od pierwszego dnia pobytu w Zelowie nie darzył zbytnią sympatią. Krajda miał kupioną działkę rekreacyjną właśnie tutaj, gdzieś na końcu tej wsi. Rozglądał się i swym policyjnym zwyczajem, próbował odgadnąć, która to może być, lecz przejechali przez całą wieś, a jego wprawne oko nie znalazło posesji, na której te podejrzenia można byłoby ulokować. Powiedział tylko do

Justyny:

- Kolega z komendy ma tu gdzieś działkę, ale nie wiem gdzie.

- Tu, w Janowie?

- Podobno gdzieś na końcu.

- Eee! To przejechaliśmy! Te działki nie są zlokalizowane przy tej drodze, tylko w lesie.

- Skąd wiesz?

- Jak widzisz, czasem wiem dużo więcej niż ty.

- A to ciekawe.

* * *

Sierżant Krajda przyjeżdżał na swoją leśną działkę położoną za wsią Janów wyłącznie w celach rekreacyjnych. Miał tam wybudowany mały drewniany domek, w którym można byłoby mieszkać przez cały rok, lecz to nie było mu potrzebne. Zaglądał tam najczęściej w weekendy i działka służyła mu wyłącznie do odpoczynku. Miał na niej kominek, wybudowany z czerwonej cegły, służący do grillowania i wędzenia, i bywały takie dni, że ten kominek służył swoim ciepłem, będąc główną atrakcją podczas imprez towarzyskich. Krajda przywoził też na działkę swojego psa rasy malamut. Psy te potrzebują dużo ruchu i być może szczupła sylwetka Kajetana Krajdy była efektem spacerów z tym właśnie psem. Będąc na działce dbał o to, aby jego malamut wybiegał się i był zadowolony. Sam sierżant

Krajda również czerpał radość z wysiłku fizycznego, co przynosiło mu pewną satysfakcję, gdy osiągał czołowe wyniki w biegach i maratonach. Chętnie brał w nich udział częstokroć reprezentując nawet zelowską policję. Był wyjątkowo szczupły i miał wyjątkową kondycję.

Podczas kolejnego weekendu tradycyjnie już wybrał się na bieganie. Obrał sobie trasę, która wiodła przez las i piaszczyste wzniesienie, aby potem już prowadzić nad samym lasem. Tą trasą postanowił pobiec nad łąki i rzeczkę, nad którą jeszcze tydzień temu podkomisarz Winny oddawał się miłosnym igraszkom, leżąc na kocu z panią Justyną Winnicką. Krajda nigdy tędy nie biegł i ta trasa była dla niego nowością. Na początku trzymał na smyczy swojego malamuta, ale już dalej uznał, że puści go luzem, żeby sobie pobiegał. W miejscu, gdzie znajdowało się bagienko, przy którym leżały plastikowe butelki, Krajda przystanął, aby odpocząć i jednocześnie przyjrzeć się tej dziwnej ludzkiej mentalności, która każe wlec taki kawał śmieci, aby rzucić je tu, na skraju tego bagienka lub stawu. Różnie nazywać możemy ten zbiornik w zależności od pory roku i poziomu wody znajdującej się w nim, lecz efektów ludzkiego śmiecenia nie można nazwać inaczej niż zwykłą chamską głupotą.

Pies z reguły był posłuszny i nie sprawiał Krajdzie problemu, lecz teraz dziwnie się zachował, ponieważ, pomimo nawoływania, pobiegł gdzieś w to bezkresne

pole trzcinowe. Zapewne wyczuł dziką zwierzynę, która tą ścieżka migrowała. Krajda stanął i wołał jeszcze głośno:

- Kotor! Kotor! - Pies nie reagował, tylko biegł gdzieś dalej.

Swoje imię, Kotor, otrzymał na cześć czarnogórskiego portowego miasteczka, które to sierżant Krajda miał okazję zwiedzić podczas jednego z urlopów. Tak mu się wtedy tam podobało, że wrażenie, jakie to miejsce na nim zrobiło, odbiło się na imieniu psa. Lecz niestety, teraz to nie była Czarnogóra, tylko łąki za Janowem, można więc daremnie wypatrywać tu Kotoru, zatoki czy nawet górskiego krajobrazu. Samego Kotora również nie było widać. Zdezorientowany Krajda, bojący się o los swojego pupila, pobiegł wąską ścieżką w głąb bezkresnego trzcinowego morza. Teren nie był aż tak wilgotny jak pierwotnie mu się wydawało i nogi nie grzęzły tak mocno. Z daleka było słychać tylko poszczekiwania psa.

Pobiegł już dość daleko zagłębiając się w to trzcinowisko, lecz im dalej biegł, tym dalej słyszał rozchodzący się dookoła głos Kotora wspomagany przez mylące echo. Psa w dalszym ciągu nie było widać. Poszczekiwał jakoś dziwnie. Krajda w końcu dobiegł do miejsca, gdzie w tym trzcinowym polu znajdowała się polana, a może nawet poletko uprawne zorganizowane przez człowieka. Na poletku tym rosły dorodne już konopie z błyszczącymi od THC czubkami gotowymi za chwilę do

zbioru. Kotor poszczekiwał dalej na te rośliny, a Krajda, zaskoczony takim widokiem zaczął liczyć krzaki. Trzydzieści dojrzałych krzaków konopi indyjskich. Ktoś tu sobie zorganizował uprawę. Tamte butelki przy tej leśno-bagiennej drodze, to pozostawione naczynia do podlewania tego jakże dochodowego gospodarstwa. Niebywałe! Kotor dalej szczekał, być może wyczuwał zapach, jaki wydzielały te rośliny, a być może - jak pomyślał sierżant - Kotor nadawałby się, jako pies wykrywający narkotyki.

Gdy sierżant już trochę ochłonął po wrażeniu, jakie wywarło na nim to znalezisko, pomyślał, że w każdej chwili może tu przyjść plantator, rolnik, hodowca czy ktoś inny. Nieważne jak go nazywać, to zwykły producent i diler narkotykowy, nikt inny, ponieważ na własne potrzeby tych plonów mogłoby starczyć na długo.

Po powrocie do domu, szybko zameldował to dyżurnemu na komendzie. Natychmiast pojechał w to miejsce patrol dochodzeniowy, w skład którego wchodził też Winny. Gdy sierżant pokazał pozostałym to miejsce, podkomisarz nie mógł sobie darować, że tydzień temu przejeżdżał tędy i nawet zwrócił uwagę na leżące przy stawie butelki. Gdyby to on odkrył taką plantację... Już wyobrażał sobie sukces i pochwały. „Mój wyjątkowy instynkt mnie zawiódł! Cholera, mało brakowało. Do tego, kto, jak kto, ale Krajda jest ojcem tego sukcesu!" - pomyślał, wściekając się na samą myśl, lecz uspokoił się znacznie, gdy wyobraził sobie

nagie ciało Justyny ułożone w różnych konfiguracjach, które miał okazję podziwiać tamtego dnia.

Tymczasem jednak nie było sprawcy, który wysiał nasiona na tym polu. Ustalono, że należy wystawić wartę i czuwać, ponieważ ktoś w końcu musi przyjść podlać te rośliny albo nawet zbierać już plony. Komendant rozważał jeszcze, co zrobić i ostatecznie zadecydował:

- Dwuosobowy patrol będzie czuwał tam przez całą dobę. Trzeba ustalić kto i kiedy.

- Może tylko w dzień, w nocy chyba nie przyjdzie - zaproponował Winny.

- I ty jesteś policjantem z dochodzeniówki?! A nawet byłeś komendantem! - ganił podkomisarza komendant Arkadiusz Rozwadowski.

Winny nie był zadowolony z takiego traktowania, ale być może komendant miał rację. Sprawa była poważna i towaru sporo, to może ktoś się będzie starał nie rzucać w oczy. Nie mógł jednak sobie wybaczyć, że przejechał na rowerze obok tego miejsca i niczego nie podejrzewał. Justyna!? Tak! Tłumaczył sobie, że wtedy Justyna, lub może jej tyłek, przysłoniła mu logiczne myślenie. I nawet teraz, po tym niezbyt pochlebnym zdaniu wypowiedzianym przez Rozwadowskiego, w myślach ciało Justyny pozwoliło mu się odprężyć i nie przejmować tak bardzo.

Ustalony plan działania został wcielony w życie i pierwszy patrol został, aby czuwać w tym dzikim tere-

nie. Nudna to praca, gdy tak czeka się otoczonym dziką przyrodą i tak w zasadzie nie wiadomo, czy zasadzka się uda, czy ryba połknie haczyk. Być może jakieś znaki - niekoniecznie szczególne, lecz małe niewidoczne ślady - wystraszą przebiegłego plantatora. Nie było wiadomo jak to się skończy, lecz plan przewidywał tylko jedno - sukces.

Cztery dni trwało już czuwanie. Gorące słońce dawało się we znaki i nie sposób było czuwać tyle czasu nie zdejmując munduru. Dlatego gdy przy poletku zrobił się jakiś ruch, dwóch funkcjonariuszy, ubranych tylko w buty, bokserki i pas z bronią, zerwało się na nogi i wyciągnęło trzymane w dłoni pistolety, krzycząc:

- Stój policja! Ręce do góry!

Mężczyzna wyglądał na mocno zaskoczonego, rzucił na ziemię butelki z wodą i podniósł ręce. Nie wyglądał na człowieka związanego ze światem przestępczym i narkotykami. Lecz to nie wygląd świadczy o człowieku, tylko jego czyny. Policjanci w tych bokserkach też jakoś nie wyglądali na będących na służbie. Dlatego też nie wiadomo, czego było więcej: widocznego na twarzy tego człowieka zaskoczenia, wynikającego z tego, że wpadł, czy z tego, co zobaczył. Przypominał Harry'ego Pottera i to tego z pierwszej części. Niewinny kujon w okrągłych okularach, ubrany w spodnie amerykańskiej armii pochodzące z operacji Pustynna Burza, a do tego koszulkę z krótkim rękawem w kolorze khaki. Na głowie miał czapkę z daszkiem w podobnym odcieniu.

Woda z pięciolitrowych butelek rzuconych na ziemię wylewała się jeszcze z charakterystycznym bulgotem, przypominającym bicie serca, które powoli słabło, aż po chwili ustało całkiem.

To oczekiwane szczęście uśmiechnęło się akurat do dyżurującej pary: aspiranta Biegalskiego i sierżanta Krajdy. Zakuli młodego plantatora w kajdanki, a Biegalski nawiązywał łączność, meldując o sukcesie.

Na miejsce podjechał policyjny ford transit z funkcjonariuszami na pokładzie, którzy mieli zabezpieczyć dowody, a plantator hobbysta skuty kajdankami został przewieziony na komendę, gdzie został wstępnie przesłuchany przez podkomisarza.

- Jak się pan nazywa?

- Robert Krajewski.

- Gdzie pan mieszka?

- We wsi Sobki.

- Sobki?!

- Tak, a co w tym dziwnego?

- Tak jakoś mi się skojarzyło, bo miałem okazję zapoznać się z niektórymi mieszkańcami tej wioski i to niedawno, w zeszłym roku.

- Aaa, wtedy już mieliśmy domek kupiony, lecz przyjeżdżaliśmy tam tylko, a teraz już jestem tam zameldowany.

- Rozumiem.

W głowie podkomisarza błysnęła żarówka skojarzeń. Denatka Młynarska posiadała znaczną ilość nar-

kotyków i być może miała jakiś związek z tym Krajewskim, lecz postanowił powoli dochodzić do wszystkiego, jak po nitce do kłębka.

- I chce pan mi powiedzieć, że na tę trzcinową polanę trafił pan przypadkowo?

- Tak chcę, ale chyba mi pan nie uwierzy. Ale, panie władzo, ja nie wiedziałem co wyrośnie z tych nasion i chciałem zobaczyć, z ciekawości.

- Ciekawość to pierwszy stopień...

- Wiem, wiem, nie musi pan kończyć.

- Pomidory mógł pan sobie koło domu siać!

- No wie pan, rodzice...

- Ile ma pan lat?

- Dwadzieścia.

- No, i już pan sobie życie zmarnował. To, co było na polu, to nie są sprawy mniejszej wagi, o których mówi paragraf trzeci artykułu sześćdziesiąt dwa. Zapewniam pana, że zważymy na zielono i tak panu policzymy. Wie pan, my w suszenie nie będziemy się bawić, a tak... Większy sukces ogłosi nasza policja.

- Ależ panie władzo!

- Trzeba było się zastanowić przed sianiem. Jeszcze zobaczymy, co też tam w domu będzie u pana.

Dało się zauważyć po minie Krajewskiego, że był mocno przerażony. Nie był do tej pory notowany i pewnie myślał, że bezkarnie zasieje sobie ziółka na dolegliwości młodzieńcze.

Rewizja w domu Krajewskich przyniosła dodatkowe efekty, ponieważ znaleziono suszoną marihuanę i substancje chemiczne o nieznanym składzie przeznaczone do sprzedaży. Gdy po raz kolejny przesłuchiwano Krajewskiego i pokazano mu te znaleziska, momentalnie spochmurniał i był jeszcze mocniej przerażony.

- No i widzisz pan, panie Krajewski. Nie ujdzie to już panu na sucho. Nasi eksperci zbadają wszystko i się dowiemy. Ale tak między nami, co to było?

- Tabletki od bólu głowy.

- Bawi mnie pańskie poczucie humoru. Osobiście radzę, żeby być bardziej szczerym. Co to, kurwa, jest?! - Winny starał się wystraszyć podejrzanego.

- Sam dokładnie nie wiem. Miały być niedrogie dopalacze, a to podobno legalne.

- Masz w domu i nie wiesz, co to jest?

- Nie próbowałem, ale podobno kopie.

Do pokoju wszedł niski i gruby funkcjonariusz trzymający w ręku białą teczkę z dokumentami. Przyniósł wydrukowany opis z laboratorium, dotyczący białych tabletek znalezionych u Krajewskiego.

- Tu są te jego dropsy. Wychodzi na to, że skład chemiczny pokrywa się z tym, co znaleźliśmy w ciele tej denatki wtedy w Sobkach. Tej Eweliny Młynarskiej.

- No, to sytuacja się komplikuje. Dobra, dzięki.

Podkomisarz zwrócił się do Krajewskiego.

- No i co, gagatku! Słyszałeś. Co cię łączyło z zabitą Eweliną Młynarską?

– Jak Boga kocham, nic!!!

– Najpierw trzeba było się zastanowić, a nie teraz deklarację wiary wygłaszać. Rozumiem, wolność mamy, ale komenda to świeckie miejsce... Przynajmniej na razie. – Podkomisarz wypowiedział to, lecz po chwili zastanowił się nad sensem słów dłużej, bo tak do końca pewności nie miał, czy jakiś ksiądz nie dokonywał tu kiedyś poświęcenia.

Krajewski albo zdał sobie sprawę z powagi sytuacji, w jakiej się znalazł, albo znał dobrze Młynarską, bo jego strach mówił teraz jeszcze więcej. Nie tłumaczyło go nawet to, że od niedawna mieszkał na stałe w Sobkach, bo to mała wioska i wtedy na pewno się znali. Milczał, lecz był mocno przerażony. Winny patrzył swoim ponurym spojrzeniem i próbował wycisnąć coś z niego.

– No, to mów!

– Ale co?

– Co cię łączyło z Młynarską?

– Nic! Już mówiłem.

– A mnie się coś wydaje, że tak. Łączyło was zioło. Razem je uprawialiście?

– Nie wiem o czym pan mówi.

– Młynarska nie żyje, a Kamila Bednarek? Obie znałeś, czy tylko jedną z nich?

– Nic mnie z nimi nie łączyło.

– To się jeszcze okaże, i to bardzo szybko. Najprawdopodobniej, oprócz posiadania, hodowania i handlu

narkotykami, zostanie ci przedstawiony zarzut zabójstwa.

– Jak to?

– A tak to! Dzieliłeś się ziołem z denatką Młynarską! Może się nie rozliczyła z tobą?!

– Nie bardzo rozumiem.

– Nikt nie trzyma w domu trzystu gramów marychy!

– Nie wmówicie mi, że tyle było. W domu nie było nawet stu gramów. Do tego te parę dropsów...

– Nie mówię o tobie!!! Mówię o tym ile miała w domu denatka!

Winnego poniosło, ponieważ tej informacji nie chciał jeszcze zdradzać, a samo oskarżanie o zabójstwo tak tylko przyszło mu do głowy, z racji tego, że skojarzył narkotyk i tę małą miejscowość. Lecz coś drgnęło w głowie Krajewskiego po tych słowach. Sprawiał wrażenie, jakby chciał okazać skruchę albo coś wyjaśnić, w każdym razie informacja o posiadaniu przez denatkę narkotyków tak na niego podziałała.

– Młynarska miała trzysta gramów zioła?

– To ja zadaję pytania! Jesteś oskarżony o narkotyki, a może dojdzie do tego morderstwo.

– To ja już powiem...

– Mów!

– Ja wtedy sprzedałem te dropsy Kamili Bednarek. Chciałem popchnąć jej jeszcze zioło, lecz nie chciała. Mówiła, że na więcej ją nie stać, a że jak ona poczęstuje dropsem, to może ktoś odwdzięczy się ziołem. Tak

powiedziała.

- Chcesz się wybielić. Morderstwo to poważna sprawa i wymyślasz takie rzeczy, ale Bednarek siedzi w areszcie, to się zapytamy.

- Jak Boga kocham! Mówię prawdę.

- Masz z tą sprawą jakiś związek, a jaki, okaże się dopiero, gdy zmiękniesz i cię pociągniemy za język.

- Jak Boga kocham, panie władzo!

Winny chciał już zakończyć i prosić, aby odprowadzono Krajewskiego, na co ten reagował bardzo panicznie i zaczął jeszcze mówić.

- W tamtym roku miałem podobną plantację zasianą, tylko w innym miejscu. Przyszedłem wtedy przed samymi zbiorami i ktoś mi wszystko ukradł.

- Czyli ktoś cię okradł?

- Tak.

- „Żniwo wielkie, a robotników mało". Całą Ewangelię w tym przypadku na drugą stronę wywracacie! Jak pilnowałeś?!

- Co ja zrobię. Jak ziarno dobre, to i żeńców dużo, panie władzo.

- Gdzie schowałeś tę siekierę?!!! - Winny gwałtownie naskoczył na niego.

- Jak Boga kocham!!! Powiedziałem całą prawdę.

Okazało się, że sprawa się skomplikowała. To nie tylko zwykły zasiew mający na celu sprawdzenie siły kiełkowania, to jeszcze handel środkami odurzającymi i do tego morderstwo. Być może Kamila Bednarek nie

pamiętała nic, ale też, być może, nie zabiła Młynarskiej. Sukces zelowskiej policji z wykryciem plantacji był faktem, lecz przy okazji namnożyło się więcej pytań. Nie można było podejrzewać, że tylko Kamila Bednarek była zamieszana w morderstwo. Fakty, o których mówił Krajewski, potwierdzały się. Pozostał tylko fakt, że Bednarek była tej nocy z denatką i fakt, że zażywała narkotyki, no i ten feralny guzik, którego podobno już wcześniej nie miała. To wszystko niczego tak do końca nie potwierdzało. Nie było siekiery, a był guzik, czyli tak naprawdę bez siekiery to było guzik, nie śledztwo i guzik, nie oskarżenie. Można powiedzieć, że sprawa była na wylocie, a znów się zaczęła mocno komplikować. Winny miał wrażenie, że od tego myślenia dostaje już żylaków na mózgu.

* * *

Wezwano na przesłuchanie Kamilę Bednarek, która siedziała w areszcie śledczym i, w zasadzie jako oskarżona, czekała już na wyrok. Wyglądała marnie. Włosy miała, co prawda krótkie, ale wcale nieuczesane, znacznie schudła i z ładniej osiemnastolatki zrobiła się już dorosła i zaniedbana kobieta. Widać było jak zniszczyła się psychika tej młodej dziewczyny. Usiadła niepewnie na krześle.

- Nigdy nie powiedziałaś skąd miałaś wtedy prochy. Musisz tylko wiedzieć, że niejaki Krajewski przyznał

się do pewnych rzeczy – powiedział krępy i łysiejący zastępca prokuratora.

Kamila zrobiła tylko wielkie oczy, po czym spuściła głowę.

– To on mi te dropsy wtedy sprzedał – wyszeptała.

– Jak często od niego je brałaś?

– Raz, tylko jeden jedyny raz wtedy. Wyjeżdżałam do Wieściszowic, do Adama Breli, i postanowiłam zrewanżować się koleżance na pożegnanie.

– Czyli ona zawsze miała trawkę?

– Tak.

– Nie mówiła ci od kogo kupowała?

– Nie, nigdy, a próbowałam się tego dowiedzieć wielokrotnie.

Kamila nie uznała, aby to, co mówiła Ewelina, mogło być prawdą, bo sama próbowała kupić z tego źródła, lecz mogło ono pozostać dla niej tylko w świecie fantazji, dlatego wcale nie wspominała o Malkolmie.

– Czy Ewelina Młynarska mogła się kontaktować z Robertem Krajewskim?

– Nie sądzę. Z rozmów wynikało, że wiedziała o kogo chodzi, ale osobiście go nie znała. Krajewscy tam kupili dom niedaleko i nie mieszkali na stałe.

– Rozumiem. Wracając do guzika z twojej kurtki. Upierasz się przy tym, że twoja babka wiedziała o jego braku dużo wcześniej?

– Tak, na pewno wiedziała. Mówiłam jej o tym.

– Widzisz, nie potrafi tego potwierdzić.

– Ona już jest taka stara, że mogło jej się pomieszać, ale na pewno wiedziała.

– Skoro spotykałaś się często z Eweliną w miejscu jej zamordowania, to czy guzik nie mógł ci wcześniej tam się urwać?

– Nie wiem, nie wiem! Panie władzo, nie wiem już nic!

– Czyli nie wiesz, gdzie jest siekiera?

– Nieee!!! Kurwa!!! Nie!!!

Po tych słowach Kamila wpadła w szał i dwóch funkcjonariuszy musiało ją uspokajać. Nie rzutowało to dobrze na jej wizerunek w obliczu oskarżenia. Skoro na trzeźwo potrafiła tak agresywnie się zachowywać, to co mogłoby być po zażyciu środków o nieznanym działaniu?

* * *

Winny siedział w swoim gabinecie i przyglądał się dokumentom z przesłuchania. Gdy Rosiak wszedł i stanął przy jego biurku, podkomisarz rzucił energicznie trzymane w ręku papiery na pozostałe, które miał rozłożone i głośno rzekł:

– No, to jesteśmy w Zelowie.

– Czyli gdzie dokładnie? – zapytał aspirant Rosiak.

– Rosiak? Czy ty tak naprawdę pytasz, czy tylko udajesz debila?

Dziwne mu pytania Winny zadawał, ponieważ aspi-

rant Rosiak miał wrażenie, jakby te słowa były jakimś dźwiękowym lustrem, odbijającym dokładnie jego własne, które w myślach wypowiadał często do podkomisarza. Niestety, był młodszy stopniem i nigdy nie mógł sobie pozwolić na głośne wygłoszenie tej opinii, co akurat Winnemu nie sprawiało żadnych kłopotów.

- Jeśli chodzi o tę część ciała - odpowiedział Rosiak - oczywiście mam na myśli damską, to... uwielbiam.

- Co ty mi chcesz powiedzieć Rosiak?

- Nic, ogólnie tylko mówię, że jestem hetero.

- To zacznij myśleć lokalnie, bo za dużo mamy ogółów.

- To właśnie chciałem powiedzieć, że lokalnie Zelów mi się podoba i dobrze mi się tu mieszka. Nie ma wielkomiejskiego zgiełku i nie ma metra.

- Metra ci się zachciało, jak tu nawet knajpy nie ma!!!

- Knajpa w Zelowie jest jak sex shop w Chicago z filmu *Sami swoi.*

- Gdzie jest taka knajpa? - zapytał zdziwiony, nie wiedząc już w ogóle, o czym Rosiak mówi.

- No wtedy Pawlak powiedział, że sex shop każdy ma we własnym domu pod pierzyną. To i knajpę w Zelowie każdy ma w domu.

- Tu się akurat z tobą zgodzę. Ale dobra, do roboty, bo jesteśmy w... W każdym razie do roboty!

Pomimo że do tej pory nie znaleziono narzędzia zbrodni, byłoby już niedługo po kłopocie, jeśli chodzi o

zakończenie sprawy morderstwa Eweliny Młynarskiej. Niestety, okazało się, że nie tak prędko, bo ni z gruszki, ni z pietruszki, przyjdzie taki Krajewski, zasieje trochę konopi i przy okazji tak namiesza, że sprawa się skomplikuje i pokręci jak słuchawki od empetrójki schowane w kieszeni, które dziwnym trafem zawsze nie dają się rozplątać. Niby nic to nie dało, lecz kolejny wątek doszedł do sprawy, przez co Winny zaczął dużo myśleć, a gdy to robił, zawsze bolała go głowa. Tym sposobem brał antidotum na te bóle. Tabletek z krzyżykiem dawno już nie ma, bo wycofali je ze sprzedaży, a chciał żyć zdrowo i współczesnymi środkami nie miał zamiaru się faszerować, pozostała więc tylko jedyna sprawdzona metoda. Wódka gorzka żołądkowa ma taki zapach i smak, że postronny rozmówca tego nie wyczuwa, oczywiście do pewnego momentu. W zaadaptowanym na cele apteczne sklepie spożywczym, który Winny sam właśnie nazwał sobie apteką, a który znajdował się na osiedlu niedaleko mieszkania Winnego, lekarstwa te były dostępne tak w stu jak i w dwustumililitrowych opakowaniach, a ewentualnie w nagłych przypadkach można było nabyć i większe, tak zwane pięćsetki, a nawet... Ograniczona fantazja Winnego nie była w stanie ogarnąć tego wszystkiego, co znajdowało się na sklepowo-aptecznych półkach.

Jedynie w kontaktach z Justyną Winnicką podkomisarz musiał uważać. Była uczulona na ten zapach i dlatego starał się nie przyjmować większych dawek. „

Swoją drogą – pomyślał – ona ma takiego nosa, że mogłaby w policji pracować. Lepsza byłaby od urządzeń pomiarowych". – To, że ta znajomość rozwijała się Winny zawdzięczał sobie i swojej inteligencji, jak również przebiegłości – jak zwykł uważać – dlatego też często za ten sukces nagradzał się zaraz po powrocie ze spotkania z nią. „Czego się nie robi dla dobra..." – pomyślał, lecz miał jeszcze wewnątrz resztki sumienia i zdrowego rozsądku, bo wobec samego siebie potrafił się jeszcze przyznać, że przecież nie robi tego dla dobra Justyny, ani nawet dla własnego dobra, tylko dla zaspokojenia własnych potrzeb, jakie by one nie były, które zwykł nazywać siłą wyższą. Konkludując, jeśli Winny wierzył w jakieś siły nadprzyrodzone, to nie możemy go nazywać bezdusznikiem, a jedynie wyjątkowo wrażliwym człowiekiem.

***

Kamila Bednarek siedziała w areszcie śledczym w dwuosobowej celi, wpatrzona nieruchomo w zakratowane okno. Jej współlokatorką była Marzena Grabarczyk, trzydziestodwuletnia blondynka niskiego wzrostu, która miała odpowiadać z artykułu 158 Kodeksu Karnego. Kto by się mógł spodziewać, że taka drobna kobieta potrafiła tak mocno pobić męża, że następstwem tego był zgon.

– Kurwa, młoda, uważaj, bo widzę, że ci palma bije.

– Nie zabiłabym jej – odpowiedziała Kamila, wcale nie odwracając wzroku.

– Ja swojego Bartka też nie zabiłam. Ale skurwysyn całe życie był podły, do tego stopnia, że jak się wkurwiłam, to mu się oberwało. Na złość mi zrobił, patrz, kurwa, na złość mi zrobił, i se umarł.

– Ale ja jej nie zabiłam.

– Ja też nieraz byłam w takim transie, że rano dopiero skutki oglądałam. Zawsze Bartek mówił, że to ja, ale teraz jak wziął i umarł, to już tak mu nie wierzę. Zawsze mnie musiał wrabiać. Całe życie kawał skurwysyna był i widzisz jak mnie załatwił. Wolał umrzeć i mieć święty spokój. Kurwa, wykorkowałby normalnie od amfy i gorzały, to nie! Umarł se, jak ja normalnie tylko się parę razy na niego zamachnęłam.

– Ale ja nie pamiętam nic! – mówiła dalej Kamila, patrząc tylko w zakratowane okno.

– Wyluzuj, kurwa, Kamila! Widzę, że ci jebie na dekiel! Wyluzuj, bo zwariujesz, a to dopiero początek tej kariery.

– Ale ja mam w dupie taką karierę.

– Twoja dupa, twoja kariera... – powiedziała i zamilkła na chwilę, aby się nad czymś zastanowić, po czym dopiero się odezwała: – Ty z tego Zelowa jesteś?

– Niedaleko mieszkałam, może pięć kilometrów od centrum tego miasta jest mój dom.

– Aha! Coś słyszałam. Powiem ci, że jednak ci współczuję. Bo ja, że załatwiłam gada... to znaczy nie, nie! Nie

załatwiłam, gad tylko tak mnie załatwił. Ale ja, to jeszcze zrozumiałe, wkurwiał mnie całe życie. Ale żeby tak koleżankę...

- Kurwa, nie zabiłam jej!!!

Kamila miała przerażający wzrok i była tak wściekła, że, gdy to wypowiedziała, złapała jednocześnie swoją współlokatorkę za szyję i zaczęła ją szarpać, aż ta przeraziła się mocno. Do niczego więcej nie doszło, ale od tej chwili Marzena Grabarczyk nie miała już pewności, czy Kamila jest niewinna. Ta, która pobiła męża ze skutkiem śmiertelnym, zaczęła się bać Kamili i od tej chwili czuła się niezbyt pewnie w jej towarzystwie.

* * *

Na zelowskim targu, który odbywał się raz w tygodniu, zawsze w środy, starszy posterunkowy Ireneusz Krynicki, w ramach zapoznawania się z trudną pracą policjanta, oprowadzał po placu targowym nowoprzyjętego posterunkowego Bartłomieja Ziębę. Na targowisku z reguły nie mogło się wydarzyć nic wyjątkowo spektakularnego, oprócz drobnych kradzieży, dlatego było ono dobrym miejscem na zapoznanie się z pracą w terenie. Tak też obaj funkcjonariusze traktowali to zadanie, jak zwykły spacer. Ich uwagę przykuła Cyganka w średnim wieku, która żebrała bądź też próbowała zbierać pieniądze na leczenie jej córki. Sama Cyganka

nie była jakaś charakterystyczna, miała... czarne, długie włosy, jak to u Cyganek się zdarza. Młody posterunkowy Zięba zwrócił na nią uwagę i pomiędzy funkcjonariuszami wybuchła polemika na temat narodowości i obywatelstwa tej kobiety. Starszy posterunkowy Krynicki miał na myśli Polkę narodowości cygańskiej, zaś młody Zięba mówił o Rumunce narodowości... No właśnie. Czy rumuńskiej, czy cygańskiej? A może ta kobieta była zupełnie kimś innym. Obaj policjanci już się chyba w tym wszystkim pogubili i nie wiedzieli nawet czym się różnić może Romka od Rumunki, Romka od Polki, Cyganka od Romki, Cyganka od Polki, Cyganka od Cyganki czy nawet Polka od Rumunki. Albo Polka od polki?

- Co nam szkodzi? Przecież możemy sprawdzić.

- W sumie, masz rację - przyznał Zięba.

- No, to wykazuj się, młody!

Zanim zdążyli ją skontrolować, obaj zauważyli, że kobieta ta miała na sobie jeansową kurtkę firmy Diesel. Młodzi zapragnęli udowodnić, jak dociekliwa i skuteczna jest zelowska policja.. Chcieli też, aby ktoś zauważył ich zaangażowanie, a słyszeli od starszych kolegów o guziku firmy Diesel i o tym, że tego typu garderoba jest bardzo popularna w Rumunii. Nie pomogło Cygance żadne tłumaczenie. Musiała wraz z funkcjonariuszami odwiedzić zelowski komisariat.

Obaj dumni z siebie zameldowali się z zatrzymaną na posterunku i akurat podkomisarz Winny zajął się tą

sprawą.

- Co jest, Krynicki?

- Zatrzymaliśmy Rumunkę, w kurtce podejrzanej firmy Diesel.

- Rumunkę?

- Nie jestem żadną Rumunką - tłumaczyła się zatrzymana.

Wyjęła dokumenty i pokazała Winnemu. Przyglądał się i czytał, aż w końcu oddał zatrzymanej i zwrócił się do policjantów.

- Ta pani coś ukradła?

- Nie, skądże.

- No to, o co chodzi?

- Była ubrana w kurtkę firmy Diesel! - meldował podniecony Zięba.

- To kobieta jest podejrzana czy kurtka?

- Nooo...

- Ale z tego co widzę, to ta kurtka ma wszystkie guziki.

- Tak jest.

- Oj ! Zięba jest jeszcze młody, ale ty Krynicki?

- Ale była przecież mowa o tej firmie i o tym, że tego typu garderoba jest popularna w Rumunii, a guzik jest dowodem w sprawie tego zabójstwa.

- Guzik, to guzik, nie dowód, Krynicki! A poza tym to pokażcie mi dowód na to, że ta kobieta jest Rumunką? Albo nawet, że brakuje przy jej kurtce guzika?!

- No, ale...

- Zbyt pochopnie wyciągacie wnioski. Nerwy i pośpiech nie są sprzymierzeńcem dociekliwego policjanta.

- To co mamy zrobić?

- Przeprosić i wypuścić. No i wyrzucić z głów jakiekolwiek rasistowskie zachowania!

- Ale, że jak?

- A tak! Policjant musi być obiektywny! - powiedział to dosyć głośno , a potem dodał po cichu: - Taki jak ja.

- No, ale... - Krynicki nie mógł się jeszcze pogodzić z klęską.

- Żadne ale. Jedynym potwierdzeniem obywatelstwa rumuńskiego jest paszport, to raz, a nawet gdyby było inaczej, to Rumuni wyglądają tak samo jak Polacy! Rozumiemy się. Wyzbyć się stereotypów raz na zawsze!

- Nie każdy jest tak mądry jak pan podkomisarz.

- No! - odrzekł zadowolony i dumny z pochlebstw, jakie usłyszał z ust Krynickiego, i nie wyczuwał w nich żadnej ironii. Usiadł za biurkiem, pod jego nosem dało się zauważyć lekki uśmiech. Winny łasy był na pochlebstwa i komplementy.

* * *

Marzena Grabarczyk coraz bardziej obawiała się Kamili. Apatyczna i ciągle zapatrzona w jedno miejsce miała ograniczony kontakt z rzeczywistością. Trudno się z nią rozmawiało i na wszystko zaczynała reagować

agresywnie. W ciągu dnia, mając tego świadomość, Marzena potrafiła jeszcze uważać i dawała sobie jakoś radę. Najgorsze podejrzenia nie dawały jej spokoju w nocy i bała się, że Kamila może zaatakować ją śpiącą. Jej pogarszający się stan zauważyły również służby więzienne i w końcu zabrano ją na psychiatryczną obserwację. Nie dała się jednak dobrowolnie wyprowadzić. Oczy miała mętne, zapatrzone gdzieś w bezkresną dal i powtarzała ciągle:

– Ja jej nie zabiłam.

Stan Aurelii Bednarek mieszkającej samotnie od tego feralnego momentu, również pogarszał się z dnia na dzień. Nie tylko samotność dawała jej się we znaki, ale również myśl o tym, że jej wnuczka może być sprawcą tego morderstwa. Nie można powiedzieć, że odcisnęło to piętno na jej psychice, lecz dalej jeszcze odciskało i to odciskało, powodując coraz większe szkody widoczne każdego kolejnego dnia. Nie można wykluczyć, że i wiek Aurelii mógł być sprzymierzeńcem takiego stanu. Nijak nie mogła sobie darować, że nie udało jej się wychować wnuczki na uczciwą obywatelkę, jednocześnie miała świadomość tego, że nie stworzyła żadnej więzi emocjonalnej, która dawałaby jej jeszcze jakąś siłę do życia. Radziła sobie jakoś jeszcze, ale w tym stanie jej ewentualne zeznania nie byłyby już brane pod uwagę przez sąd.

W tym samym areszcie śledczym, w którym za-

mknięta była Kamila, pod celą numer sto dwanaście czekał na wyrok Robert Krajewski, który również dopiero teraz zdał sobie sprawę z tego, co go może czekać. Same konsekwencje, jakie mógł ponieść za posiadanie narkotyków nie napawały go optymizmem, a teraz jeszcze domniemane zabójstwo Eweliny Młynarskiej spędzało mu sen z powiek. Nie tak wyobrażał sobie usamodzielnienie się w dorosłym życiu.

* * *

Jeszcze nie tak dawno podkomisarz Winny przypuszczał, a nawet gotów był wygłaszać deklaracje, że posterunek policji jest placówką zupełnie świecką i z Kościołem nie ma nic wspólnego. Teraz, gdy komendant Rozwadowski z nim rozmawiał, już to zdanie zmienił i to radykalnie.

– Słuchaj, Winny. Na kościele ma być wmurowana pamiątkowa tablica z nazwiskami żołnierzy Armii Krajowej. Chcę, żebyś tam był na tej uroczystości.

– Na którym kościele?

– Na katolickim oczywiście!

– Akurat to nie było dla mnie takie oczywiste.

– No to ci mówię.

– Rozumiem już. Spodziewane są jakieś zadymy czy protesty podczas tej ceremonii?

– Nie kracz! Jeszcze nam takie numery potrzebne by były. Nie wiem do czego i po co!

- Czyli tak tylko prewencyjnie?
- Prewencji ci się zachciało!!!
- No, więc, nie rozumiem.
- Winny! Ze sztandarem policji tam pójdziesz!!!
- Ze sztandarem? - Zrobił wielkie oczy.
- Msza będzie i poświęcenie. To wielka uroczystość.
- Kiedy to będzie?
- W niedzielę.
- Tak myślałem.
- Co tak myślałem, co tak myślałem? Za dużo myślisz chyba!

Winny niechcący wypowiedział to zdanie, aby dodać sobie pewności siebie oraz po to, aby komendant wiedział, jaki potrafi być błyskotliwy, a znów niewiele z tego wyszło, albo nawet wyszłoby więcej, gdyby się nie odzywał. „Niewdzięczność, zwykła ludzka niewdzięczność" - pomyślał, pomimo, że przed chwilą miał zalecenie, aby tego myślenia nie nadużywać.

- W poczcie sztandarowym pójdziesz na mszę, a po mszy będzie uroczystość odsłonięcia tej tablicy. To żołnierze AK, więc musi być ładnie i z pompą.
- Na mszę też?
- A coś ty taki bogobojny? Może cię święconą wodą pokropić, żebyś się nie bał?
- Nie, no dobrze, zrozumiałem.
- No! Żeby ładnie wyglądało, to Kalicka z tobą pójdzie i ta nowa...
- Posterunkowa Balicka?

- Właśnie.
- W porządku.
- No, to pamiętaj. Msza jest o dwunastej, a potem święcenia i wstęga.

Dom Justyny Winnickiej zbudowany był na niewielkiej sześcioarowej działce znajdującej się na osiedlu domków jednorodzinnych. Powstał w latach dziewięćdziesiątych lub też nawet może jeszcze w końcówce osiemdziesiątych. Mieszkała w nim sama, ponieważ dom, jako nieruchomość, którą dostała po rodzicach, nie podlegał podziałowi podczas rozwodu. Dom był co prawda remontowany, lecz samotna kobieta potrzebowała tak zwanej męskiej ręki. Czy to piec zimą, czy latem kran naprawić, zlew przepchać, zamek i zawiasy w drzwiach poprawić czy nawet skosić trawę. Podkomisarz Winny wprawił się już we wszystkich tych pracach i nawet można wysunąć hipotezę, że jeśli chodzi o rozwój i edukację, to właśnie w Zelowie rozwinął się, i to znacznie. Wcześniej nie miał pojęcia o wielu rzeczach, ale chęć obcowania z Justyną mobilizowała go do tego. Można to podsumować jednym zdaniem - starał się jak mógł. Wspomnienie o Ukraince było dodatkowym bodźcem. „Gdzie bym znalazł lepszą" - myślał. Nawet sąsiedzi przyzwyczaili się do sielankowego krajobrazu z widokiem podkomisarza na podwórku. Kosił właśnie trawę, pchając elektryczną kosiarkę, gdy sąsiad podszedł do płotu i zawołał go.

- Sąsiedzie?!

- Słucham?

- Może tak, na lepsze koszenie i na trawienie, nie odmówi sąsiad małego sznapsika?

- Bardzo chętnie.

Sąsiad był może trochę tylko starszy od Winnego, ale nie miał jeszcze pięćdziesięciu lat. Przyniósł butelkę nalewki śliwkowej i trzy kieliszki. Nawet Justyna utrzymywała z sąsiadem bardzo dobre stosunki, bo nie protestowała wcale, tylko wypiła, towarzysząc obu panom w konwersacji.

Po skończonej robocie, gdy słońce jeszcze mocno przygrzewało, Winny położył się na hamaku i myślał o przyszłości. Justyna krzątała się wokół niewielkiego ogródeczka warzywnego, a on przyglądał się jej, gdy tak pochylała się i spod spódnicy widać było już jej bieliznę.

- Mógłbym się tu urządzić na stałe, warunki są odpowiednie - stwierdził dość poważnie, mówiąc to do siebie.

Kolacja przy świecach i upojny wieczór w sypialni tylko utwierdził go w tym przekonaniu. „Trzeba by tak robić, aby tego nie zepsuć" - podjął plan działania na przyszłość.

Park imienia Romualda Traugutta, czyli tak zwany Kwas, mienił się w wiosennym słońcu, które przebijało się przez korony drzew, rozświetlając go w miejscu

gdzie drzewa rzucają cień. W pozostałej części roślinność dosłownie garnęła się do tego słońca, aż Winnemu zdawało się jak w oczach wszystko rośnie. Na trawnikach rzucały się w oczy pochylające swe główki w stronę światła żółte mniszki lekarskie, czyli popularne mlecze, wokół których uwijały się pszczoły i trzmiele. Dookoła rozchodziła się cudowna woń kwitnących dzikich śliwek mirabelek i krajobraz ten wyjątkowo magicznie upajał człowieka, któremu na widok takiego obrazu nie chciało się nic, tylko usiąść na parkowej ławeczce i oddać się błogiej kontemplacji. Nie było słychać żadnego ruchu ulicznego, tę błogą ciszę zakłócało jedynie pobrzękiwanie pracujących pszczół i grubych trzmieli uwijających się w pocie czoła... Lecz czy trzmiele się pocą? Jeśli nie, to trzmiele pracowały zwyczajnie, jak trzmiele, żeby nie powiedzieć „jak mrówki". Komisarz Winny siedział dumnie na parkowej ławeczce prężąc swe pagony z przywróconym właśnie stopniem. Awansował z powrotem, a do tego na jego piersi błyszczał złoty Medal za Zasługi dla Policji. Duma go rozpierała i chciał się tym osiągnięciem napawać. Kupił sobie loda kokosowego i delektował się jego smakiem, liżąc go nieśpiesznie i siedząc na ławce. Chciał się pochwalić sukcesem, pokazać jak to w Zelowie jest mu dobrze i jak w końcu został doceniony. On, Winny, a siedział sobie wyjątkowo wyluzowany jak nigdy, niewinnie, i przyglądał się światu. Tylko dziwne wydawało się to, dlaczego nie poszedł do parku znaj-

dującego się w rynku. Tam usiadłby przed pomnikiem Tadeusza Kościuszki i robiłby większe wrażenie, ponieważ na pewno więcej ludzi w ciągu dnia przechodziło przez rynek i środek parku. Tu, na Kwasie, siedział sam i nikt, oprócz pszczół i trzmieli, nie zauważył jego istnienia. Pomimo tego, komisarz, tak jakby celowo właśnie, chciał się tylko tym owadom pochwalić swoimi osiągnięciami. Ten cały widok, komisarza odnoszącego sukces i pracujących dookoła pszczół, to jakby jakieś przesłanie, że oto ciężka praca pozwala piąć się w górę po szczeblach kariery. Tak, jakby chciał powiedzieć: „Patrzcie, ja też potrafię ciężką pracą do czegoś dojść".

Dalej leniwie lizał loda i już zostało mu go niewiele, sama końcówka wraz z kawałkiem wafla, gdy wtem nadleciało nad park ogromne stado gawronów. Momentalnie zrobiło się ciemno od tych ptaków. Tyle ich było, że przesłoniły prawie całe światło słoneczne i wydawało się, jakby to ciężkie chmury wiatr momentalnie przywiał, zwiastując burzę bądź nawet gradobicie. Część z ptaków usiadła na gałęziach drzew, część wylądowała na trawie i zaczęła wyskubywać drobne owady z ziemi, a jeszcze inna część bezpośrednio zaatakowała samego komisarza. Zaczęły mu dziobać dłoń z trzymaną resztką niedojedzonego loda i zaczęły go drapać ostrymi szponami po całym ciele. Rozszarpywały mundur i wydłubywały gwiazdki z dopiero co przyszytych pagonów. Jeden z większych ptaków, być

może przywódca stada, zabrał order z piersi i trzymając go w dziobie próbował wzbić się w powietrze. Przerażony komisarz zaczął się bronić i chaotycznie machać rękoma, lecz ptaki nie dawały za wygraną. Nie miał żadnych szans z takim żywiołem. Próbował biec za odlatującym złodziejem, trzymającym odznaczenie w dziobie, lecz przewrócił się w miejscu, gdzie było sporo ptasich odchodów i wylądował w nich dokładnie środkiem twarzy. Zatkane drogi oddechowe uniemożliwiały mu oddychanie, dusił się i wcale nie mógł się podnieść, chociaż starał się uwolnić używając całej siły. Usiłował krzyczeć „ratunku!", ale nie mógł wydobyć z gardła żadnego słowa i nie mógł złapać powietrza.

Justyna, widząc wiercącego się na łóżku Winnego, który spał na brzuchu z twarzą w poduszce i do tego jakoś dziwnie pojękiwał, wystraszyła się mocno i zaczęła go szarpać za ramię, aby go obudzić.

- Wiesiek, Wiesiek, co ci jest?

Gdy po chwili już wybudził się i zaspany otworzył oczy, Justyna zapytała:

- Co się stało? Wiesiek?!

- Złodzieja łap! Złodzieja! Mój medal zabrał!

- Wiesiek! Obudź się!

Dopiero gdy ocknął się bardziej, jeszcze może nie w pełni świadomy, powoli zaczynał orientować się gdzie się znajduje.

- Która godzina? - zapytał, patrząc mętnym wzrokiem na Justynę.

– Zaraz będzie dziesiąta.

Zerwał się na równe nogi, wołając:

– Do roboty miałem iść!

– Dzisiaj, w niedzielę? – dziwiła się.

– Tak, tak, do kościoła!

– To zdecyduj się gdzie chcesz iść, do roboty czy do kościoła? Śniło ci się coś.

– Ach tak, tak. To jeszcze nazwisko panieńskie małżonki mnie prześladowało.

– Biedny. Musiałeś mieć ciężko, że do tej pory nie możesz ochłonąć.

– A, tam, daj spokój. To tylko sen. Ale idę dzisiaj do pracy – mówił już całkiem świadomy. – Idę ze sztandarem do kościoła. Jakaś uroczystość ma być. Policję muszę godnie reprezentować, ale zdążę, do dwunastej jeszcze mam czas.

– Spokojnie, zjedz najpierw śniadanie.

Winny wszedł do łazienki, zajął się poranną toaletą i ubieraniem, podczas gdy Justyna zdążyła już to zrobić wcześniej i przygotowywała śniadanie. Gdy usiedli przy stole, zapytała go:

– To co dokładnie ci się śniło?

– A już nie pamiętam, jakieś gawrony. A wiesz? Moja była żona miała na nazwisko Gawron.

– Ale to ci zwichrowało psychikę.

– Daj spokój. Najgorsze, bo sen, jakby był przepowiednią, że na awans już chyba w życiu nie mogę liczyć.

– Nie wierz w sny tak dokładnie.

– Skąd, coś ty. Przecież kiedyś śniło mi się, że umarłem, a to tak dawno było, i do tej pory żyję.

– No, to nie wywołuj wilka z lasu.

– Dobra, słuchaj, będę się zbierał, bo jeszcze w domu muszę mundur wyjściowy założyć.

– To na razie, pa.

– Pa.

Pożegnał się i poszedł najpierw do siebie. Zdążył się przygotować i był na komendzie pół godziny przed czasem. Tam czekały już na niego dziewczyny, Kalicka i Balicka. Jak nazwiska miały nawet podobnie brzmiące i nadające się do rymowanego wiersza, tak fizycznie różniły się znacznie. Podczas, gdy kapral Kalicka była drobną blondynką niskiego wzrostu, tak posterunkowa Balicka wysoką brunetką. Jak już wcześniej zauważył Winny, w poczcie sztandarowym nie będzie symetrii. Nie było to wcale istotne, bo odpowiedź, jaką otrzymał na tę uwagę nawet nie nadaje się do zacytowania. Ogólnie można przytoczyć jej sens, że chodziło tylko o to, że Winny nie jest ani architektem, ani geometrą, żeby mu aż tak bardzo na tej symetrii zależało. Sam zresztą nie miał żadnych zastrzeżeń, jeśli chodzi o fizyczne walory posterunkowej Balickiej, szczególnie, jeśli mówimy o zastrzeżeniach do piersi. Do dumnego wyprężania ich w poczcie sztandarowym Balicka wyjątkowo się nadawała. Jeśli chodzi o postrzeganie kapral Kalickiej przez podkomisarza, to zdążyliśmy

wcześniej poznać jego stanowisko. Winny wyjął sztandar z gabloty i zaniósł do radiowozu. Sierżant Krajda podwiózł cały ten poczet pod budynek kościelny, którego prosta modernistyczna bryła wybudowana w dwudziestoleciu międzywojennym stała prawie w samym rynku. Wszyscy wysiedli i Winny spojrzał na zegar znajdujący się na kościelnej wieży.

- Mamy jeszcze pięć minut - powiedział i sprawnie jak na podkomisarza przystało skręcił drzewce sztandaru. Byli już gotowi do godnego reprezentowania policji.

Ludzi czekających pod kościołem i w samym kościele było już sporo. Sporo pojawiło się też pocztów sztandarowych z różnych innych organizacji. Związek Kombatantów i Osób Represjonowanych, to zrozumiałe, ale były jakieś szkoły, straże pożarne i nawet pszczelarze. Wychodzi na to, że tę ważną i historyczną chwilę chcieli uczcić wszyscy. Winnemu, chociaż podobno był katolikiem, nie uśmiechało się reprezentowanie policji przez całą mszę i jeszcze później po niej, nawet nie wiadomo dokładnie jak długo. Cóż jednak miał zrobić, skoro to było polecenie służbowe. Dobrze, że towarzystwo miał dobrane, bo gdyby komendant dołączył jakiegoś sierżanta, Krajdę czy nie daj Boże Kędziaka, i miałby z nimi stać... Chociaż samo stanie czym mogłoby się różnić? Stanie, to tylko zwykłe stanie, a jednak uważał, że sama świadomość już inaczej działa na człowieka. W myśl powiedzenia „uważaj z

kim pijesz" istotne w tej chwili było powiedzenie, które sam na tę okoliczność sobie w głowie utworzył, czyli „uważaj, z kim stoisz". Również z racji wykonywanego zawodu związanego z przestępczością, Winny miał powiedzenie, którego często używał. Mianowicie zwykł mówić, że „lepiej stać, niż stojąc siedzieć".
I stał tak, nie bacząc na okoliczności i nie słuchając tego, co mówił ksiądz na mszy, bo z reguły uważał, że wszystkie te gadki są zawsze podobne. Ksiądz jednak wydawał mu się jakiś inny, jakby ważniejszy. Dawno nie był w kościele i ksiądz dla niego, to tylko ksiądz - nie rozważał tego, kto jest kim w tej podejrzanej organizacji. Dopiero później domyślił się, że to był biskup. „Od razu wyglądał jakoś inaczej" - pomyślał, lecz nie słuchał dalej.

Nie słuchał też przemawiających oficjeli. Nie znał również dokładnie najnowszej lokalnej historii i nie kwestionował nazwisk umieszczonych na tablicy. Nie wiedział, czy kogoś tam brakowało, czy może kogoś umieścili niesłusznie. Wiedział tylko, że z tym może być różnie, tak, jak to się zdarzało, gdy on był wybrany komendantem. Na tego typu wybór nie zawsze fakty i kompetencje miały wpływ. Lecz do trzymania sztandaru, to Winny raczej kompetencje miał. Stał sztywno i prężył swoją klatę na tle dwóch dziewczyn w mundurach. Z daleka było widać, że to nie byle organizacja, nie jakiś Związek Harcerstwa Polskiego czy może nawet sam Związek Kombatantów i Osób Represjonowa-

nych, ale to komisariat policji w Zelowie ze swym sztandarem stoi pod pamiątkową tablicą zamontowaną na kościele zlokalizowanym w tym samym mieście, co sama komenda. Mieście cudów, jak to ktoś kiedyś napisał na murze. Teraz jednak Winny już o tym wiedział dokładnie, że na cuda nie ma co liczyć.

Ksiądz święcił, nowo wybrana pani burmistrz przecinała wstęgę, a z głośników popłynęły słowa jakiejś przemowy. Obóz patriotyczny, organizacje pozarządowe, wszyscy składali kwiaty pod tablicą. Byli nawet kibice łódzkiego Widzewa i wieniec mieli największy. Uczą miłości do drużyny. Było też sporo ludzi, którzy stali dookoła podczas tej uroczystości i były osoby niezadowolone z wyglądu tablicy oraz umieszczonych na niej nazwisk. Ktoś zaczął protestować i wznosić głośne okrzyki. Że niby kogoś ważnego nie dopisali, że ktoś nie był obiektywny przy ustalaniu nazwisk do tego wyróżnienia.

Winny i dziewczyny stali dumnie, nie zwracając uwagi na to wszystko co działo się gdzieś z tyłu, lecz słychać było dokładnie czyjeś niezadowolenie i protesty. Same protesty i głośno wypowiadane zdanie nie byłoby nawet żadnym problemem, chociaż widać było, że księdzu i stojącym oficjelom się to nie podobało. Zrobiła się z tego szamotanina i poważny konflikt. Całe szczęście, że komendant przewidział pewne rzeczy i przy takiej imprezie wystawił patrol zabezpieczający. Było już dosyć gorąco, ktoś zaczął głośno krzyczeć, a

inni odpowiadali mu i próbowali uspokoić również krzycząc. Balicka i Kalicka zerkały do tyłu i sam Winny, pomimo że sztywno trzymał sztandar, również próbował zobaczyć, co też tam może się dziać.

Nie była to wielka zadyma porównywalna chociażby do jakiegoś meczu na zelowskim stadionie, lecz tylko mała bójka. Nawet może nie bójka, bo najwięcej miał do powiedzenia jeden mężczyzna. Patrol zabezpieczający, czyli sierżant Kędziak i starszy posterunkowy Krynicki, chyba poradził sobie i policjanci trzymali już za ręce szarpiącego się osobnika. Rzucał się jeszcze, zanim go skuli kajdankami, ale impreza poświęcenia tablicy odbywała się już bez żadnych przerw, a dzięki interwencji policjantów, można powiedzieć, że przebiegała bez żadnych większych zakłóceń. W pewnej chwili, gdy zatrzymany próbował się jeszcze wyrwać, sierżant Kędziak złapał go za jeansową kurtkę. W tym momencie nastała chwila ciszy, ponieważ zmieniali się mówcy. W tej ciszy rozległ się dźwięk, jakby jakiegoś niewielkiego dzwoneczka, który Winnemu dziwnie zabrzmiał w uszach. Ten metalowy dzwoneczek potoczył się dosyć daleko po betonowej kostce, aż jego głos ucichł dopiero, gdy się zatrzymał niedaleko, prawie pod nogami Winnego. Podkomisarz skierował tylko wzrok w dół na chodnik i zauważył, że przyczyną tego dźwięku nie był żaden dzwoneczek, tylko metalowy guzik. Od tej chwili reszta ceremonii w ogóle nie docierała do uszu i do całej świadomości Winnego. Myślał

tylko o tym guziku. Nawet rozważał już na poważnie i dopuszczał do głowy hipotezę, że ma jakąś paranoję, guzikowe urojenia, czy sam już nie wiedział jak nazywać ten skrajny przypadek. Z medycznego punktu widzenia był jednak bezradny i nie mógł sam sobie postawić diagnozy. Nie mógł też się schylić, bo trzymał sztandar.

Dręczył go ten guzik, wbijając się w myśli niczym gwóźdź przebijający czaszkę. Minęło jeszcze sporo czasu, zanim cała uroczystość się zakończyła. Pod tablicą stało jeszcze trochę osób, ale Winny rozkręcał już drzewce sztandaru i cała trójka szykowała się do wyjścia.

- No, to po akcji. Ale mnie nogi bolą w tych moich butach - skarżyła się Balicka.

- Wystałyśmy się jak na jakiejś warcie - dodała Kalicka.

- Służba nie drużba - podsumował podkomisarz, gasząc zapał koleżanek do dalszej rozmowy i narzekań, co obie panie odebrały za zachowanie szowinistyczne. „Gdyby Winny stał w butach na obcasach, wtedy mógłby się wypowiadać" - myślała lekko zdenerwowana Kalicka.

Gdy opuszczali już przykościelny plac, Winny stanął przy tym guziku, który dalej nie dawał mu spokoju, schylił się i podniósł go, chociaż znał przesąd, który mówił, że podnoszenie jakichkolwiek leżących guzików przynosi pecha.

Drogę powrotną pokonali pieszo, ponieważ koledzy policjanci byli zajęci. Nie była to droga długa, bo odcinek pomiędzy komendą a kościołem nie był dłuższy niż pięćset metrów. Gdy Winny wniósł sztandar do środka komendy, zostawił go w gablocie i wszedł do pomieszczenia, w którym policjanci zajmowali się zatrzymanym, wcześniej awanturującym się pod kościołem. W pierwszej chwili nie skojarzył twarzy, lecz po tym jak zatrzymany odzywał się do policjantów rozpoznał w końcu, że był nim Juliusz Werner, obrońca honoru i patriota, którego kiedyś zatrzymano za bójkę na stadionie. Nie był ubrany w dres, tak jak wtedy, i wyglądał trochę inaczej.

- Dzień dobry, panie Werner! I co, znów się panu coś nie podobało?

- Bronić trzeba najnowszą historię przed zafałszowaniem.

- Przepraszam, bo już do końca nie zrozumiałem. Pan jest zwolennikiem czy przeciwnikiem obecnej tablicy?

- A widzi pan, panie podkomisarzu, sam pan odpowiedział sobie na to pytanie. Ignorancja to główna przyczyna tego, że potem ktoś napisze i ustali, że było tak, jak chce, a nie, że było, jak było.

- No, więc jak było, bo sam nie wiem?

- Nie mogłem tolerować bzdurnych haseł. Że kogoś niby brakuje, tamten krzyczał.

W tym czasie sierżant Kędziak przyniósł do pokoju

wydruki dotyczące zatrzymanego.

- Słabo - powiedział i podał je Winnemu.

Winny przejrzał je dość szybko i powierzchownie, jednocześnie przypominając sobie tamtą sprawę. Odezwał się:

- No i po co te nerwy były panu potrzebne, panie Werner? Zawiasy za tamtą awanturę nie pozwalają panu na tak ekspresyjne wyrażanie poglądów.

- No to co? Zamkniecie mnie za to, że broniłem tej tablicy, pod którą i wy ze sztandarem staliście?

- Z tego co mi wiadomo osobiście, nie było tam aż takiej potrzeby. Ktoś tylko wyrażał swoje poglądy.

- Niewielka jest droga od ich wyrażania do bójki.

- Nie byłoby żadnej bójki, gdyby pana tam nie było!

- Ciekawe, ja mam na ten temat inne zdanie.

- Zdania i poglądy może pan wygłaszać, jest wolność słowa. Tylko wygłaszać słownie, a nie pięścią.

- To zamkniecie mnie?

- Najprawdopodobniej tak, poczeka pan, dopóki się wszystko nie wyjaśni.

- Moim zdaniem wszystko jest jasne.

- Jasne, mówi pan?

W tej chwili podkomisarz Winny spojrzał na kurtkę Wernera i zwrócił uwagę na brak guzika. Przypomniał sobie, że trzyma w kieszeni guzik podniesiony z betonowej kostki, wyjął go i zaczął bardzo dokładnie i demonstracyjnie się mu przyglądać.

- Pański guzik, panie Werner.

- Nooo, jeszcze guzik straciłem. Nitowany, to już się go nie przyszyje.

- Niestety nie. Interesuje mnie jeszcze jedna rzecz...

Kurtką Wernera, którą akurat miał na sobie, był jeansowy Diesel, który już ostatnio obsesyjnie niektórym dawał się we znaki. W tej chwili również Winny próbował odpędzić niesłuszne i głupie podejrzenia, lecz przyłożył ten guzik do kurtki zatrzymanego i odezwał się:

- O! Nawet pasuje!

- To mój, więc jak mógłby nie pasować?

- Przyznaje pan, że to pański?

- No tak!

Winny dalej patrzył na rząd guzików w klapie tej kurtki, gdzie miejsce po dzisiaj straconym było świeże, ale nie było w tym rzędzie jeszcze jednego guzika, którego Werner musiał stracić wcześniej, bo ślad był inny, sprany i wypłowiały. To dało mu do myślenia.

- Nie ma pan jeszcze jednego - powiedział wolno i popatrzył w oczy Wernerowi.

- Tamtego nie miałem wcześniej.

- Zastanawia mnie, gdzie mógł go pan zgubić.

- Nie wiem, nie mam go od dawna.

- Od jak dawna?

- Nie mam pojęcia.

- Tak sobie myślę, że mógłbym skompletować te brakujące.

- Nic to nie da, panie władzo, bo przecież już się ich

nie przynituje.

- Raczej nie...

Juliusz Werner najprawdopodobniej stracił gdzieś ten guzik i nawet nie wiedział dokładnie gdzie. To niby logiczne, bo guzik, jak sama nazwa wskazuje, to rzecz, na którą „guzik" zwracamy uwagę. Na ten temat akurat nasz komisarz miał coś do powiedzenia, jak również miał dość przyglądania się swemu odbiciu w lustrze, szukając winnego. „Tym razem tak nie musi być" - pomyślał.

Podczas tej rozmowy awanturujący się Werner nawet nie zdawał sobie sprawy, do czego nawiązuje guzik, na który aż tak mocno zwrócił uwagę komisarz. Dla niego najistotniejszą sprawą było to, aby policjanci nie potraktowali tej dzisiejszej sprzeczki poważnie i nie zakwalifikowali jej jako bójki, w której pokrzywdzony odniósł poważne obrażenia, bo wtedy jego wyczyn potraktowany byłby jako recydywa. Nie było jednak ku temu przesłanek, ponieważ nic poważniejszego nie wydarzyło się na przykościelnym placu i nic poważnego nie stało się człowiekowi, którego próbował uciszyć Werner. Nie to jednak zajmowało w tej chwili głowę komisarza. Usiadł za biurkiem i szperał w komputerze, aby w końcu wydrukować trzy arkusze A4, które pokazał Wernerowi.

- Co pan myśli o tym, panie Werner?

- Co to jest?

- Może pan nam opowiedzieć, co robił pan akurat tamtej nocy?

Werner momentalnie się uspokoił, zamarł bez ruchu i analizował coś w głowie, zanim udzielił odpowiedzi. Na jego twarzy dało się zauważyć pewnego rodzaju konsternację, lecz po chwili, już normalnie odpowiedział:

- A co to? Krawcem nie jestem i na guzikach się nie znam!

- Czy może pan powiedzieć coś o tamtym tragicznym dniu?

- Czy wy jesteście normalni? Tyle czasu upłynęło. Skąd ja miałbym teraz wiedzieć?

- Ile czasu? - spytał zdziwiony Winny.

- Nie pamiętam dokładnie, ale przecież było głośno o tej sprawie - tłumaczył się, lecz w taki sposób, który wzbudzał dodatkowe podejrzenia.

- Nie pamięta pan nic?

- Nie za bardzo.

- Obawiam się - mówił dalej wyjątkowo spokojnie i bez emocji Winny - że będzie musiał pan sobie przypomnieć.

- Kurwa! W co wy chcecie mnie wrobić? Byłem wtedy w domu, matka może to potwierdzić!

- Ooo! A jednak można! Co za pamięć, muszę pogratulować!

- A cóż to takiego? Mam dobrą pamięć. Często rozwiązuję sudoku! - Werner zmieszał się lekko, myśląc, że może zbyt szybko to sobie przypomniał.

Winnego rzeczywiście zdziwiła taka szybka odpowiedź i postanowił podejrzanemu zadać pytanie kontrolne, niemające żadnego związku ani ze sprawą zabójstwa, ani z dzisiejszą bójką.

- Co pan robił dwudziestego siódmego grudnia zeszłego roku?

Nad odpowiedzią na to pytanie Werner zastanawiał się już dłużej i nie pamiętał, lecz po chwili rzucił od niechcenia, jakby dyplomatycznie:

- Po świętach, to zawsze dwa dni leczę kaca.

- A ja, panie Werner martwię się tym, że dokładnie pan tego nie pamięta.

- W co wy, kurwa, chcecie mnie wrobić?!

- W nic. Zadaję panu tylko pytania.

- Co to za pytania?! Kto o zdrowych zmysłach na dzień dobry od razu pamięta, co działo się osiem miesięcy temu?!

- Czyli jednak ten kac, to tylko taka pańska hipoteza. A tamtą tragiczną noc, od której upłynął już ponad rok, przypomniał pan sobie doskonale.

- W nic mnie nie wrobicie! - denerwował się.

- Gdzież byśmy śmieli. Pytamy tylko.

To wyjątkowo flegmatyczne zachowanie Winnego zaczęło już bardzo negatywnie działać na Wernera. Był jakiś niespokojny, rozdrażniony, lecz jeszcze starał się nie zachowywać podejrzanie. Winny w końcu przecież pracował w policji i mimo swoich przygód, trzeba przyznać, jednak jakieś doświadczenie posiadał. Czy

coś przeczuwał? Postanowił uciec się do podstępu. Wydrukował zdjęcie z komputera, na którym była fotografia siekiery niemającej związku z żadną sprawą, którą wybrał przypadkiem z policyjnych akt i przyglądając się podejrzliwie Wernerowi zadał jeszcze kilka pytań, po czym podsunął mu to zdjęcie. Werner był już mocno zdenerwowany, lecz dalej jak tylko mógł starał się ukrywać emocje i dosłownie śmiał się wprost w twarz podkomisarza, ciągle mówiąc przy tym:

- Nie wrobicie mnie!

- Proszę się przyjrzeć, panie Werner. Znaleziono narzędzie zbrodni, na którym były pańskie odciski palców. To pańska siekiera!

Na widok tego zdjęcia, jako rzekomego dowodu w sprawie, Werner, pomimo szelmowskiego uśmiechu na ustach, stracił już całkowitą kontrolę nad sobą. Winny ciągle wbijał w niego swój tajemniczy wzrok i dodał:

- Nie wywinie się pan! Odciski nie kłamią. Siekiera jest pańska.

Werner nie wytrzymał tego napięcia i stracił jakąkolwiek kontrolę, aż w końcu wybuchnął, głośno krzycząc:

- Gówno moja!!! Moja miała czerwoną rękojeść!

Po wypowiedzeniu tych słów nastała grobowa cisza.

Winny dalej zachowywał się flegmatycznie, chodząc w tę i z powrotem przed oczami przesłuchiwanego, lecz odetchnął z ulgą i nic już nie mówił. Do mózgu Wernera musiało powoli dotrzeć to, co przed chwilą

powiedział, ponieważ dopiero po upływie dłuższego czasu, może nawet po minucie, zaczął wyć z rozpaczy. Trząsł się, miał przerażony wzrok i wyglądał marnie. Serce Winnego radowało się i rozrywało mu klatę z dumy, a serce Wernera krwawiło z rozpaczy. Przez przypadkowy i „guzik" znaczący guzik rozwikłał sprawę spędzającą sen z powiek wszystkim, którzy do tej pory pracowali nad nią. Nie było jednoznacznych dowodów, że morderczynią jest Kamila Bednarek i nie było jednoznacznych dowodów przesądzających o tym, że sprawcą może być przypadkowy plantator konopi Robert Krajewski. Nie było też narzędzia zbrodni. Kto by pomyślał. Był tylko guzik, a teraz już wiadomo, że to była siekiera i miała czerwoną rękojeść. Nie pozostało nic innego, jak odwieźć Wernera do aresztu. Był weekend i resztę śledztwa należało odłożyć.

Poniedziałek nie był takim zwykłym poniedziałkiem dla podkomisarza, ponieważ od samego rana był chwalony za swój policyjny instynkt, który doprowadził go do tak spektakularnego sukcesu.

- Wiesław! Masz nosa, gratuluję.

- Dziękuję, panie komendancie - odpowiedział dumny z siebie, ale jednocześnie i zdziwiony. Jego imię w ustach przełożonego brzmiało jakoś dziwnie. Nigdy nie słyszał, aby mówił do niego po imieniu. Tym razem nie był już Winnym, tylko Wiesławem. Piękny dzień się zapowiadał, a może nawet piękny okres w jego życiu.

* * *

Juliusz Werner, patriota, katolik i obrońca honoru siedział na krześle podczas przesłuchiwania w prokuraturze.

- Proszę powiedzieć, panie Werner, jak do tego doszło? - pytał prokurator.

- Panie prokuratorze, to nie było tak.

- A jak? Proszę mówić, słucham.

- Znałem Ewelinę Młynarską i bywałem na dyskotekach, w których ona również uczestniczyła. Podobała mi się i myślałem, że zdobycie jej nie będzie dla mnie problemem. Niestety, pomimo moich starań nie udawało mi się. To jeszcze nie było dla mnie tragedią, ponieważ postanowiłem konsekwentnie dążyć do celu, jednak czym innym jest odrzucanie moich zalotów, a czym innym upokorzenie mnie.

- Upokorzyła pana?

- Dwa razy.

- W jaki sposób?

- Raz powiedziała „odwal się", a drugim razem, kiedy to wracałem od brata i osobiście zajechałem do niej, powiedziała „spierdalaj, palancie". Kto normalny przyjąłby spokojnie i wytrzymał takie traktowanie? Ja musiałem i pojechałem dalej.

- Gdzie mieszka brat?

- W Podlesiu. Sobki są może w połowie drogi pomiędzy moim domem, a domem brata.

- Rozumiem, że nie chciał pan być palantem i wyeliminował dziewczynę.
- Kto by chciał?! Ale to nie tak, to był wypadek.
- Wszystkie tego typu zbrodnie są wypadkami.
- Ja tego nie chciałem!!!
- No, więc jak to było?
- U brata byłem. W lesie koło Faustynowa wycinał drzewa i ja mu w tym pomagałem.
- Daleko jeszcze z Faustynowa do budynku starej szkoły w Sobkach.
- No tak. Wypiliśmy trochę po robocie i robił się już wieczór, gdy rowerem wracałem do domu. Przywiózł mi na podwórko trochę gałęzi z tych drzew, to musiałem je jakoś porąbać, a że to był koniec roboty, to wziąłem z sobą siekierę do domu.
- To była pańska siekiera?
- Tak! Wziąłem ją i wsiadłem na rower, a że to góral bez bagażnika, to trzymałem ją w ręku i tak jechałem. Mogłem jechać prosto i potem za Krześlowem skręcić na Zelów, ale nie wiem, co mnie podkusiło, żeby pojechać przez te Sobki. Myślałem, żeby może jeszcze zajrzeć do Eweliny Młynarskiej. Wie pan jak to jest po kielichu, ale nie byłem pijany, nie.
- Pamięta pan wszystko?
- Chyba tak.
- To proszę mówić.
- Nawet i przez te Sobki może przejechałbym prosto i już. Młynarska do domu by mnie nie wpuściła i było-

by git. Ale tak się nie stało. To był wypadek!!!
- Wiem już, oczywiście. Co było dalej?
- Był już zmrok, ale jeszcze było trochę widać. Gdy zbliżałem się do miejsca, gdzie stoi budynek starej szkoły, wyszła stamtąd Bednarkowa.
- Znaczy się Kamila Bednarek?
- Tak! Wyszła stamtąd i jakieś piruety odwalała. Stanąłem nawet, aby przyglądać się jej jak się potyka i te piruety odpierdala. Przewracała się i wstawała, biegła, by za chwilę stanąć. Wiedziałem, że obie się dobrze znają i... No co tu dużo mówić, interesowałem się Eweliną, to wiedziałem. Pomyślałem sobie, że wejdę tam do środka, bo może właśnie obie razem tam imprezowały. Postawiłem rower pod kasztanem i wszedłem, a siekierę, jak trzymałem w ręku na rowerze, tak w dalszym ciągu nigdzie jej nie odłożyłem. Wszedłem do środka, a Ewelina była chyba naćpana. Nie wyglądała korzystnie, ale pomyślałem, że może będzie można z nią łatwiej się dogadać.
- Chcesz powiedzieć, że miałeś nadzieję, że będzie łatwiejsza?
- Niech pan nazywa to sobie jak chce, ale tak. Tak było.
- I co? Rozmawiałeś z nią?
- Niezbyt była skora do rozmowy, jakaś taka uśliniona, ale nie zraziło mnie to. Bluzkę miała z dekoltem i piersi pięknie z niej wyglądały, co niwelowało pozostałe „wizualne niekorzyści". Zacząłem do niej gadać.

Wedy otworzyła oczy, które zrobiły się przerażające, wielkie i niezbyt wyraźne, patrzyła gdzieś, czyli jakby nigdzie, zupełnie nigdzie, ale dosyć zrozumiale wykrzyczała: „Kurwa! Spierdalaj pojebie!!!"... Do trzech razy sztuka... Siekierę miałem cały czas w ręku. To był odruch, taki nerwowy tik może... i spierdoliłem!

- No, to, człowieku, będziesz musiał być odizolowany, aby przypadkiem więcej takich tików nie mieć.

- Ile razy mogłem spierdalać?! Ile razy pan by wytrzymał taką potwarz?! To był wypadek! Gdybym wtedy siekiery w ręku nie miał, nie doszłoby do tego.

- A wie pan, że sprawcy wypadków samochodowych podobnie się tłumaczą. Że gdyby nie mieli takich szybkich aut, to może życie potoczyłoby się inaczej... Gdzie teraz jest ta siekiera?

- Nie zaniosłem jej do domu. Kupiłem nową do rąbania drewna. Tamtą wyrzuciłem.

- Gdzie?

- Tam, w te bagna, co są na łąkach.

- Gdzie? Na jakich łąkach?

- Za Sobkami, w kierunku Pożdżenic jak się jedzie.

- Będzie pan oskarżony o zabójstwo ze szczególnym okrucieństwem, o czym mówi paragraf drugi artykułu sto czterdziestego ósmego, kodeksu karnego. Wynika z niego, że może pan dostać karę od dwunastu lat do dwudziestu pięciu lub dożywocie.

Do Wernera chyba dopiero teraz dotarła powaga całej tej sytuacji. Jakby do tej pory nie zdawał sobie

sprawy z konsekwencji tego, do czego przypadkiem się przyznał. I to tylko przez niewinny guzik. Zaczął wyć jak jakieś dzikie zwierzę.

- Boże jedyny!!! Co ja zrobiłem?!

* * *

Gdy do Kamili Bednarek dotarła informacja o tym, że jest niewinna i może opuścić zakład karny, jej zachowanie i stan zdrowia zaczęły się poprawiać i dosłownie w ciągu tygodnia biegły psychiatra stwierdził, że ewentualne leczenie może już kontynuować na wolności. Jej przypadek był ewidentnym przykładem, jak delikatna bywa psychika ludzka i że bywają chwile, które potrafią zmienić postrzeganie świata do tego stopnia, że człowiek sam nie potrafi sobie z tym poradzić. Na szczęście wszystko dobrze się skończyło i Kamila wyszła na wolność.

Po powrocie do domu, zrozumiała, co znaczy domowe ciepło. Jej babka, której stan zdrowia również się pogarszał, widząc wnuczkę, czuła się znacznie lepiej. Jej wiek nie gwarantował już takiej sprawności, lecz ewidentnie powrót Kamili był pewnego rodzaju lekarstwem, tak samo jak ozdrowieńczą dla Kamili okazała się wiadomość o znalezieniu mordercy i oczyszczeniu jej z zarzutów. Dla obu spokrewnionych ze sobą kobiet zaczęło się nowe życie, w którym to uświadomiły sobie, co może być najważniejsze w życiu,

a jest ulotne jak bańka mydlana. Czasem tak bywa, że kontestujemy, buntujemy się i chcemy żyć inaczej. Być może w takich chwilach należałoby kierować się zwykłym prostym mottem, które często cytował nawet sam podkomisarz Wiesław Winny. Było nim odpowiednie nastawienie do życia i cieszenie się każdą chwilą. Winny nie był jakimś filozofem, ale zawsze to jego „dwa razy lepiej jest stracić dwa zęby, zamiast czterech", było w pewnym sensie wzorowym przykładem podejścia do życia. Cieszmy się z tego, co mamy w danej chwili - chciałoby się powiedzieć - bo w życiu może być różnie.

Robert Krajewski pomimo perspektywy nieuniknionej odsiadki również odetchnął na wieść o tym, że nie jest już podejrzany o morderstwo.

- Dobra, chociaż tyle, że w tym przypadku nie muszę się dodatkowo tłumaczyć - mówił do swoich współtowarzyszy z celi numer sto dwanaście.

- Zioło, to nie sto czterdzieści osiem - informował go jeden ze współwięźniów.

- Racja! - przyznał już znacznie spokojniejszy.

Należało jeszcze doprowadzić całą sprawę do finału, aby przedstawić Wernerowi zarzuty i rozpocząć proces. Wizję lokalną zaplanowano na poniedziałek.

W ten poniedziałek od samego rana zapowiadała się wyjątkowo słoneczna pogoda. Żółty volkswagen T4 wraz z dwuosobową brygadą zajechał na koniec wsi

Sobki i stanął przy tablicy z nazwą miejscowości. Tablica była już lekko zardzewiała i sam napis był słabo widoczny ze względu na graffiti, którym miejscowi artyści wyrażali swoje zdanie. Charakterystycznym dla tego regionu był znany łódzki klub sportowy Widzew, lecz tu akurat przedstawiony jakoś w niekorzystnym świetle. Ta niezbyt pochlebna opinia, do tego przeważnie w takich przypadkach pisana z błędem, zupełnie przesłaniała nazwę miejscowości i to był główny powód wymiany tej tablicy.

Jacek Kamecki krzątał się już wokół wozu i wyjmował potrzebne narzędzia, a Jan Komorowski otworzył już co prawda drzwi, ale dalej siedział na miejscu pasażera i jakoś nie uśmiechało mu się, aby aktywnie spędzać dzień w pracy. Zaczął medytować - albo tylko narzekać na wszystko? - co w poniedziałek często miało miejsce.

- Patrz, jakie ten Kluska ma zdrowie. Zawsze w poniedziałek musimy sami robić.

- Przyganiał kocioł garnkowi. - Młody Kamecki z czasem już robił się bardziej bezpośredni w stosunku do swego starszego towarzysza.

- Młody, nie przesadzaj, bo co ty byś sam zrobił?

- Nie, nic! - odpowiedział, siłując się już ze zdemontowaną starą tablicą.

- No i właśnie. Ja zastanawiam się i analizuję jak do tematu podejść. Nie należy postępować pochopnie.

- Wiem, wiem, panie Janku. Tyle razy to słyszałem.

– Wojny były i ty myślisz, że tak sobie z okopu wyszli na hurra? Niestety, ile było analiz, prognoz i wódki wypitej w sztabie, to teraz już nikt się tego nie dowie.

– Tak jest, panie Janku! – przytaknął głośno Kamecki, jakby odpowiadał przełożonemu w wojsku, co miało oznaczać, że tym zachowaniem chciał nawiązać do sztabu i wódki, do których tak pozytywnie nastawiony był Komorowski.

– Najważniejsze, że piękny dzień dzisiaj i na głowę nam się nie leje – zmienił temat Komorowski.

– Pogoda jest najważniejsza. Dobrze, że nie wieje.

– Prawda! Najgorszy jest wiatr.

W końcu Komorowski wygramolił się niezdarnie z kabiny busa, obszedł ją dookoła i mocno zadowolony z tempa w jakim postępowały prace stanął przy burcie i oparł się o nią łokciem. Trzymał w kieszeni dwustumililitrową butelkę i wahał się czy jej użyć, lecz teraz, gdy wyszedł na powietrze, uznał, że jednak warunki pogodowe pomogły mu przełamać to niezdecydowanie. Gdy metalowy korek wydawał już charakterystyczny dźwięk zrywanego wraz z banderolą zabezpieczenia, z daleka zauważył zbliżające się samochody policyjne. Wstrzymał się z tą akcją i pomyślał, że wypije, kiedy już przejadą. Lecz pojazdy zwolniły i ostatecznie zatrzymały się przed drewnianą ruiną starej szkoły, która znajdowała się nie więcej niż sto pięćdziesiąt metrów od tego miejsca. Przyglądał się temu, nie wiedząc, co też się dzieje.

– Ty, Jacek?! Co tam się stało?

– Nie mam pojęcia. Radiowozy i transit policyjny. Jakaś grubsza afera.

– No, ciekawe. Patrz, stanęli i tam do tej budy wchodzą do środka. – Wytężał wzrok i przyglądał się.

– A może jeszcze jakieś dochodzenie robią? Tam kiedyś zabili dziewczynę.

– Aaa! No tak. Pewnie jeszcze szukają czegoś czy może wizję lokalną robią.

– No właśnie.

Uspokoiło to Komorowskiego i postanowił kontynuować przerwaną akcję. Odkręcił korek, przyłożył butelkę do ust i dość szybko wypił połowę jej zawartości. Jego mina automatycznie zaczęła wyrażać pozytywne emocje i poprawę stanu psychofizycznego. Po złapaniu oddechu miał zamiar wypić resztę. Stał tak, dalej oparty o burtę, i omiatał wzrokiem zawartość przestrzeni ładunkowej busa. Wśród narzędzi, innych znaków i tablic zauważył dwie z napisem Sobki. Jedna była stara z wymalowanymi na niej wulgarnymi napisami, a druga zupełnie nowa. Natychmiast jego oczy wyglądem przypominały oczy bałtyckiej flądry.

– Młody! Coś ty znowu odpierdolił!?

– No co?

– Sobki leżą na pace!

– Na jakiej pace?! Jesteśmy w Sobkach przecież.

Komorowski podszedł do zamontowanej tablicy, tak, żeby mógł widzieć nazwę, i odpowiedział:

- W jakich Sobkach?! Znów jesteśmy w... w Zelowie.

Kamecki podszedł sprawdzić jak wygląda stan faktyczny, stanął przed tablicą, zmieszał się lekko i widać było również, że zaczerwienił się z powodu kolejnego błędu, jaki popełnił. Podrapał się tylko po głowie i powiedział:

- Cholera, Kluska jednak wie, że w poniedziałek niczego dobrego nie można zrobić.

- Już ty się Kluską nie tłumacz!

- No dobra! Panie Janku! Teraz w takim razie niech się pan wykaże!

- Nie będę poprawiał tego, co ktoś spartolił - powiedział i przechylił resztę zawartości butelki.

Drogą od strony wsi Krześlów jechała rowerem stara, może osiemdziesięcioletnia kobieta i powoli zbliżała się już do początku Sobek, bądź też do ich końca, bo numeracja zaczynała się z tamtej strony. Ciężko naciskała na pedały, kołysząc się z boku na bok. Na kierownicy wiozła torbę z niewidoczną zawartością i gdy zbliżyła się do ekipy zapytała tylko:

- To co to, tero będzie tu Zelów?

- Ano pani, to przecież gmina jest - zbył ją Komorowski.

- Aaa, no taaa! - przytaknęła jakby ze zrozumieniem i pojechała dalej, nie zatrzymując się wcale.

Jacek Kamecki tylko uświadamiał Komorowskiego:

- No i widzi pan, panie Janku. Ludzie nawet byliby zadowoleni, gdyby w mieście mieszkali.

- Już ty tym mieszkaniem więcej nie mieszaj.

- Szczególnie panu, pan już ma dość namieszane.

- Młody! Uważaj sobie!!!

- No co? Jedna tablica i już byśmy całą wieś do miasta przeprowadzili. Zobacz pan, panie Janku, o ile mniejszym kosztem to by się odbyło.

- Widzę, młody, że chociaż jesteś raczej niepijący w pracy, to jednak urodziłeś się zbyt późno.

- Lepiej późno niż wcale - odciął się.

- Socjalistyczną ojczyznę budować z tobą się powinno. Przynajmniej później, żeby ją rozpierdolić, nie trzeba byłoby czekać latami.

- Czyli nie ma tego złego...

- Za późno, młody, za późno.

Ekipa drogowców wzięła się do intensywnej zmiany tablicy i Jacek już odkręcał śruby, a niedaleko od tego miejsca policjanci wraz z prokuratorem przygotowywali się do wizji lokalnej. Wyprowadzili skutego kajdankami Juliusza Wernera, który zaczął pokazywać i tłumaczyć wszystko tak, jak było. Potem dostał do ręki atrapę siekiery, którą trzymał i dalej tłumaczył wszystko po kolei.

- Nie odłożyłem jej, bo cały czas musiałem ją trzymać w ręku podczas jazdy. Gdybym miał inny rower, również nie doszłoby do tej tragedii. Nie miałem żadnego bagażnika i miejsca, gdzie można było coś zamocować. Wszystko przez tę siekierę! Albo może przez rower... - zastanowił się przez chwilę. - Bo nie miał

bagażnika.

Większość policyjnej ekipy weszła do środka, gdzie przygotowana była kukła. Werner odtworzył wszystko tak, jak pamiętał.

Policję i prokuratora interesowało narzędzie zbrodni, którego jeszcze nie odnaleziono. Pomiędzy terenem szkoły a najbliższym gospodarstwem, z którego wtedy na paniczne nawoływania Jakuba Zamolskiego wybiegł Bogdan Tamarysz, była polna droga, która prowadziła do wsi Pożdżenice, a dokładnie wiodła prosto do dziewiętnastowiecznego, drewnianego kościoła parafialnego. Był to niewielki budynek zbudowany na planie prostokąta, wokół którego rosły kasztany. Droga ta, chociaż kiedyś mocno uczęszczana przez parafian, obecnie służyła jedynie mieszkańcom jako dojazd do pól i łąk. W deszczowe dni nawet trudno byłoby pokonać ją rowerem. Latem, gdy sucho, było to możliwe. To tędy tego feralnego wieczoru Juliusz Werner pojechał, aby później przejechać obok kościoła i dalej pojechać w stronę cmentarza i w ten sposób dotrzeć do swego domu w Zelowie. Ta polna droga mogła mieć około kilometra i gdzieś do połowy tego dystansu wiodła lekko w dół. Tam znajdował się niewielki betonowy mostek zbudowany na strumyku, który był początkiem rzeki Chrząstawki. Strumyk ten przy samym mostku mógł mieć około dwóch metrów szerokości. Werner tłumaczył dokładnie jak się poruszał i wszystko układało się w całość. Nie było jeszcze narzędzia zbrodni, ale wizja

lokalna miała na celu odnalezienie go. Od mostka droga znów pięła się lekko w górę, lecz różnica wzniesień na całym odcinku, aż do samego kościoła nie miała nawet dziesięciu metrów. Można powiedzieć, że to był tylko teren lekko pagórkowaty albo nawet prawie płaski.

Gdy popatrzy się w prawo, wspomniana rzeczka bierze swój początek gdzieś dalej w łąkach, lecz jest to niewielka strużka lub nawet rów melioracyjny. Dopiero tutaj, w niewielkiej odległości od mostka, może około dwustu metrów, znajdują się kępy olch, które rosną wokoło bagnistych oczek wodnych, w których też muszą być dodatkowe źródełka, ponieważ tu dopiero ta mała strużka nabiera siły i mocy, aby być już przy tym mostku strumykiem, płytkim co prawda jeszcze, ale szerokim na tyle, że suchą nogą się go nie przeskoczy. Cała ekipa doszła do tego miejsca i Werner oświadczył, że siekiera jest gdzieś tam, pomiędzy olchami w tych bagienkach.

– Tam ją wyrzuciłem.

– Jesteś w stanie powiedzieć dokładnie gdzie?

– Jeszcze trochę można dojść, dalej już będzie grząsko.

Doszli pozostali i nogi zaczęły wszystkim grzęznąć z torfowym bagnistym terenie.

– Wtedy było bardziej sucho, bo dalej poszedłem, o tam. – Pokazał ręką. – I stamtąd rzuciłem ją do wody.

Sprawa była poważna albo śliska, dosłownie, bo

maź, błoto i woda nie ułatwiały zadania. Ekipy techniczne ze sprzętem rozpoczęły poszukiwania. Niebo było bezchmurne i w górze latał jastrząb, wypatrując swojej ofiary. Jastrzębiowi potrzebna była ona do życia, a policji potrzebny był sprawca i jego narzędzie, którym ofiarę zabito. Ptak poleciał dalej, gdzieś na łąki w kierunku wschodnim, a policja przygotowywała swój sprzęt. Upłynęła godzina zanim rozłożono wszystko i można było na pontonie dostać się do tafli wody w tym bagienku. Sygnał wykrywacza potwierdził, że coś się znajduje pod wodą. Technik, ubrany w specjalny kombinezon przypominający piankę do nurkowania, wszedł do wody. Nie było w tym miejscu głęboko, tylko trudno było mu się poruszać w tym gęstym mule. Zaczął szukać i grzebać w tej podejrzanej brei. W końcu zadowolony wyjął coś ponad taflę wody - albo raczej już ponad taflę tego brązowego czegoś o konsystencji budyniu czekoladowego, co z wodą się wymieszało. Tym razem to nie była puszka, lecz to, czego policja i prokuratura szukały przez tyle czasu. Potwierdziło się.

- Sukces! - krzyczał, trzymając w ręku narzędzie.

To była siekiera z czerwonym trzonkiem! Śledztwo zakończone!

Dzięki instynktowi podkomisarza Wiesława Winnego śledztwo dobiegło końca i jednocześnie nie popełniono błędu, oskarżając niewinnych ludzi. Niebywały

sukces, z którego cieszyli się wszyscy. I przy okazji wiele dobrych słów usłyszał sam Winny. Prasa, telewizja i Internet rozpisywały się o rozwikłaniu tajemniczej zagadki. Komenda w Zelowie porównana była nawet do popularnej i znanej z serialu *Ojciec Mateusz* komendy w Sandomierzu. Zelów, co prawda to nie Sandomierz i sama sprawa ciągnęła się dość długo jak na sandomierskie warunki, lecz nikomu nie przeszkadzała radość i cieszenie się z tego sukcesu.

Sam komendant, czyli inspektor Arkadiusz Rozwadowski, pochwalił swojego podwładnego, nie szczędząc mu pochlebnych słów, za co Wiesław Winny dziękował, mając w głowie nadzieję na coś więcej niż puste słowa.

I okazało się, że Winny miał rację. Za swoje zaangażowanie i nienaganną pracę dostał awans w Dzień Policjanta, a do tego został przedstawiony do odznaczenia go, co prawda brązowym, ale poważnym medalem Zasłużony dla Policji. Podkomisarz musiał tyle zmian w życiu przejść, aby w końcu znaleźć swoje miejsce do życia. Ten Zelów, który nie zapowiadał się zbyt dobrze, stał się jego domem. Tak, już myślał, że Zelów to jego prawdziwy dom. Tyle czasu już tu pracował i oprócz kilku wpadek odnosił same sukcesy zawodowe, a można powiedzieć, że nawet i sukcesy życiowe.

Wcześniej, kiedy komendant Rozwadowski wrócił na swoje stanowisko kierownicze po ciężkiej chorobie,

Wiesław Winny nie był zbyt zadowolony z tego faktu. Tym bardziej nie był, gdy został jeszcze zdegradowany. Przyczyną choroby inspektora był nowotwór, lecz udało mu się wrócić do zdrowia i pełnej sprawności, a co najważniejsze, wrócić do aktywności zawodowej. Komisarzowi Winnemu teraz, gdy z powrotem odzyskał dawny stopień i dobrą opinię, wydawało się, że los znów zaczyna się do niego uśmiechać. Nie chodziło o awans i odznaczenie, bo tego nie przypisywał uśmiechającemu się losowi, traktował to tylko jako nagrodę za ciężką pracę. Los się do niego uśmiechał w inny sposób, ponieważ komendant ponownie zachorował, a przyczyną jego absencji był nawrót choroby nowotworowej. Gdy się o tym dowiedział, zaczął snuć dalekosiężne marzenia, w których... Co tu dużo mówić, jest takie przysłowie: „Nie śmiej się dziadku z czyjegoś wypadku", lecz jakoś wewnętrznie (już z powrotem komisarz) Winny nie potrafił się opędzić od tego typu myśli. Znów liczył, że jednak wskoczy na miejsce komendanta, chociażby, jako pełniący obowiązki.

Justyna Winnicka krzątała się w kuchni i przygotowywała uroczystą kolację na cześć swojego wybranka. Chciała w ten sposób podkreślić uczucie, jakim obdarzyła Winnego i jednocześnie uczcić jego sukcesy zawodowe. Przygotowywała pieczeń, której aromatyczna woń rozchodziła się po całej kuchni i salonie, a do tego robiła sałatkę z dyni, salami, pomidorów i drobno tar-

tego twardego sera. Miała nadzieję, że jej adoratorowi będzie smakowało. Ubrana była również wyjątkowo elegancko i zmysłowo. Sukienkę miała kwiecistą, lecz niezbyt długą, i wzorem tamtej stylizacji, w której poznała komisarza na tańcach, miała założone pończochy samonośne. Czy miała bieliznę? Cóż... W każdym razie Justyna czekała na przyjście Wiesława Winnego.

Komisarz potrafił się też zachować. To był już całkiem inny człowiek, odznaczony brązowym medalem Zasłużony dla Policji. Wystarczyłoby spojrzeć na niego, gdy był ubrany na galowo, i już można było wyrobić sobie o nim całkiem inne zdanie. Mundur i odznaczenie zmieniają człowieka i zobowiązują. Jednocześnie komisarz starał się mocno. Idąc do Justyny, trzymał w ręku wino kupione po drodze. Po butelce dało się stwierdzić, że nie było to byle jakie wino, jak chociażby poziomkowe z beczki, które znalazł wtedy na cegielnianym gruzowisku, przeganiając młodzież, lecz czerwone wytrawne wino importowane z okolic Bordeaux. Z tą butelką w ręku to nie był już człowiek znikąd, szedł jako poważny policjant i jednocześnie człowiek z Zelowa, a do tego znawca wina. Wdzięczny był losowi, że spotkał w tym mieście taką kobietę, a to, że ją spotkał i że ta znajomość przetrwała i rozwijała się w najlepsze, już możemy zaliczyć do cudów. Wobec tego, okazuje się, że jednak różne cuda w Zelowie mogą się wydarzyć. Winny miał tego świadomość. Przechodził przez drogę i, doświadczony już, uważał na rowery, a to, że

sam rowerem jeździł, to już zakrawało na kolejny cud.

Wszedł do mieszkania i przywitał się z Justyną.

- Uuu, jak pięknie wyglądasz!

- Dziękuję - odpowiedziała Justyna i pocałowała go na powitanie.

Skąd wziął się ten romantyzm w Wiesławie Winnym, nie wiadomo. Nie pochwalił w pierwszej kolejności zapachu pieczeni i jedzenia, tylko zaczął od wyglądu swej wybranki. Ile jeszcze może zdarzyć się rzeczy, które mogą być zaskoczeniem? Nieważne. Efektem tego, co działo się akurat w tej chwili, był widok, sugerujący, że te dwie osoby mogą stanowić bardzo dobraną parę. Justyna wyjęła z piekarnika pieczeń, podała ją na stół i usiedli do kolacji. Wiesław zapalił świece i zrobiło się przytulnie, a zarazem romantycznie. Zaczęli rozmawiać o jego sukcesach zawodowych i ewentualnej dalszej karierze.

- No to zdrowia i awansu, Wiesiu. Obyś został komendantem powiatowym.

- Oby twoje słowa były prorocze. - Wiesław uśmiechnął się i stuknęli się kieliszkami.

Słowa Justyny bardzo mu schlebiały, ale jego marzenia nie były na tyle ograniczone, żeby nie sięgać do powiatu. Rozważał już zostanie księdzem, a nawet papieżem, to czym wobec tego jest stanowisko komendanta powiatowego?

Po zjedzonej pieczeni zrobiło się ciepło. Szczególnie Wiesławowi jakoś tak było gorąco, nie tylko zewnętrznie. Czy jedno wino tak na niego podziałało? Niestety, „delikatny kieliszeczek" gorzkiej przed wyjściem miał na to znaczący wpływ. W każdym razie od blasku świec tak jakoś grzało. Justyna to przewidziała, bo kiedy włączyła telewizor, aby zakłócał ewentualne hałasy spowodowane igraszkami i pozwoliła się dalej adorować Wiesławowi, i gdy ten przesuwał rękę po udzie powyżej pończoch, okazało się, że rzeczywiście nie miała bielizny. Ucieszony był tym faktem ogromnie. Pod sukienką miała tylko stanik, aby piersi dobrze się prezentowały i Winny ten stanik zostawił sobie na potem. Swoją taktykę i policyjny kunszt wdrażał teraz w życie. Nawet bardzo podobało mu się to, że Justyna miała na sobie pończochy i do tego buty, których nie zdjęła i które aktualnie już znajdowały się na poziomie znacznie wyższym niż jej głowa.

W telewizji nadawany był program muzyczny, który bardzo dobrze uzupełniał to, co działo się na łóżku. Para zdążyła się fantastycznie zespolić, czerpiąc z tego najwyższy rodzaj rozkoszy. W pewnej chwili program się skończył, lecz żadne z kochanków nie zauważyło, że po nim nadawane były wiadomości. Namiętność odbierała im trochę z koncentrowania się na zewnętrznym świecie i wcale nie zwracali na to uwagi. Nikt z dwojga nie miał zamiaru oglądać tego, co było aktualnie serwowane na ekranie, a nawet nikt już nie miał zamiaru tego słuchać. Jednak w pewnej chwili popłynął głos redaktora prowadzącego:

– Sensacją dzisiejszego dnia jest ujawnienie nieznanych do tej pory nagrań pochodzących z warszawskiej restauracji Przyjaciele Zająca. Do rąk naszych reporterów dostała się zawartość ogromnego archiwum, która, dzięki dziennikarskiemu śledztwu, właśnie ujrzała światło dzienne. Nagrano rozmowy bardzo ważnych osób z politycznego świecznika. Procederu tego dopuszczano się na przestrzeni wielu lat, gdyż taśmy dotyczą polityków z obecnej kadencji, jak również jest sporo nagrań z poprzedniej.

W dalszym ciągu te wiadomości nie docierały jeszcze ani do Justyny, ani do Wiesława. Dalej oddawali się swej namiętnej miłości, a spiker równie namiętnie relacjonował wydarzenie, ponieważ po obu stronach ekranu każdy był zaangażowany i podniecony swoimi, zupełnie odrębnymi sprawami.

– Dzięki tym taśmom, które już ujawniono, można udowodnić politykom nepotyzm oraz wiele innych działań korupcyjnych. Oprócz polityków zdarzali się też współpracownicy z kancelarii biura Rady Ministrów. Przedstawimy państwu teraz jedno ze starszych nagrań, na którym słychać rozmowę doradcy ministra spraw wewnętrznych z senatorem...

W tym momencie nazwisko zagłuszono sygnałem dźwiękowym – celowo lub taki zabieg był przypadkowy. Popłynęło nagranie rozmowy:

– Józek! Nie próbuj wygadywać takich głupot.

– No więc właśnie. Musimy go jakoś w takim miejscu

zainstalować, żeby miał spokój i może nawet po wyborach jakoś tam funkcjonował. Żeby opinia poważnego funkcjonariusza tam do niego przylgnęła.

– Dobrze mówisz, ale gdzie by to mogło być?

– Ano właśnie! Większość moich miejsc, w których miałem jakieś konkretne wtyki, okazała się spalona, a ta ostatnia jego komenda to nawet dosłownie. Nikt nie wie dokładnie, co tam się odpierdoliło.

– Ano, widzisz! A kto winny? Mój Wiesiu winny.

– Ty już pewnie dobrze wiesz jak było.

Do uszu Wiesława w końcu dotarł dźwięk z telewizora, w którym rozpoznał charakterystyczny głos wuja Mariana Krzywickiego. Pomimo tego, że chciał sprawiać pozory, jego aktywność seksualna momentalnie spadała, aż do całkowitej niemocy. Zdziwiło to Justynę, bo jeszcze czegoś takiego nigdy nie doświadczyła. Wiesław w końcu w ogóle przestał okazywać zainteresowanie partnerką i usiadł na brzegu łóżka. Justyna dalej nie zwracała uwagi na to, co było słychać z telewizora, lecz Wiesław zaczął przysłuchiwać się temu już uważniej.

– ...centrum Polski, pięćdziesiąt kilometrów od Łodzi. Nie wiem dokładnie ile tam tej mniejszości mieszka, a nawet czy mniejszości, czy Polaków, czy Czechów i czy oni tam mają obywatelstwo czeskie, polskie, czy też nie mają wcale. Nie wiem, nie interesuje mnie to. Mówią różne rzeczy o tym Zelowie, że tam ksiądz z wikarym żyją, znaczy, że się bzykają i nikt z tego nie robi afery.

Miasto cudów jakieś, ale tam jeszcze mógłbym mu załatwić. No, i Marian, nie ma więcej żadnych tematów na temat pana Wiesława Winnego. Pojedzie tam i ja od tej chwili chciałbym mieć czeski film, rozumiesz? Czeski film! Nic o nim więcej nie chcę słyszeć. Resztę ty możesz mu nagadać, to jest twoja sprawa i twoja rodzina. Rozumiemy się?

- Rozumiemy!

Wiesław był przerażony i zdawał sobie sprawę, że jego sielanka i kariera zawodowa właśnie w tej chwili stanęła pod wielkim znakiem zapytania lub nawet legła w gruzach. Justyna już zdążyła się zorientować, o czym była mowa i zaczęła uważniej przysłuchiwać się drugiej części tego nagrania, aż w końcu zapytała:

- O co chodzi Wiesław?

- Ano, o co chodzi, o co chodzi! - irytował się. - To polityka jest.

- Ale ty jesteś w coś wmieszany?

- Ja... znaczy... Mój wujek raczej.

- I co teraz będzie?

- Czeski film...

Justyna energicznie przewróciła się na drugi bok, po czym podniosła się i wstała z łóżka. Wzięła pilot ze stolika i wyłączyła telewizor, mówiąc:

- Do cholery z tą polityką. Nie sądzisz, że jest jej wszędzie zbyt wiele?

Głowa Winnego wypełniona chaosem i wielką niewiadomą nie nadawała się do tego, aby jeszcze wygłaszać jakieś sądy. W pewnym sensie świat mu się walił na głowę, lecz z drugiej strony... Spojrzał na Justynę, która schyliła się, aby znaleźć odpowiednią do tej sytuacji muzykę. Grzebała w płytach leżących na półce pod telewizorem. Widok ten poprawiał mu samopoczucie, i to znacznie. Ubrana była tylko w ten stanik, którego nie zdążył zdjąć z niej jeszcze, a oprócz tego, tylko w buty na szpilkach i pończochy. Winny przestał myśleć nad przyszłością i kształtem swojej kariery zawodowej. Wypięta Justyna przesłaniała mu wszelką myśl o jakichkolwiek perspektywach. Z głośnika popłynęła spokojna muzyka reagge, a Justyna odwróciła się i powolnym, dosyć zmysłowym krokiem podeszła do siedzącego na łóżku Wiesława po czym zapytała:

- Zatańczymy?

Zdziwiony tą sytuacją spojrzał tylko na nią z dołu, ze swej siedzącej pozycji.

- Justyna, o co chodzi? Co to jest?

- Jak to co? Muzyka reagge, kupiłam nową płytę. Zespół nazywa się Zachód Słońca.

Wstał, nieśmiało objął ją w talii i zaczęli tańczyć.

- Chcesz nawiązać tym zachodem do mojej sytuacji?

- Nie przejmuj się, Wiesiu, ze mną nie zginiesz!

Kołysali się w rytm muzyki, a Wiesław nie dowierzał i tak dokładnie nie wiedział już o co chodzi. To wszystko, co się działo dookoła, jakby przyćmiło trochę jego psychikę. Zapytał tylko:

- Mój Boże, gdzie ja jestem?

– Jak to gdzie? W Zelowie – odpowiedziała zgodnie z prawdą Justyna, a z głośnika słychać było bardzo udaną melodię.

Magicznie brzmiący głos wokalisty swoją częstotliwością i metaliczną barwą potrafił wyjątkowo rozluźnić słuchaczy, aż do momentu, gdy popłynęły jeszcze bardziej melodyjne słowa refrenu:

Nie muszę być poprawny politycznie, aby kochać,
Nie muszę być kimś ważnym, aby wierzyć,
Nie muszę wcale cierpieć, aby szlochać,
Nie muszę być zły, aby z mocą złą się mierzyć,
Nie muszę być, a jestem,
Nie muszę być, a jestem,
Jestem, a nie muszę,
Jestem...

Dokładnie w tym samym czasie, w bełchatowskim salonie Empiku, Kamila Bednarek nosiła się z zamiarem kupienia tej samej płyty i stała z słuchawkami na uszach, odsłuchując tę samą piosenkę, a na Dolnym Śląsku Adam Brela, siedząc w swoim domu na kanapie wybrał numer telefonu stacjonarnego, który miał zapisany, jako numer do Kamili.

– Słucham! – Odebrała Aurelia.

Koniec



Tomasz Kędziak – urodził się w 1969 roku. Jest miłośnikiem turystyki motocyklowej i autorem, który pasję pisarską odkrył w sobie dość późno, debiutując powieścią pt. *Statystyczny*. Nagromadzony przez lata potencjał nie zmarnował się i z czasem przynosi coraz lepsze efekty. Jego udana proza jest dowodem na to, że zawsze można i nigdy nie jest zbyt późno. Autor sam o sobie mówi, że jedyne co w życiu napisał przed magiczną barierą pięćdziesiątki, to jedno podanie o przyjęcie do pracy, w której pracuje do dziś. Pewnego dnia zapragnął sprawdzić, czy wieloletni pracownik branży energetycznej jest w stanie spojrzeć na literaturę nie tylko ze strony czytelnika i czy uda mu się – tak jak baśniowej Alicji – przejść na drugą stronę literackiego lustra. To mu się udało, czego dowodem jest niniejsza książka. Jeśli ktoś ma wątpliwości co do jego pióra, za zachętę niech posłuży najlepsza recenzja pana Antoniego spod osiedlowego sklepu monopolowego, który umieścił go wysoko wśród nagrodzonych literatów mówiąc: „Nie czytałem Kędziaka, tak samo, jak nie czytałem Szymborskiej i Tokarczuk". Sam autor uznał to za wyjątkowo dobrą opinię i wróżbę zachęcającą do dalszej twórczości.

Guzik Winny to satyryczny obraz czterdziestodwuletniego policjanta wpleciony w poważny wątek kryminalny. Tę mieszankę sam autor, nawiązując do tytułu, określił jako „Guzik, nie kryminał". Jednocześnie można powiedzieć, że jest to książka o poszukiwaniu swojego miejsca na ziemi.

Ważnym elementem było umiejscowienie akcji w rodzinnym mieście autora, co stanowi swoisty przejaw patriotyzmu lokalnego.



